

STAJNIA W PIEŃKACH



TOM II



IZABELLA FRĄCZYK

*Spalone  
mosty*

Prószyński i S-ka

STAJNIA W PIEŃKACH



TOM II

IZABELLA FRĄCZYK

*Spalone  
mosty*

Prószyński i S-ka

Copyright © Izabella Frączyk, 2017

Projekt okładki  
Sylwia Turlejska  
Agencja Interaktywna Studio Kreacji  
[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)

Zdjęcie na okładce  
© Ulia Koltyrina/[Fotolia.com](http://Fotolia.com)

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Ewa Charitonow

Korekta  
Maciej Korbański

ISBN 978-83-8123-442-9

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

# Rozdział 1

Magda biegiem dopadła toalety i drżącymi ze zdenerwowania rękami rozerwała niewielki pakiecik. Dla pewności dwukrotnie przeczytała instrukcję, po czym skrupulatnie zastosowała się do zaleceń. Teraz musiała już tylko odczekać pięć nieskończenie długich minut, które wydawały się wiecznością. Nie zauważyła, że przestała oddychać. W końcu jednak wciągnęła w płuca haust powietrza, zebrała się na odwagę, pomodliła w duchu i spojrzała.

– Dzięki ci, Boże... – wyszeptała.

Ulga spłynęła na nią z siłą nawałnicy i Magda niemal usłyszała łoskot wielkiego kamienia, który właśnie spadł jej z serca. Wbrew wcześniejszym przypuszczeniom nie była w ciąży. Jej organizm wysyłał w ostatnim czasie mylące sygnały, a ona interpretowała je w możliwie najgorszy sposób.

Właściwie nie miała nic przeciwko dzieciom, kiedyś nawet planowała je mieć i podjęła stosowne kroki, ale jej obecna sytuacja nader nie sprzyjała wydawaniu na świat potomstwa. W trakcie rozwodu powiększenie rodziny zakrawałoby na złośliwy chichot i ironię losu. A co gorsza, Magda nie miała pewności co do ojcostwa. Nigdy nie była osobą rozwiązłą i dochowywała wierności Tomkowi, ale gdy przypadkiem nakryła męża in flagranti, zawalił się jej świat. Poniosło ją, nie da się ukryć. A jakby tego było mało, w jej nowym życiu, o które tak dzielnie walczyła, wszystko postanowiło się sknocić. Odkąd kilka miesięcy temu zdecydowała o przejściu stadniny, świat stanął na głowie. Magda planowała tylko spieniężyć jak najszybciej spadek po babci i pozbyć się kłopotu, a docelowo wylądowała na zadupiu. Jak to zazwyczaj bywa, los utarł jej nosa i pokrzyżował plany.

– Pamiętaj, moje dziecko. Pan Bóg pęka ze śmiechu, jak człowiek sobie życie planuje – zwykła mawiać babcia Fela.

Ciąg zdarzeń i nieprzewidzianych okoliczności sprawił, że choć wszyscy wokół pukali się w czoło, Magda zdecydowała się porzucić wygodne życie

w Trójmieście na rzecz sprzątnięcia końskich boksów i zdobywania w stresującym boju umiejętności początkującego hodowcy strusi. Dla przywykłej do pracy za biurkiem kadrowej było to ambitne wyzwanie, niemniej jednak wir nowych spraw wciągał tak mocno, że nawet nie zauważyła, kiedy na dobre został odcięty odwrót. Teraz Magda miała stadninę w Pieńkach i masę kłopotów. A niby wszystko miało być na tymczasem, tylko na chwilę, westchnęła. Nie było dokąd wracać. Mąż w Sopocie i jego toksyczna mamuśka nie wchodzili w grę, a Sylwia była ostatnią osobą, do której można było zwrócić się o pomoc. Materialistycznie nastawiona do świata, z błyskającymi w spojrzeniu symbolicznymi dolarami, znaczenie słowa „sentyment” musiałaby sprawdzić w encyklopedii. Na szczęście udało się spłacić siostrę, choć ta kasa, zainwestowana w stadninę, zaprocentowałyby w przyszłości z nawiązką. Niestety, Sylwia miała na ten temat inne zdanie. Nie zamierzała ani czekać, ani ustąpić. Zaplanowała mieszkaniową inwestycję w przyszłość jedyne go syna i nie chciała słyszeć o zmianie planów.

Już jako nastolatka, w przeciwieństwie do siostry, nie znosiła koni, a wspólne wakacje u babci były dla niej koszmarem. Jazdy szły jej dużo gorzej niż Magdzie, a Sylwia bardzo nie lubiła być gorsza. Szczęśliwy poniekąd atak astmy podczas któregoś pobytu pozwolił jej wmówić otoczeniu, że ma alergię na końską sierść, co przyjęto za pewnik i nie zamierzano z nim polemizować. To nic, że wcześniej Sylwia nawdychała się stuletniego kurzu, buszując na starym strychu. Ważny był fakt, że winą za uczulenie obarczono Bogu ducha winne zwierzęta, a zainteresowana od tamtej pory nie musiała już przez całe lato tkwić w znienawidzonych Pieńkach.

Spadek w postaci stadniny był dużym zaskoczeniem dla obu sióstr, bo po rozwodzie rodziców, lata wcześniej, również i Magda przestała odwiedzać babcię, pewna, że matka ich taty także odwróciła się od synowej i wnuczek. Ponadto, wedle ich wiedzy, nie miała niczego i zaledwie zarządzała mieniem nieco zbikowanego i dziwaczanego hrabiego. Tymczasem zubożały arystokrata przekazał babci posiadłość testamentem, a później, naturalną kolejną rzeczą, przypadła ona Sylwii i Magdzie. Początkowo były zgodne, żeby pozbyć się kłopotu jak najszybciej, ale plany te zweryfikowało niespodziewane odkrycie pisanej latami korespondencji, z której wynikało, że babcia Fela wcale nie zapomniała o wnuczkach i kochała je aż po grób. Dotychczas zdezorientowana Magda doznała nagłego olśnienia; wątpliwości i zapiekły żal wyparowały jak deszcz po majowej burzy i wszystko stało się

jasne. Wzięła to za dobry omen i postanowiła spróbować.

W pracy wywalczyła kwartalny urlop bezpłatny i ku zgorszeniu zdewociałej teściowej postawiła na swoim. W rekonesansie w Pieńkach nie widziała niczego złego – w końcu potencjał podupadłej stadniny najlepiej ocenić na miejscu, a trzy miesiące to nie wieczność, pomyślała i podjęła wyzwanie. Nie miała tylko pojęcia, że rzecz wcale nie skończy się tuż po wakacjach. Że tymczasem jej życie osobiste skomplikuje się, a postawiona pod ścianą Magda pozostanie na wsi na stałe.

Teraz chwilami czuła się jak Stasia Bozowska. Albo jak Bogumił Niechcic. Choćby stawała na głowie, wszystko szło nie tak. A jeśli przez chwilę było dobrze i zgodnie z planem, zaraz wpadała Magdzie pod nogi jakaś nowa i ciężka kłoda. Na przykład ludzkie szczątki pochowane dawno temu pod klepiskiem starej szopy. I to w chwili, gdy właśnie ruszyły prace porządkowe w zaniedbanej przez lata stajni. Adam, właściciel położonego w sąsiedztwie hotelu Nestor, załatwił w tym celu darmową pomoc poddawanych resocjalizacji więźniów, a tu taki paszтет! Magda zaczęła źle sypiać, stajenny Zdzichu, o ile to możliwe, zaczął upijać się częściej niż zwykle, za to Alicja, poturbowana przez życie młoda kobieta, która po kilku latach spędzonych pod jednym dachem z damskim bokserem uznała, że już nic dobrego jej w życiu nie spotka, wśród osadzonych odnalazła nową miłość i z nadzieją spozjrzała w przyszłość. Po ucieczce od męża znalazła schronienie w stadninie. Z uprawnieniami instruktora jazdy konnej stanowiła dla babci Feli cenny nabytek, więc podobnie jak stara i cierpiąca na sklerozę Zofia, również znalazła tu dach nad głową.

Magdę początkowo niepokoił fakt, że odziedziczyła zrujnowane budynki wraz z lokatorami, ale z czasem doceniła taki stan rzeczy. Wraz z uruchomieniem hotelu dla koni pomoc Alicji okazała się nieoceniona. Zofia, jeśli tylko miała dobry dzień, także przydawała się w stajni. Niestety, coraz częściej trafiały się jej napady niepamięci, a ostatnio nawet i niekontrolowanej agresji. Wprawdzie od ostatniego ataku minęło już kilka tygodni, lecz Magda na samą myśl o nim kurczyła się w sobie. Wspomnienie silnych dłoni starej kobiety, zaciskających się na szyi, wciąż budziło w niej lęk. Od tamtej pory bezpieczeństwo nocą zapewniał Magdzie haczyk przy drzwiach sypialni, ale co z innymi domownikami? Zabiegi, żeby znaleźć Zofii miejsce w domu opieki, okazały się niezbyt skuteczne.

Mimo kłopotów udało się odremontować stajnię i sprowadzić do Pieńek

strusie, a do stadniny zaczęły częściej zaglądać liczne grupki gapiów. Rzecz jasna, do przyzwoitych zarobków z tego raczkującego safari było jeszcze daleko, ale zainteresowanie sprawiło, że w majątku powiało optymizmem. Strusice, wprawdzie w końcówce sezonu, ale odreagowały związany z przeprowadzką stres i nareszcie zaczęły się nieść, a każde sprzedane jajo równało się dodatkowej setce w bardzo napiętym domowym budżecie. Choć jednocześnie, wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, skończył się sezon na jazdy konne i kursanci pojawiali się już tylko w weekendy. Co bardziej gorliwi zapaleńcy jeździli również popołudniami, ale nie można było na tym przecież budować całości planowania.

Magda umościła się wygodnie na wiklinowym fotelu i z westchnieniem ulgi zagapiła się na pogodne niebo nad lasem. Podświetlone zachodzącym słońcem purpurowo-pomarańczowe podłużne chmury zwiastowały wietrzny dzień. Ech, te zachody i pora, kiedy czuję, że ponownie dałam z siebie wszystko, westchnęła w duchu i zadowolona przyjęła z rąk Ali kubek z herbatą.

– Dzięki ci, dobra kobieto. – Uśmiechnęła się.

Lubiła Alicję. Zaprzyjaźniły się niemal od pierwszego wejrzenia, ale odkąd dziewczyna zakochała się w Krzyśku, Magdę ścisnęło w dołku. Sama przed sobą wstydziała się przyznać, że zazdrości tamtej z całego serca. Tak bardzo pragnęła być jeszcze kiedyś szczęśliwa. Na razie jednak miała serce w kawałkach, kupę problemów, zbliżający się rozwód – słowem nie wiadomo było, za co zabrać się w pierwszej kolejności. Decydując się na pozostanie w Pieńkach, była pewna, że Tomek jej pomoże, a tu nie dość, że wszystko się rozsypało, to jeszcze wpakowała się w romans ze Staszkiem. Co mnie wtedy napadło?, zadawała sobie pytanie. Nie ma sensu się oszukiwać, popełniłam głupotę stulecia, ubolewała nieraz.

Staszek był jej pierwszą miłością z dzieciństwa, jak się niedawno okazało, odwzajemnioną i niespełnioną. Wciąż mieszkał w okolicy, wiodąc szczęśliwe życie u boku pięknej żony i dziecka, a weterynaryjna praktyka o świetnej renomie zapewniała mu stabilny byt. Jeśli dodać do tego uroczy domek z ogródkiem, wygodne rodzinne kombi i powszechne poważanie, ideał rodzinnego szczęścia i stabilizacji był gotów. Jednak wyznanie Staszka, że platonicznie wielbił ją przez całe życie, instynktownie popchnęło Magdę w jego ramiona. I zapragnęła schronić się w tych objęciach, by w ten sposób powetować sobie rozpad własnego świata. W tamtej chwili nie liczyło się nic. Nic nie istniało, oprócz Staszka i jego ust scałowujących z jej twarzy łyzy

bezsilności.

Magda rzuciła się na niego jak dzikie zwierzę i bez ceregieli zaciągnęła do łóżka. A on bynajmniej nie protestował i nawet zadeklarował chęć powtórki. Lecz Magda była nieugięta. Po wspólnej nocy kategorycznie zażądała zakończenia znajomości, co jednak w miejscowych realiach okazało się dość trudne.

– Przecież to niemożliwe! – Patrzył na nią osłupiały, szarpiąc się z suwakiem przy spodniach. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Konie, kozy...

– Tak, tak. I strusie, i psy, i cholera wie co jeszcze. Nie mogą pozostać bez opieki weterynarza. Tak, wiem. Polecisz mi kogoś. To proste. – Magda wiedziała, że jej słowa smagają jak batem, ale tak było trzeba. – Nie możemy tego ciągnąć. Masz rodzinę, a ja nie mogę jej rozbijać. Nie mogę zabrać im ciebie. Nie chcę być taka sama jak ta, która odebrała mi męża. Rozumiesz?

– Ale ja wcale nie...

– E tam! Akurat! – Magda energicznie odrzuciła do tyłu potargane włosy. – Nie mogę cię więcej widywać. To jest dla mnie zbyt trudne. Nigdy nie będziesz tylko mój. A ja nie chcę się dzielić i jeszcze przy okazji czuć się jak złodziejka cudzych mężów.

– A my? To idiotyczne! – Zdenerwowany Staszek z wściekłością strzepnął oporną, zrolowaną w pośpiechu skarpetkę. – Że niby jak? Że jak się spotkamy na ulicy, to mam udawać, że cię nie znam? Że nic między nami nie było? Mam potraktować cię jak powietrze?

– No właśnie. Bo nie ma żadnych nas. Wyjdź! – Magda stanowczym gestem wskazała na drzwi.

Trzymała się dzielnie, ale gdy tylko pod kołami Staszkowego samochodu zachrząścił żwir, rozpląkała się jak nieszczęśliwe dziecko.

– No i co ja najlepszego narobiłam? – wychlipała pod nosem i przygarbiona poszła do kuchni.

Nigdy nie praktykowała rozdrapywania ran, ale i nie lubiła, gdy cokolwiek wymykało się jej spod kontroli. Przecież już miało być dobrze. Już wszystko miało iść jak trzeba, a poszło jak zwykle. Na domiar złego dobrze wiedziała, że podświadomie potraktowała Staszka jak odtrutkę na problemy, na co on wcale sobie nie zasłużył. Jej kobiece ego i zwykłe ludzkie poczucie własnej wartości legły w gruzach za sprawą męża, więc pilnie wymagały odbudowy. Spragniona męskiej uwagi Magda pragnęła czuć się atrakcyjna i pożądana, a wcześniejsze wyznanie Staszka zwyczajnie dawało gwarancję, że nie



zostanie odepchnięta po raz kolejny.

Zanim zdołała poukładać sobie to w głowie, minęło kilka dni. Co z tego, że dowartościowała się jako kobieta i nieco podreperowała damską próżność, skoro przy okazji skomplikowała wszystko, co tylko się dało? Co z tego, że przeżyła najpiękniejszą noc w życiu, skoro teraz mogła tylko tęsknić za kimś, kto nie należał do niej? Do tego doszły jeszcze wyrzuty sumienia, że dla własnego widzimisię uwiodła żonatego faceta, oraz problem z zapewnieniem zwierzakom opieki. Alicja nie jest przecież głupia i za nic nie uwierzy, że zrezygnowałam z usług Staszka ot tak sobie, dumiała Magda. Wie, że syn byłego stajennego praktycznie wychował się w Pieńkach i jest do stadniny niemal przyrośnięty. Decyzja o nagłej zmianie musi zaintrygować każdego domownika.

Na reakcję bezpośredniej Alicji nie trzeba było długo czekać

– Zwariowałaś? Co to za nowa doktor ma przyjechać?

– Wanda. Polecona przez Staszka. Podobno równie dobra. – Magda twardo pokazywała, że nie rozumie, o co chodzi.

– Nie udawaj Greka. Ja nie o tym. Kojarzę Wandę przecież. Tylko dlaczego nie Staszek? – Alicja położyła nacisk na ostatnie zdanie.

– Pokłóciliśmy się i tyle. Koniec kropka.

– Szkoda. – Alicja się zasępiła. – A nie możecie się jakoś dogadać?

– Nie sądzę.

Magda odwróciła się na pięcie. Dobrze wiedziała, że Ali wcale nie uśmiecha się wdrażanie nowego weterynarza w historii poszczególnych koni, ale cóż? Ona nie mogła widywać się ze Staszkiem. Od kilku dni jeździła do wsi okreżną drogą. A odkąd natknęła się w aptece na jego żonę, z obawą myślała o zwykłej wyprawie do sklepu.

Była na siebie zła. Zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie to dziecinada, ale jak na razie nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. Musiała znaleźć inne miejsce do robienia zakupów.

– Nie znacie jakichś sensownie zaopatrzonych delikatesów w okolicy? – zapytała po obiedzie, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Zofia zmywała naczynia jak automat i sprawiała wrażenie nieobecnej, Alicja natomiast, podekscytowana wyjściem ukochanego na wolność, wprost jaśniała szczęściem, a robota aż paliła się jej w rękach. Wcześniej niesamowita bałaganiara, teraz sprzątała jak szalona, pragnąc, by na przyjazd Krzyśka wszystko lśniło, co w przypadku mocno zaniedbanego domostwa było sporym

wyzwaniem. Magda przyglądała się temu nowemu wcieleniu przyjaciółki z pobłażliwym uśmiechem. Kuchenny blat, do którego jeszcze nie tak dawno przyklejały się łokcie, został przetarty już po raz piąty, z podłogi znikły rozdeptane resztki potraw. Oderwana od zlewu Zofia chwyciła za miotłę.

Zamyślona Magda powiodła dokoła wzrokiem. Kuchnia, podobnie jak łazienka, wymagała kapitalnego remontu, ale aktualny stan finansowy stadniny nie pozwalał marzyć o takich fanaberiach. Na szczęście latem udało się wyremontować dachy, od nowa zaizolować fundamenty i odgrzybić ściany w całym domu, co pochłonęło majątek, ale w kolejce czekały na wymianę okna, a ściany na malowanie. Wprawdzie nadzieję dawała odnaleziona w babcinej szafie szkatułka z biżuterią, lecz na razie Magda wolała nie naruszać jej zawartości. Nie miała pojęcia, skąd świętej pamięci babcia Fela miała takie cudenka, skoro przez całe życie żyła nader skromnie, a odkąd dziadek zostawił ją z długami, klepała przysłowiową biedę. Zostawię ją na ciężkie czasy, dopóki nie przyciśnie mnie nagła konieczność, postanowiła, targana wątpliwościami co do stanu posiadania.

Podświadomie łączyła szkatułkę z niespodziewanym odkryciem szczątków dwóch zamordowanych kobiet. Policyjne dochodzenie utknęło w martwym punkcie; ze względu na upływ lat i śmierć hrabiego nikomu nie chciało się drążyć tematu. Magda podjęła co prawda własne śledztwo, ale nie licząc faktu, że najprawdopodobniej ustaliła tożsamość jednej z ofiar, zabrnęła w ślepy zaułek. Pomimo palącej ciekawości musiała odpuścić z braku konkretnych danych.

– To kiedy dokładnie Krzysiek chce tu przyjechać? – zapytała znad kubka cienkiego kompotu z jabłek.

Czuła, że Alicja chce z nią pogadać, więc postanowiła ułatwić przyjaciółce zadanie, choć myślami była daleko.

Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wyrzuci Zdzicha, wiecznie pijanego i w dodatku krnąbrnego stajennego, którego od dawna miała już powyżej uszu. Wprost liczyła dni do jak najbardziej zasłużonego wywalenia go na zbity pysk. Dopóki stajnia funkcjonowała prawem kaduka, zapijaczony mężczyzna nikomu za bardzo nie przeszkadzał, ale odkąd pojawiły się w niej cudze konie, w dodatku niektóre warte majątek, nie można było dłużej tolerować jego nałogu i niesubordynacji. A ponieważ finanse nie pozwalały na opłacenie dodatkowej pary rąk do roboty, Magda postanowiła zastąpić Zdzicha Krzysztofem. Wreszcie spokojnie zasnę, bo ktoś będzie czuwał, by zwierzętom

nie stała się krzywdą, pomyślała. Nie ma co ryzykować.

Krzysiek, ze swoją odwzajemnioną miłością do Alicji, właśnie miał spaść jej jak z nieba. Nie bez znaczenia był również fakt, że jego ukochana знаła stajnię jak własną kieszeń, więc ochoczo, bez proszenia i łaski, wprowadzi nowego stajennego w temat. Rzecz jasna, Magda miała obiekcje, że daje pracę karanemu po odsiadce, ale na wieść, że ten bardziej stroni od alkoholu, niż go nadużywa, zgodziła się natychmiast.

I policzyła w duchu potrzeby. Pieniądze z hotelu musi zainwestować w zapasy paszy na zimę, a to kwoty niemałe. Na szczęście ma suche miejsce do magazynowania, więc może załatwić sprawę hurtem i do wiosny zapomnieć o temacie. Do tego ma za darmo siano od Adama, z łąki, na której ten niebawem planuje rozpocząć inwestycję. Gdy wraz z bratem słusznie uznali, że lepiej skosić wszystko, zanim wejdą koparki i rozjadą teren do gołej ziemi, Magda skwapliwie skorzystała z okazji i bez zwłoki zagoniła Zdycha do pracy. Skacowany stajenny poruszał się niemrawo, ale pod srogim spojrzeniem szefowej posłusznie podpiął kosiarkę do starego ursusa.

Prawdę mówiąc, Magda nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie Adam i Wojtek pokażą jej ostateczną komputerową wizualizację planowanego przedsięwzięcia. Jeśli wierzyć wizjonerskim pomysłom jasnookich braci, na pobliskim terenie miał powstać ośrodek wypoczynkowy oraz wszelkie atrakcje aktualnie bardzo modne wśród dzieci i dorosłych. Oprócz nowoczesnych domków kempingowych i bungalowów planowano budowę basenu z niewielkim aquaparkiem, parku linowego, poligonu do paintballu, toru dla quadów oraz dwóch kortów tenisowych i boiska do siatkówki plażowej. Magda nie posiadała się z radości, ponieważ inwestycja tuż za płotem, na działce sprzedanej bez mrugnięcia okiem obrotnemu hotelarzowi, miała szansę pomóc jej w rozkręceniu biznesu. Jazda konna stanowiłaby świetne uzupełnienie oferty. Dzięki sprzedaży działki udało jej się rozliczyć z Sylwią i częściowo spłacić należności zadłużonej stadniny. Udało jej się również dojść do porozumienia z bankiem i odroczyć raty, mimo że wizja przyszłego spłacania hipoteki skutecznie spędzała jej sen z powiek i wisiała nad głową jak katowski topór. Jeśli powinie mi się noga i cokolwiek pójdzie nie tak, stracę stadninę, skonstatowała. Stracę wszystko. A na to nie mogę sobie pozwolić.

Siorbnęła mętne resztki kompotu i z hukiem odstawiła na stół wyszczerbiony kubek. Właśnie przypomniała sobie, że do tej pory nie rozpakowała jeszcze

swoich rzeczy, które odesłał Tomek. Nie chciała od niego nic, ale jej mąż wspaniałomyślnie podzielił domowy dobytek i na koszt żony wyprawił go pocztą. Kurier dotarł na miejsce już kilka dni temu, ale Magda jakoś nie miała ochoty dowiedzieć się, na ile zostały wycenione wspólne lata.

Wbiła łokcie w stół i podparła brodę na dłoniach.

– To jak będzie? – dobiegł ją głos Alicji. – Magda! Obudź się! Mówię do ciebie od paru minut!

– Że co? Przepraszam, ale wyłączyłam się na chwilę.

– No właśnie. A ja gadam jak głupia, myśląc, że ktoś mnie słucha. Tymczasem ni cholery – roześmiała się Ala.

– To o co chodziło?

– Krzysiek wychodzi w przyszłym tygodniu.

– I przyjedzie od razu?

– Tak. Jeśli pozwolisz.

– Jasne. Im szybciej wdroży się w nasze sprawy, tym lepiej. Jak chcesz, to weź samochód.

– Świetnie. Dzięki. – Alicja rzuciła przyjaciółce roziskrzone spojrzenie.

Po raz kolejny przetarła kuchenny blat.

– Przestań wreszcie go szlifować, bo jeszcze zrobisz dziurę. – Magda nie mogła się nie uśmiechnąć. – Wiem, że chcesz, żeby wszystko było cacy, ale wierz mi, ten twój Krzysztof za kratami raczej nie zaznał wielu luksusów.

– No wiem. Ale taka jestem nakręcona, że już spać nie mogę po nocach. Normalnie nie potrafię znaleźć sobie miejsca, a w środku dosłownie mnie skręca. Posprzątałam już mój pokój i nawet wyszorowałam do białości te cholerne podłogowe deski. – Ala dumnie wypięła pierś.

Wyglądała jak mała dziewczynka czekająca na nagrodę za dobry uczynek.

– O mamó – westchnęła Magda.

– Ale nie wiem, czy ty... – Alicja zamilkła na chwilę. – Czy ty się zgodzisz.

– Na co się zgodzę?

– Czy Krzysiek będzie musiał zamieszkać w stajni? – wypaliła Ala, z nadzieją, że usłyszy odpowiedź przeczącą.

– A jak ty to sobie inaczej wyobrażasz? – zdziwiła się Magda.

– Ech no, nijak – westchnęła Alicja, obeznana z kłopotami stadniny i świadoma, że właśnie zadała najgłupsze pytanie pod słońcem. – Ale wiesz, tamta kanciapa po Zdzichu to nora.

– Moja droga. Na razie nie ma innej opcji. Ale mam nadzieję, że to

rozwiązanie przejściowe. Konie muszą być pod kontrolą, nie ma wyjścia. A ty, z łaski swojej, nie pleć głupot, bo nie każdy, kto wychodzi z ciupy, od razu znajduje wypasione lokum i pracę.

– Ale ja tylko... Przepraszam, ja nie... – plątała się Ala.

– Przestań gadać! – zniecierpliwiła się Magda. – Ja nie mam nic przeciwko temu, żebyście docelowo zamieszkali w domu. Chociaż uważam, że twój pokój jest trochę za mały. Za to pokój po babci Feli byłby dla was w sam raz. Trzeba go tylko gruntownie posprzątać. Zrobić czystkę w jej rzeczach.

– Nawet nie wiesz, jaka jesteś kochana. – Alicja podeszła i przytuliła Magdę ze wszystkich sił.

– Dobra, dobra. Ale nie od razu – zastrzegła się właścicielka końskiego biznesu, choć wzruszenie ścisnęło ją za gardło. – Najpierw niech ten twój luby pokaże się wszystkim z jak najlepszej strony. A ty nabierz pewności, że to rzeczywiście ten jedyny. Jak Krzysiek się nada i zda egzamin, pomyślę o drugim stajennym do pomocy. Na dłuższą metę jeden wszystkiego nie ogarnie, zwłaszcza że odpada dotychczasowa pomoc Zofii.

– Tak jest! – Rozradowana Alicja stanęła na baczność i zasalutowała.

– Tak jest. – Magda uśmiechnęła się blado. – Niestety, na to potrzebny jest czas i pieniądze, a na razie nie mam ani jednego, ani drugiego. Dobrze wiesz.

– Wiem.

## Rozdział 2

Miała wrażenie, że pod jej czaszką szaleje stado gryzących się i skowyczących psów. Skotłowane myśli boleśnie obijały się o sklepienie czaszki, więc Magda obudziła się z uczuciem, że zamiast głowy ciąży jej baniak wypełniony ciemną, niedającą nadziei materią. Z jękiem wstała z łóżka i spojrzała na zegarek. Na zewnątrz było już jasno, choć dochodziła dopiero piąta rano. Spróbowała zasnąć ponownie, ale nie pozwolił jej kogut sąsiadki. Zapał wściekle, zwiastując wszem wobec, że nadeszła pora pobudki.

– Szlag by trafił! Co za drób przeklęty! – warknęła zaspana Magda i ospale powlokła się do kuchni.

Postawiła na kuchence okopcony metalowy czajnik i poszła do łazienki, by się odświeżyć. Już prawie kończyła, gdy usłyszała przeraźliwy gwizd. Nie chcąc fundować pozostałym domownikom przedwczesnej pobudki, szybko zamotała się w ręcznik i pobiegła z powrotem.

W progu zderzyła się z Zofią. Stara kobieta znów patrzyła nieprzytomnie.

Magda zadrzała.

– Cześć Zofio. Napijesz się kawy? – zaszcebiotała jak gdyby nigdy nic, ale Zofia tylko wzruszyła ramionami i zawróciła do siebie.

Na zewnątrz wstawał kolejny pogodny dzień, więc Magda, jak co rano ostatnio, postanowiła ocenić, czy węgierki z drzewa za domem nadają się już do jedzenia. Zerwała jeden twardy owoc i zatopiła zęby w kwaśnym miększu. Jeszcze dwa tygodnie, pomyślała, wypluwając niejadalny kęs. Wróciła do domu, omotała się ciepłym pledem i usadowiła na tarasie z kubkiem gorącej kawy.

Jesień zbliżała się wielkimi krokami. Noce i poranki były coraz chłodniejsze. Pomimo gorącej kawy Magda zadrzała z zimna, więc roztarła dłonie i energicznie wyskoczyła z fotela. Zabrała z sypialni bluzę od dresu i korzystając z tego, że nigdzie jej się nie śpieszy, różnym krokiem ruszyła w stronę lasu.

Ostatnio nic jej tak dobrze nie robiło na myślenie jak szybki spacer wydeptaną przez konie ścieżyną wśród drzew. Marzyła wprawdzie o samotnych przejazdach w teren, ale na to musiała jeszcze poczekać. Na razie była jak ten szewc, który bez butów chodzi – nauka jazdy wierzchem to ostatnia rzecz, na jaką miała czas, chęć i siłę. Do tego nieustannie mijały się z Alicją, obie zawałone obowiązkami. Magda zwyczajnie nie miała sumienia, by prosić o lekcje wymęczoną całym dniem instruktorkę. Kilka razy udało jej się skorzystać, bo w stadninie nie pojawił się jakiś kursant, a osiodłany koń już czekał. Wtedy ochoczo wskakiwała na siodło. I radziła sobie wcale nieźle, choć umiejętności wciąż nie pozwalały na oddalanie się poza ogrodzony maneż. A przecież przyzwoitość nakazuje, by właścicielka stadniny jako tako trzymała się w siodle, zżymała się czasem.

W pierwszych tygodniach udawało się jej pobierać lekcje u Zofii, ale ostatnio ciężko było namówić starą instruktorkę do czegokolwiek. Zwykle kobieta bez celu snuła się po okolicy, więc na wszelki wypadek Magda zawiesiła jej na szyi, na specjalnej smyczce, starą komórkę – nawet gdyby Zofia nie odebrała połączenia, zawsze była szansa namierzenia jej przez GPS. Niechętna pomysłowi staruszka zgodziła się nań dopiero, gdy jej wmówiono, że życzy sobie tego jaśnie wielmożny pan hrabia.

Nawiasem mówiąc, problem z postępującą chorobą Zofii w ostatnich dniach spędzał Magdzie sen z powiek. Jakby mało miała osobistych zmartwień. Ale przecież trzeba coś przedsięwziąć w tej sprawie, myślała. Dla dobra wszystkich. Bo zachowanie starej kobiety zaczynało sprawiać problemy wszystkim domownikom. O ile jeszcze do niedawna można było na niej polegać w kwestii gotowania i pomocy w stajni, o tyle teraz przerastało ją nawet zwykłe pichcenie. Trzeba było pilnować jej na każdym kroku, bo zwyczajnie stanowiła zagrożenie. Notorycznie zapominała wyłączyć palnik albo zakręcić wodę. Dwukrotnie omal nie wywołała powodzi, gdy przelała się zawartość wanny, i spaliła na amen kilka garnków. Czarny scenariusz, według obdarzonej bujną wyobraźnią Magdy, był tylko kwestią czasu. Rozważała wprawdzie pomysł, aby zatrudnić dziewczynę z wioski, żeby ta nie odstępowała chorej na krok, ale w okolicy nie dało się znaleźć chętnych. Od dziesięcioleci wieść gminna niosła, że nieokrzesa i apodyktyczna Zofia trzęsie całą stadniną. Magda pamiętała z dzieciństwa, że postawna i silna Horpyna o gołębim sercu, nie licząc zwierząt, nigdy nie miała przyjaciół. Kobiety uciekały od zwałistej i pozbawionej wdzięku herod-baby, a mężczyźni

najnormalniej w świecie się jej bali. Wyłącznie taki ekscentryk jak szurnięty na punkcie koni i polowań hrabia tolerował tragiczne maniery instruktorki i jej obcesowy sposób bycia. Gdyby jeszcze Zofia była drobniutką i cichą kobieciną, sytuacja nie byłaby nagląca, ale w przypadku mającej ponad metr osiemdziesiąt, krzepkiej, a co gorsza krewkiej i niepanującej nad sobą kobiety stanowiła nie lada zagwozdkę do rozwiązania.

– Ech... – westchnęła Magda z rezygnacją i podciągnęła opadające dzinsy.

Coraz większy luz w ulubionych spodniach przyjmowała z niechęcią. Wskutek życiowego zamieszania wyraźnie schudła, podczas gdy przy jej wzroście i smukłej, raczej sportowej sylwetce każdy kilogram był na wagę złota. O ile nie przywiązywała wielkiej wagi do pustki w staniku, o tyle szczupłutkie biodra wpędzały ją w kompleksy od zawsze. Teraz, zrezygnowana, przycupnęła na zwalonym drzewie i zaciągnęła się upajającą wonią lasu. Podniosła z ziemi kamień i wycelowała w pobliskie drzewo.

– A masz! – Cisnęła z sykiem, mając świadomość, że właśnie się wyżywa. Spudłowała. – A masz! – Powtórzyła rzut, tym razem z większą siłą.

Okazał się celny. Kamień z głuchym łoskotem odbił się od rdzawego pnia i odleciał w bok.

– Jezus Maria! – dobiegło z krzaków.

A potem posypały się soczyste przekleństwa.

Magda, pewna, że ktoś właśnie oberwał rykoszetem, zerwała się na równe nogi. Już miała biec w stronę zarośli, gdy jej oczom ukazały się dwie spocone sylwetki.

– Eee... Aaa... No, cześć! – zaszcebiotała niewinnym głósikiem na widok Adama i Wojtka. – O kurde, przepraszam.

Wyszarpnęła z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i przycisnęła jedną do krwawiącej Wojtkowej skroni.

Adam, zaskoczony podobnie jak brat, jeszcze nie do końca załapał, co zaszło. Przecież dopiero co wyszli na codzienny jogging. Jego szczupły i wysportowany brat nie potrzebował wysiłku, by chudnąć, ale tym razem chętnie skorzystał z okazji do ruchu na świeżym powietrzu. Po kilku kilometrach przebieżki obaj mężczyźni, zmęczeni i zziębnięci jak psy, wreszcie przeszli w truchcik, gdy nagle Wojtek, chwyciwszy się za głowę, padł na kolana. Spod jego palców popłynęła krew.

– Magda? Co ty tu robisz? – zapytał Adam słabym głosem.

– To, co zwykle. Myślę. – Wzruszyła ramionami. – Ja przepraszam. Ja



naprawdę nie chciałam.

– Ale co? – Wojtek, mimo lekkiego ogłuszenia, obciągnął koszulkę i wypiął muskularną pierś.

– Nie wiedziałam, że kogoś trafię. Palnęłam kamieniem w sosnę. Odbił się i strzelił w ciebie. Naprawdę przepraszam. Myślałam, że nikogo tu nie ma.

– Nic się nie stało. – Wojtek napuszył się jak indor, konsekwentnie udając twardziela.

– Pokaż. Może trzeba będzie szyć? – Magda podeszła do swojej ofiary i delikatnie odsunęła jego dłoń od skroni. Krwawienie prawie ustało, ale rana nie wyglądała dobrze. – Kurczę, głęboka. Chyba powinien zobaczyć to lekarz.

– No przecież będę żył.

Mężczyzna robił dobrą minę do złej gry, choć wiedział doskonale, że na widok krwi robi mu się słabo. Pragnął jak najszybciej wrócić do hotelu, żeby uniknąć kompromitacji. Na razie jednak, dopóki dawał radę, zgrywał bohatera.

– Adam! Rusz się! – huknęła na przyjaciela Magda. – Przecież z tym trzeba do doktora.

– Spokojnie. Wczoraj przyjechał na kilka dni do hotelu nasz znajomy chirurg. Zaraz obejrzy Wojtka. Nic się nie martw.

– Ale ja naprawdę nie...

– Magda, wyluzuj – uspokajał Adam.

– Przepraszam – powiedziała skruszona Magda po raz kolejny.

Przypadek przypadkiem, ale czuła się winna. Targana wyrzutami sumienia odprowadziła obu braci pod hotel i zdenerwowana zawróciła do siebie.

W stajni Alicja i – o dziwo – trzeźwy Zdzychu uwijali się przy koniach. Powinnam pojechać na większe zakupy, pomyślała w duchu Magda, przeklinając jednocześnie dawno zapowiedzianą wizytę komendanta straży pożarnej, który chciał ustalić szczegóły wypożyczenia maneżu na szkolenie.

Odbębniła obowiązki pani domu z zaciśniętymi zębami i ruszyła do sklepu. Około południa była już z powrotem i zaparkowała pod Nestorem. Wspomnienie porannego wypadku sprawiło, że ogarnął ją śmiech, ale wyrzuty sumienia nie ustępowały.

Widok zbolącej twarzy Wojtka rozbawił ją serdecznie. No tak, pomyślała. Przecież faceci nie chorują. Oni walczą o życie.

– Jak się czujesz? – zapytała z troską.

– Nic mi nie jest. Będę żył. – Wojtek lekceważąco machnął ręką. Gest tylko zaakcentował udręczony wyraz twarzy, który podkreślał heroizm

zainteresowanego w obliczu tak ogromnego cierpienia. Niewątpliwie zachęcał do okazywania ofierze wypadku współczucia. – Chirurg założył mi podwójnego stripa. Na szczęście obeszło się bez szcicia.

– I dzięki Bogu. Nie będę cię mieć na sumieniu. – Magda się uśmiechnęła.

Zamierzała pójść do siebie, lecz do gabinetu wkroczył Adam z wielgachnym półmiskiem gotowanych na parze warzyw i zaproszeniem na lunch. Co prawda Magdzie bardziej pasowałyby jakieś kulinarne konkrety, niemniej jednak chrupkie jarzyny spałaszowała z apetytem.

– Też bym wolał schabowego. – Adam czytał w jej myślach. – Ale dieta to dieta. Nie ma przeprosić.

– Właśnie miałam zapytać o postępy. Wydaje mi się, że ta koszula wisi na tobie bardziej niż ostatnio.

– Naprawdę? Zauważyłaś? – Aż podskoczył, uradowany. – Schudłem dziesięć kilo!

– To widać. – Magda z uznaniem skinęła głową i uniosła kciuk. – Gratuluję. Tak trzymaj.

– Od jutra wprowadzam do diety więcej białka. Twoje jajo bardzo mi się przyda.

– Ty chcesz je zjeść w pojedynkę?

– A skąd! Zjemy je we dwóch. A jak zostanie trochę surowizny, to Robert, nasz nowy szef kuchni, wykorzysta ją do panierowania kotletów.

– Dla mnie – wtrącił złośliwo-serdecznym tonem Wojtek. – A jak te twoje strusie? – zwrócił się do sąsiadki.

– A dzięki. Jeszcze się niosą, więc zarabiają na swoje utrzymanie. Byle do wiosny. Później zdecyduję, co dalej. Marzy mi się powiększenie stada i hodowla z prawdziwego zdarzenia.

– To w czym rzecz? Przecież masz ptaki obu płci. Niech się mnożą przez zimę. – Adam międlil w ustach marchewkę. – Miejsce też masz, więc jaki problem?

– A taki, że zimą strusie się nie niosą i nie ma mowy o rozmnażaniu. Ale to mały pikuś w zderzeniu z tym, że te ptaszyska poza naturalnym środowiskiem zatraciły instynkt wysiadywania i trzeba to robić za nie. Do tego pisklęta w pierwszych miesiącach mają ogromne wymagania. To wszystko ciągnie za sobą spore inwestycje. Na razie muszę poczekać i zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja.

– Pewnie taniej byłoby je wysłać do Afryki na wczasy i liczyć na sukcesy

w prokreacji – roześmiał się Wojtek i niemal natychmiast złapał za obolałą głowę.

– W rzeczy samej. – Magdzie udzielił się dobry humor.

– To po co ci samiec?

– Jak to: po co? – zdumiała się. – Żeby go skubać.

– Skubać? Tak do gołego? – Wojtek nie dawał za wygraną.

– Nie, nie. Ale wiesz, strusie pióra są bardzo cenne, więc jak już zaczną mnie odwiedzać przedszkolne wycieczki, każdy dzieciak chętnie kupi sobie takie piórko za parę złotych. To dobry biznes.

– Tylko uważaj, żeby się kawaler łysy nie ostał. – Wizja wyskubanego strusia sprawiła, że Wojtek znów parsknął śmiechem. – Ale byś wtedy miała atrakcję dla zwiedzających. Normalnie jak w życiu: oskubany do gołego! Ech... – westchnął i zasepił się niespodziewanie.

– Bez obaw, samice też podskubują. Jeszcze nie wiem, jak farbować te ich bure pióra, ale poćwiczę w długie zimowe wieczory. Na razie wystarczą mi pióra z samca i jajka. Chociaż prawdę mówiąc, nie mam ich gdzie trzymać.

Magda miała nadzieję, że wkrótce znajdą się kupcy na wielkie jaja. W starej lodówce pomалу zaczynało brakować miejsca. Ale przecież hotel Nestor musi dysponować pomieszczeniem chłodniczym, pomyślała i aż podskoczyła z radości.

Adam, który na potrzeby kuchni wybudował ogromną chłodnię, od razu zgodził się przechować jajka. Wcześniej, za radą Uli, od której przywiozła ptaki, Magda zapakowała każde w szczelny foliowy worek. Miało to zapobiec parowaniu wody przez skorupkę, a tym samym utracie masy jej zawartości.

Zanim wróciła do domu, wzięła od Adama teczkę z fakturami i zadowolona z przebiegu dnia zasiadła po południu do pracy. Obiecała rozliczyć rachunki, więc skorzystała z wolnej chwili. Księgowa zatrudniona dotychczas w Nestorze z dnia na dzień zwolniła się z pracy i zostawiła Adama na lodzie, a ten, nie mając chwilowo głowy do szukania kogoś na jej miejsce, poprosił o pomoc Magdę. Trochę zaniepokojona, czy poradzi sobie z buchalterią w tak dużej firmie, zgodziła się na miesięczny okres próbny i zabrała do pracy. Dodatkowe zajęcie dawało nadzieję, że w niedalekiej perspektywie zarobi i dołoży do domowego budżetu konkretny grosz. Było to istotne również ze względu na Zofię. Gdyby udało się umieścić ją w miejscu bardziej dla niej odpowiednim, w ślad za starowinką powędrowałaby do domu opieki również jej stosunkowo wysoka emerytura. A na tak znaczną wyrwę w finansach

Magda nie mogła sobie pozwolić. Obawa przed niekontrolowanymi zachowaniami Zofii to jedno, a proza życia – drugie.

Nad papierami usadowiła się na zadaszonej werandzie. Tutaj złe myśli odpływały w dal, a Magdzie pracowało się najlepiej. Zebrała się w sobie i skupiła się na rachunkach. Niedługo do domu wróci Alicja, miejmy nadzieję, że z dobrymi wieściami, westchnęła w duchu.

Oczywiste było, że ciężko będzie znaleźć kogoś chętnego do wzięcia samotnej Zofii do siebie, nawet za cenę wysokich świadczeń. Jednak Alicja namierzyła w Tczewie jakąś daleką krewną starszą instruktorkę i wybrała się do niej, aby namówić do odwiedzin. Nie było co liczyć na cud, ale Magda z całych sił trzymała kciuki. Przystanek busów znajdował się tuż przy bramie stadniny, więc podświadomie nadstawiała ucha.

Głos Alicji wyrwał ją z zadumy nad fakturą za dwieście ścierek.

– Kurczę! – Magda aż poderwała się z fotela. – Przegapiłam busa?

– Niczego nie przegapiłaś. Rzęch się zepsuł kilometr przed Nestorem i przyszedłam piechotą – powiedziała Ala.

– I co?

– I nic.

– Znalazłaś tę babę?

– Owszem, jak po sznurku. Ale to nie był nasz dzień. Tamta też jest samotna. W dodatku jeździ na wózku, ma osiemdziesiąt lat i cierpi na cukrzycę.

– O cholera.

– No właśnie. To ostatnia osoba nadająca się na opiekunkę dla naszej Zośki. I w dodatku jej nie znosi. Zaproponowałam, żeby nas odwiedziła, ale odmówiła. Straciłam czas i tyle – westchnęła Alicja i poszła się przebrać.

Późnym popołudniem miała umówionych kilka jazd w terenie, a wcześniej chciała popracować nad projektem ulotki reklamującej stadninę. Ostatnio odkryła w sobie zamiłowanie do grafiki komputerowej. Była absolutnym samoukiem, więc początkowo sceptyczna Magda z tym większym zdziwieniem obserwowała jej postępy. Projekt graficzny był już prawie gotowy, choć Alicja co rusz znajdowała detale, które można było poprawić. Zazwyczaj roztrzepana i nieprzytomna, gdy tylko zasiadała do komputera, w sekundę zmieniała się nie do poznania. Chwilami tak skupiała się na pracy, że można by obok strzelać z armaty. Magda aż przecierała oczy ze zdumienia na tę niespodziewaną metamorfozę przyjaciółki.

Na dodatek również i ona nie mogła doczekać się przyjazdu Krzyśka, który

zapewne też liczył dni do zakończenia odsiadki. Po okresie nerwów i żalu odrobinę powiało optymizmem. Zdychu jakby coś wyczuwał, bo od kilku dni nie tykał alkoholu i pracował za czterech. Nie ruszył nawet małego piwka, które Alicja podrzuciła mu do stajni, za to sam z siebie porządnie wyszczotkował owczarki. Posprzątał też u kóz i wyszykował wszystko, co najmniej jak na wizytację z Ministerstwa Rolnictwa. Magda nie wierzyła własnym oczom.

Jak co dzień sprawdziła, co słychać w zwierzyńcu. Zadowolona, że wszystko gra, wolnym krokiem obeszła swoje włości. Mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem, zrobiła kilka zdjęć w odnowionej stajni i wyszła na zewnątrz. W popołudniowym świetle stara siodlarnia również wyglądała dość malowniczo, więc skorzystała i uwieczniła ją na zdjęciach. W miejscu po spalonej starej szopie zdążyła tymczasem wyrosnąć, bardziej bujna niż gdzie indziej, trawa, a wszyscy zapomnieli o niedawnym makabrycznym odkryciu.

Niesamowite, że udało nam się zrobić aż tyle. Nie minęło nawet pół roku, a ja mam wrażenie, że mieszkam w Pieńkach od lat, skonstatowała Magda w duchu. Nie potrafiła już sobie przypomnieć tego straszliwego zaniedbania, które zastała podczas pierwszego pobytu. Gdyby nie obłazące z farby ściany, główna stajnia mogłaby stanowić wzorzec dla profesjonalnego hodowcy koni. Choć druga, mniejsza, połączona z krytą ujeżdżalnią, wciąż nie nadawała się do użytku. Za to chwilowo przechowywano w niej słomę i siano.

Stara siodlarnia, przygotowana pod przyszłą hodowlę strusi, korciła, by już teraz rozwinąć skrzydła, ale z przyczyn oczywistych Magda musiała powściągnąć wodze fantazji i spokojnie poczekać do wiosny. Nakładu pracy i troski wymagało prawie wszystko w stadninie, na szczęście zdarzały się szczęśliwe przypadki. Stare i połamane elementy przeszkód do zawodów miały na dniach posłużyć okolicznym strażakom do ćwiczeń ogniowych, a w zamian za ich udostępnienie komendant straży obiecał załatwić nowe gaśnice i – jeśli da radę – drewno na nowy parkur.

Magda i Ala nie posiadały się ze szczęścia. Być może będzie możliwa organizacja zawodów hippicznych, a co ważniejsze, Hubertusa. Choć na razie sędziowska ambona przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy, spróchniała i grożąca zawaleniem. Właściwie to ją strażacy powinni podpalić w pierwszej kolejności, uznała Magda, idąc w kierunku budynków gospodarczych położonych za stajnią od strony lasu. Również one wymagały gruntownego uprzątnięcia i zagospodarowania – i ten murowany, w niezłym stanie, na razie

zapchany po dach nie wiadomo czym, i ten drugi, drewniany, też graciarnia, która kiedyś z powodzeniem posłużyła za stajnię dla mniejszych zwierząt. No i ogromna stodoła.

Z perspektywy domu schowane za główną stajnią zabudowania znajdowały się poza zasięgiem wzroku, więc Magdzie zwyczajnie zdarzało się zapominać o ich istnieniu. A teraz, mając je przed oczami, chciała zrobić wszystko naraz. Również i obszerne czworaki czekały na zagospodarowanie. Tymczasem pilne potrzeby piętrzyły się ponad miarę również w budynku mieszkalnym. Po zastanowieniu się Magda zdecydowała, że odda Alicji i Krzyškowi położony na poddaszu przestronny pokój, a właściwie apartament po babci Feli, choć oznaczało to dla niej konieczność solidnego rewanżu w osobistych rzeczach zmarłej. Jak dotąd Magda unikała tej czynności jak ognia, podobnie jak dalszego czytania listów od babci. Zrobiła wprawdzie dwa podejścia, ale konfrontacja z minioną rzeczywistością okazała się rzeczą niełatwą.

Tyle że nadszedł już czas. Właściwy, żeby zmierzyć się z tym, co boli, i na dobre rozprawić się z przeszłością. Pudła, w których mąż Magdy odesłał część jej rzeczy, wciąż stały nie do końca rozpakowane. Z nimi również należało wreszcie zrobić porządek.

## Rozdział 3

Ala! Alicjaaa! – wrzasnęła Magda.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, burcząc, sama wypełzła spod metalowego babcinego łóżka, ciągnąc za sobą z wysiłkiem wielgachną, zakurzoną walizę. Zbiegła na dół i przyniosła ze służbówki cztery kartonowe pudła.

Remanent po lubiącej chomikowanie starszej pani wcale nie był rzeczą łatwą. Magda zdążyła już wypchać znoszoną bielizną i zleżałymi rajstopami dwa stulitrowe worki na śmieci, a gdzie jeszcze było do ubrań. Miała nadzieję, że dobre rzeczy przyjmie Caritas, ale wcześniej musiała każdą z nich sprawdzić. Na szczęście wszystko było czyste i w nie najgorszym stanie, więc na pierwszy ogień pozbyła się flauszowych płaszczy i futerka z nutrii, które od zawsze nasuwało jej niemiłe skojarzenie ze szczurami. Magda wzdrygnęła się i z ulgą umieściła je w kartonie. Po chwili los futerka podzieliło pięć kościółkowych garsonek, kilkanaście kremplinowych spódnic i pół tuzina fikuśnych kapelusików z filcu w różnych kolorach. Nieliczne czółenka i botki wylądowały w osobnym pudle.

Przepastna szafa mogła jednak pomieścić naprawdę wiele ubrań, więc wkrótce trzeba było iść po kolejne kartony. W międzyczasie Magda odebrała telefon od Tomka i usłyszała – wbrew wcześniejszym zapewnieniom – żądanie zwrotu samochodu. Tym samym skutecznie została wytrącona z równowagi, na tyle by rozłączyć się bez pożegnania. Choć właściwie spodziewała się takiego ruchu, przeczuwała go od jakiegoś czasu. Tak czy siak, auto było zarejestrowane na firmę męża i formalnie należało do niego. Pozostawała nadzieja, że Tomek odpuści w tej kwestii, bo Magda dorzuciła się do zakupu co nieco. Nie odpuścił. Na szczęście istnieje sądowy podział majątku, pomyślała i postanowiła, że nie pozwoli sobie odebrać fiesty bez walki. Wściekłość mieszała się w niej z rozżaleniem.

Do przerwanych czynności powróciła ze zdwojoną energią. Nie wiedziała, czym sobie zasłużyła na takie traktowanie. Chciała przecież jak najlepiej. No

tak, dobrymi chęciami jest wybrukowane piekło, stwierdziła w duchu. Nie rób bliźniemu dobrze, aby tobie nie było źle, powtarzała jak mantrę, aż dobrnęła do końca segregowania zawartości ogromnej komody i dobrała się do walizki.

Stare szyfrowe zamki nie miały zamiaru ustąpić, ale ciekawość nie pozwalała na rezygnację. Ciężar wskazywał, że waliza z pewnością nie jest pusta. Magda kręciła i kręciła zębatkami, nie dając za wygraną. Aż wreszcie, zmęczona, ciężko opadła na podłogę i rąbkiem bawełnianej bluzki otarła pot z czoła. Jak na wrzesień panował niemiłosierny upał. Z wysiłkiem podniosła się z podłogi i zbiegła na dół do toalety. Przy okazji zwędziła z lodówki ulubione piwo Alicji.

– No proszę!

Na złodzieju czapka gore, pomyślała przyłapaną na gorącym uczynku Magda.

– Wybacz, kochana – powiedziała na głos. – Jutro odkupię. Po prostu mam już dość...

– Dobra, przecież nic nie mówię. – Alicja wzięła piwo również dla siebie i wspięła się po schodach.

Po chwili wspólnie napały na odporne szyfrowe zamki.

– Strasznie ciężkie to cholerstwo. – Ala z wysiłkiem przesunęła walizę. – Może tam jest jakiś kolejny nieboszczyk? Albo i dwóch?

– Weź nie piernicz! – ofuknęła ją Magda. – Mało mamy kłopotów?

– No już. Ale skoro to ustrojstwo nie działa, trzeba potraktować je po złodziejsku.

– Czyli jak?

– Normalnie. Weźmiemy to na rympał – zdecydowała Alicja ze śmiechem i pobiegła do stajni po młotek i inne potrzebne narzędzia.

Nie minął kwadrans, a waliza stanęła otworem. Na widok jej zawartości przyjaciółkom odebrało mowę.

– O kurde... – Magda jako pierwsza odzyskała głos i sięgnęła do środka.

Wewnątrz tkwiły dwa bardzo wytworne skórzane sakwojaże, jeden od Hermès, drugi od Louisa Vuittona. Magda oniemiała. Nie miała pojęcia, jakim to sposobem babcia Fela mogła wejść w posiadanie tak kosztownych podróżyńskich toreb. Ona sama znała obie marki wyłącznie z gazetowych ploteczek z życia zagranicznych wyższych sfer. Z całą pewnością nie spodziewała się znaleźć czegoś podobnego pod łóżkiem w Pieńkach.

– Otworzysz to czy masz zamiar się gapić jak jakaś głupia? – ekscytowała się Alicja.



– Trochę się obawiam. – Magda ze świstem wciągnęła powietrze, niemniej jednak posłusznie sięgnęła do suwaka pierwszej torby.

– O Jezu... – stęknęła Alicja na widok ekskluzywnych damskich bryczesów ze złotawym metalowym emblematem przy pasku.

Pierwszą torbę wypełniały ubrania do konnej jazdy – sądząc po metkach, szykowna pikowana kurteczka, bryczesy i obuwie pochodziły z najwyższej europejskiej półki. Skórzane sztylpy, najwyraźniej szyte na miarę, idealnie pasowały do starannie wypolerowanych skórzanych sztybletów. Cieniutkie skórkowe rękawiczki były niewątpliwie dziełem mistrza rzemiosła.

Magda i Ala dostały wypieków. Zważywszy na duchotę na poddaszu, nie było to niczym niezwykłym, ale tym razem prawdziwą przyczyną były emocje, a nie upał. Niesione ekscytacją dobrały się do drugiej torby, w której znalazły wyłącznie codzienne ubrania i buty, podobnie jak w przypadku odzieży jeździeckiej najlepszej jakości i bardzo prestiżowych marek. Przeważały metki od Chanel i Diora.

Na widok koronkowego peniuaru w wersji maxi Magda wstrzymała oddech.

– Ależ piękny! Matko, ale cudo! – odetchnęła.

– Przymierz! – ponagliła ją Alicja. – Na mnie będzie dwa razy za długi.

– Zwariowałaś? Przecież to jest czyjeś!

– Czyli czyje dokładnie?

– No właśnie jeszcze nie wiem – bąknęła Magda.

– Pomyśl, przecież to rzeczy twojej babci. Bądź rozsądna.

– A w życiu! To niemożliwe, żeby to kiedykolwiek należało do babci Feli. Pamiętam, jak się ubierała. Poza tym była niska i tęga. To nie jej rozmiar.

– To w takim razie czyj? Nie dość, że to nie jej rzeczy, to jeszcze skitrała je głęboko pod łóżkiem.

– Nie wiem. Ale same te torby są warte kilkanaście tysięcy złotych. Ciuchy też nie tanie. A buty to już jakiś kompletny odlot.

– Jaki rozmiar? – przerwała przyjaciółce Alicja.

– Trzydzieści siedem.

– To twój. Do jazdy konnej masz jak znalazł. Wprawdzie Pieńki to nie Ascot, ale szyku można zadawać wszędzie.

– No, nie wiem – zawahała się Magda.

Sięgnęła po śliczną jedwabną kosmetyczkę w kwiaty.

Zawartość była równie luksusowa, co opakowanie, tyle że wszystkie kosmetyki okazały się zwyczajnie stare. Ze szminki wyciekało coś tłustego,

a czarny tusz był wyschnięty tak, że nie dało się go otworzyć.

– To na sto procent nie są rzeczy babci. Moja babcia nigdy się nie malowała – stwierdziła.

– Skoro nie babci Feli, to czyje? – Alicja z ociąganiem składała koronkowy peniuar.

– Nie mam pojęcia... Ale zaraz!

Magda odwróciła obie torby do góry nogami i raz jeszcze dokładnie obmacała je od wewnątrz.

– Mam coś! – krzyknęła, gdy natknęła się na niewielkie kieszonki, zamknięte na zamek błyskawiczny.

Jeden suwak ustąpił bez problemu i oczom przyjaciółek ukazało się kilka saszetek cukru z napisem „Air France” i jednorazowa nawilżana chusteczka z tym samym logo. Z drugim poszło trudniej – wyglądało na to, że przy zapinaniu ząbki złapały od środka fragment podszewki i zamek zaciął się na amen. Gdyby nie wyczuwalne przez tkaninę przedmioty, Magda dałaby sobie spokój, ale teraz pragnęła jak najszybciej dobrać się do środka. Szarpnęła niecierpliwie.

– Daj, to trzeba sposobem. – Alicja z trudem naciągnęła materiał. – No, poszło.

Jednorazowa pasta do butów i hotelowy igielnik nie były zaskoczeniem, za to francuski paszport na nazwisko niejakiej Jacqueline Deveraux oraz powrotny niewykorzystany bilet lotniczy do Lyonu już tak.

– O cholera... – Magda błyskawicznie skojarzyła fakty. Bez ceregieli wyrwała paszport Alicji. – Co to za jedna? Ma wizę wjazdową do Polski? Jeżeli tu przyjechała, to muszą być daty!

– Są? Pokaż!

– Są. Jasny gwint! Niech mnie drzwi ścisną! Wszystko się zgadza! To musi być ona! Patrz, jaka ładna! – Magda podsunęła Ali pod nos paszportowe zdjęcie na oko trzydziestoletniej kobiety.

Jacqueline Deveraux przypominała Édith Piaf; jej nawet mało korzystna paszportowa fotografia emanowała niemal namacalnym czarem. Zważywszy na jej wiek i daty w dokumentach, przypuszczalnie to właśnie ona była drugą ofiarą znaną w starej szopie tuż obok szczątków Marcysi. Zgodnie z policyjną ekspertyzą, przypuszczalna data śmierci Jacqueline praktycznie pokrywała się z datą przekroczenia przez nią polskiej granicy.

Magda miała niemal pewność. Doszła do wniosku, że jest już zbyt późno,

żeby zawracać głowę śledczym, ale postanowiła zatelefonować do nich z samego rana. Sprawa była ewidentna. Wprawdzie dochodzenie zostało zamknięte, ale pewna, że niewątpliwie trafiła na niezbite dowody, uznała, że nie można tego tak zostawić.

Tyle że nijak nie potrafiła w tej całej historii umiejscowić udziału babci Feli. Fakt, hrabia był dziwakiem jakich mało i Magda bała się go od najmłodszych lat, więc wizja, że zdziwaczały ramol od czasu do czasu skręcał kark jakiejś biednej białogłowie, nie dziwiła już wcale. Sądziła, że Marcysię zamordował wyłącznie z pogardy dla jej niskiego społecznego statusu, ale świeże znalezisko skutecznie obaliło tę teorię – tajemnicza Jacqueline musiała być arystokratką z krwi i kości, a w najgorszym razie, wyłączając błękitnokrwiste koligacje, kimś, kto plasował się na wysokiej półce. Kimś z elity. Z wyższych sfer.

Późnym wieczorem zmęczone przyjaciółki zasiadły na tarasie. Rozemocjonowane całkiem zapomniały o zimnym piwie, które do tej pory zdołało się ogrzać.

– Matko, ale ohyda. Fuj! – Ala wzdrygnęła się z odrazą, pociągnawszy łyk.

Magda podniosła się, sprawdziła, czy w stajni wszystko jest w porządku, odebrała strusicom dwa nowe jaja i chcąc nie chcąc, pochwaliła Zdzicha za dobrą robotę przy koniach.

Wzięła na kolana laptopa.

– Myślisz, że trafisz na jakiś trop? – zainteresowała się Ala niecierpliwie.

Nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu, więc przemierzała werandę w tę i we w tę. Równie podekscytowanej Magdzie koncentracja także przychodziła z trudem. W okienko internetowej wyszukiwarki wpisała słowa kluczowe.

Poszukiwania ruszyły od razu. Kliknęła na pierwsze z brzegu linki.

– Mam! Patrz!

– Kurde, to po francusku – stwierdziła rozczarowana Ala. – Znasz?

– Nie, ale to nieistotne. *Actrice* to aktorka. Sądząc po liczbie ról, jakie ma na sumieniu, ta Jacqueline była mocno popularna.

– To dziwne. Jakoś nigdy o niej nie słyszałam.

– Bo pewnie występowała pod pseudonimem. Czekaaj... – Magda skopiowała tekst i wkleiła go w okienko internetowego tłumacza. – Zaraz będziemy wiedzieć więcej.

Buszowanie po internecie w poszukiwaniu informacji zajęło przyjaciółkom mnóstwo czasu; nawet się nie spostrzegły, kiedy wybiła północ. A ponieważ

następnego dnia o ósmej rano w stadninie mieli zameldować się strażacy, czekała je wczesna pobudka.

Na szczęście zdobyte informacje wynagrodziły im niewyspanie. Co prawda automatyczny tłumacz często tłumaczył, jak chciał, ale od biedy dawało się wyłapać konkretny kontekst.

Nieszczęsna Jacqueline Deveraux, popularna aktorka teatralna, pewnego dnia przerwała karierę i przepadła bez wieści. Wcześniej podejrzewano ją o chorobę psychiczną i uzależnienie od alkoholu i narkotyków, więc wraz z jej zniknięciem pojawiły się najróżniejsze spekulacje. Jedne źródła jako przyczynę podawały kurację odwykową w ekskluzywnej klinice położonej z dala od ciekawskich oczu i zapewniającej pacjentom pełną dyskrecję, inne podejrzewały operacje plastyczne, depresję, zmianę tożsamości albo pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych. W mediach zaroiło się od domysłów, lecz wkrótce ich uwagę odwróciło coś ciekawszego i ludzie na dobre zapomnieli o Jacqueline.

Niemniej jednak pochodziła ona z arystokratycznej rodziny i istniało prawdopodobieństwo, że ze zdziwaczalym hrabią łączyło ją dalekie pokrewieństwo. Żeby jednak to stwierdzić, trzeba by zagłębić się w zawiłości co najmniej dwóch drzew genealogicznych, westchnęła Magda. A ja mam co innego do roboty, stwierdziła.

– Idę spać – powiedziała do Ali. – Ty też się kładź. Jutro ciężki dzień. Już nie mogę się doczekać, kiedy strażacy sfajczą tę naszą ambonę. To może wyglądać całkiem ciekawie. – Zamknęła laptopa i rozmasowała plecy.

Przed snem nie odmówiła sobie przyjemności – na paluszkach poszła do pokoju babci i przymierzyła wspaniałe bryczesy Jacqueline. Leżały jak ulał.

A później padła na poduszkę jak nieżywa.

– Słuchaj, a co się właściwie stało z tymi kośćmi spod szopy? – zapytała Alicja przy śniadaniu.

Od wczesnego rana strażacy tarzali się w piachu. Ich ćwiczenia wcale nie były tak widowiskowe, jak można się było spodziewać, przyjaciółki odpuściły sobie zatem widok uganiających się po stadninie spoconych facetów i wróciły do domu na śniadanie.

– Nie mam zielonego pojęcia. Najpierw zabrano je do zakładu medycyny sądowej, a później to nie wiem.

– Przecież chyba łapiduchy nie wyrzuciły ich na śmietnik? – drażyła temat Alicja.

– Wariatka! – roześmiała się Magda. – Pewnie pochowano je na koszt państwa jako NN i tyle. A co?

– A nic. Tak tylko pytam, z ciekawości. Możliwe, że policja może więcej i dogrzebie się do jakichś głębszych związków tej kobitki z naszym hrabią niż my.

– Ten cały hrabia to małe piwo. Mnie bardziej interesuje, co ma z tym wspólnego babcia Fela. Przeczytałam już większość listów z tamtego okresu i zero jakichkolwiek śladów.

– Szkoda.

– Matko, czy u nas kiedyś nastąpi normalność? – Magda się wzdrygnęła, gdy opodal ponownie rozległ się huk eksplozji.

Głuchy łoskot zwiastował detonację czegoś o większej sile rażenia, więc zaniepokojona o zwierzęta i budynki wyjrzała przez kuchenne okno. Dostrzegła, że jak na razie strażacy zdążyli zrównać z ziemią teren wokół głównej ujeżdżalni. W ramach ćwiczeń wywołali cztery kontrolowane pożary i uruchomili syrenę alarmową o cztery razy za dużo. Alicja na wszelki wypadek zabroniła wypuszczać konie ze stajni, dopóki szkolenie nie zostanie zakończone, ale i tak cały inwentarz był niespokojny. Kilka koni wczesnym rankiem pojechało daleko w teren, ale pozostali mieszkańcy stajni musieli poczekać na opuszczenie boksów.

– No i jak? Może być?

Przygotowująca się do wyjścia staranniej niż zwykle Magda dokończyła makijaż i zadowolona z siebie okręciła się przed lustrem.

– A dla kogo ty się tak stroisz? Dla policji? – Ala uśmiechnęła się pod nosem.

W trakcie dochodzenia jeden ze śledczych przyglądał się właścicielce stadniny uważnie. Czujne oko młodej kobiety kilkakrotnie złowiło jego zainteresowane spojrzenie.

– Nie, głupia ty. Dla siebie – wyjaśniła Magda. – Każda kobieta musi czasem wyglądać jak człowiek. Choćby dla poprawy humoru. Akurat w tym zakresie mam ostatnio spory deficyt. Przynieś mi rzeczy tej aktorki.

– A po co?

– Oddam je policji.

– A na co im one? Weź paszport, to powinno wystarczyć. Szkoda byłoby, gdyby te cuda znikły w jakimś magazynie. Te bryczesy, ech... – westchnęła Ala i z żalem pomyślała o koronkowym peniuarze.

Ostatnio wręcz usychała z miłości, więc schudła pięć kilogramów, ale to w dalszym ciągu było o wiele za mało, by wcisnąć się w ekskluzywny fatalaszek. A tak by się jej przydał. Krzysiek wychodził już za trzy dni, a ona zamierzała jakoś uczcić ich pierwszą wspólną noc.

– Myślisz? – zastanowiła się Magda.

– No pewnie, że tak. Powiedz im, że znalazłaś jej rzeczy osobiste i tyle.

– W sumie racja.

– Przecież nie miała bliskich, więc na co policji ciuchy baby, która nie żyje od paru dekad? Najwyżej oddasz im, jak się upomną.

– Tak – postanowiła Magda. – Biorę tylko paszport i kosmetyczkę! Na szczotce do włosów jest dość materiału do zbadania DNA. To powinno wystarczyć do potwierdzenia tożsamości.

– No! Z ciuchami tylko kłopot.

W drodze do Tczewa Magdę dopadły przemyślenia. W niedługim czasie czekała ją rozwodowa przeprawa z Tomkiem, a w Pieńkach trzeba było przygotować się do zimy. No i wciąż brakowało pomysłu, co zrobić z Zofią, z którą ostatnio było coraz gorzej. Stara instruktorka co chwila gubiła wątek albo w kółko powtarzała jedno i to samo. Mieszały się jej osoby i czasy. Kilka tygodni temu ubzdurała sobie, że w odwiedzinie zjechali goście na polowanie, i korzystając z nieobecności domowników, upiekła dwa czterokilogramowe schaby, które Magda zamówiła u miejscowego masarza. Stan Zofii wyraźnie się pogarszał – z dnia na dzień postawna niegdyś kobieta dosłownie nikała w oczach. Nie wiedzieć skąd na jej zawsze wyprostowanych plecach pojawił się garb, a na dłoniach starcze brązowe plamy. Magda przed wyjazdem pokazała jej paszport Francuzki, ale Zofia tylko patrzyła tępo. Przez chwilę wydawało się, że w oczach błysnęła iskra olśnienia, ale staruszka podniosła się i wyszła z domu bez słowa.

Ostatnie wydarzenia nieco przyćmiły wspomnienie nieszczęsnej przygody ze Staszkiem w roli głównej, ale myśl o nim wracała z uporem natrętnej końskiej muchy. Chwilami dręczyła Magdę dojmująca tęsknota za jego silnymi ramionami, by pięć minut później zamienić się w złość na niego i na samą siebie za to, że tak ich poniosło. Szczęście w nieszczęściu, że za sprawą Staszka rozwód jako taki zszedł na dalszy plan, a całkiem niedawno Magda ze zdziwieniem odkryła, że obraz męża pomału zamazuje się w jej pamięci. Ostatnio musiała porządnie wysilić szare komórki, by przypomnieć sobie, jak Tomek wygląda. Dziwne, po tylu latach znajomości i małżeństwa, pomyślała.

I ze względu na fakt, że przez te wszystkie lata nie widziałam poza nim świata... Rozprawa miała się odbyć dopiero pod koniec października i Magda pożałowała, że tak późno. Gdyby to od niej zależało, najchętniej załatwiłaby wszystko już dzisiaj, od ręki, ale niestety nie miała takiej mocy. Ciężko westchnęła i powróciła do terażniejszości. W końcu trzeba wreszcie odfajkować sprawę tajemniczego morderstwa sprzed lat i zapomnieć przynajmniej o tym, postanowiła.

Jak się okazało, rzecz była łatwiejsza, niż przypuszczała. Na wieść o nowym odkryciu nikomu na komendzie nawet nie drgnęła powieka, a funkcjonariusze w krótkich słowach spuścili Magdę po brzytwie. Jeden z nich mocno niechętnie ruszył opasy zad z rozlatującego się obrotowego fotela i obrażony na cały świat zasiadł przy maszynie do pisania. Magda, która nie pamiętała, kiedy widziała ten archaiczny wynalazek po raz ostatni, udzieliła odpowiedzi na kilka zadanych od niechcienia pytań. Choć wśród przenikliwego stukotu klawiszy sama dobrze nie słyszała własnych słów, po kwadransie dostała do podpisania protokół, w którym aż roiło się od błędów i nieścisłości. Nadaje się wyłącznie do przepisania, stwierdziła, ale nie chciała złościć grubasa, aby ten znów nie zaczął walić w klawisze. Posłusznie złożyła podpis, pewna, że nigdy więcej nie usłyszy o nieszczęsnej Jacqueline, dla której odwiedziny w Pieńkach zakończyły się według najgorszego możliwego scenariusza.

– I co? – zapytała Alicja.

Właśnie zakończyła pracę przy koniach i teraz za pomocą ogrodowego węża spłukiwała brud z oficerek.

– Bez rewelacji. Na policji dyżurny spisał moje zeznania w formie jakiejś siczki. I pokwitował odbiór tego, co mu przywiozłam. Wpakował to wszystko do plastikowych torebek i mówiąc delikatnie, spławił mnie po całości.

– Ale co? Naprawdę nic nie mówił? Tak kompletnie cię spławił, bez żadnego komentarza? – nie dowierzała Alicja.

– No tak. Coś tam tylko mamrotał, że szczątki już pochowano na koszt państwa... W sumie co mnie to obchodzi? Sam niewiele wiedział i wyglądał na jednego z tych ciężko myślących. To już nie jest nasz problem.

– Widzisz, jak to dobrze, że nie zawiozłaś im całej reszty rzeczy? – Alicja uśmiechnęła się szeroko.

Z wysiłkiem ściągnęła jeden but.

– A co tutaj? – zainteresowała się Magda.

– Nic nowego. W stajni w porządeczku, Zdzichu w formie, a Zofia

od południa spokojnie kima w bujaku na werandzie. Daj mi chwilę, ogarnę się tylko i zaraz machnę naleśniki z jabłkami. Mamy jajka?

– Nawet nadmiar. – Magdzie udzielił się dobry humor przyjaciółki.

– Ale ja myślę o normalnych, kurzych. Nie potrzebuję wyżywić dwóch bojowych zastępów ochotniczej straży pożarnej, bo chłopcy już sobie poszli, tylko wyczarować kilkanaście placuszków dla trzech kobiet i jednego Zdzicha.

– Takie też mamy. A właściwie to dlaczego my nie trzymamy normalnych kur? – zastanowiła się Magda. – Przecież takie kury sobie same łązą, coś tam dziobią z ziemi i znoszą jajka.

– Nie mamy kurnika – przypomniała jej Ala. – Ale w sumie to żaden problem go zrobić. Choćby i w czworakach albo i na stryszku mniejszej stajni. Dwa kołki na grzędę, trochę siana na gniazda. Strusie nie powinny im przeszkadzać.

– Ale jak tam wejdiesz?

– Normalnie, po drabinie. A kury po desce.

– Jesteś wielka! – Magda aż uściskała przyjaciółkę. – A skąd się bierze kury?

– Nie mam pojęcia. Babcia Fela na pewno by wiedziała. Ale od czego mamy internet?



## Rozdział 4

Magda ściągnęła miejskie ubrania i z przyjemnością zamieniła je na dres, ten ładniejszy. Od samego rana korciły ją ciuchy lepsze niż zwykle; czuła się w nich jak rycerz w paradnej zbroi.

Mijający dzień zaliczyła do tych bardziej udanych i z apetytem zaatakowała górę puszystych naleśników. Rosnące przy domu jabłonie dały tego lata rekordowy plon – klęska urodzaju okazała się niemal nie do ogarnięcia. Ile można przerobić jabłek z przeznaczeniem na szarlotkę? Od obierania ich ze skórek wszyscy domownicy mieli odciski na dłoniach.

– O matuś – jęczała Alicja, rozcierając ścierpnięte plecy. – Przecież my tego nie zjemy do końca świata. Nie możemy tego oddać jakimś biednym dzieciom?

– Ala! Bingo! – Magda doznała olśnienia. – Zaraz obdzwonię okoliczne przedszkola i zapytam, czy nie chcą trochę jabłek. A przy okazji zaproponuję im zwiedzanie naszej stadniny. A może Adam też weźmie co nieco do restauracji?

Ponieważ marnotrawienie czegokolwiek doprowadzało Magdę do białej gorączki, zaatakowała cztery przedszkola w okolicy. Wszystkie wyraziły chęć przyjęcia jabłek, a ona obiecała, że dostarczy je osobiście do końca tygodnia. Zadowolona z pretekstu do nawiązania bliższej współpracy z lokalnymi placówkami edukacyjnymi dokończyła księgowo rozliczenia dla Adama i Wojtka, starannie spakowała dokumenty do teczki i korzystając z chwili wolnego, skrótem przez dziurę w płocie przeszła na teren przyległy do Nestora.

Ogrodzenie obiecywała sobie naprawić już od dawna, ale skrót był wygodny i podobał się również sąsiadom, więc wspólnie ustalili, że dużo lepszym rozwiązaniem będzie furtka. Magda obiecała kupić w Tczewie zawiasy i skobel, a Zdzychu miał zamontować całość. Tyle że zaaferowana Francuzką dziewczyna zapomniała o zakupach kompletnie, więc furtka musiała poczekać.

W hotelowym biurze zastała Wojtka. Na jego biurku piętrzyły się stosy

dokumentów, a na podłodze gdzie popadnie wały się zrolowane mapy katastralne. Brat Adama stał przy oknie bezmyślnie zagapiony w dal. Nie usłyszał skrzypnięcia drzwi, więc drgnął zaskoczony na dźwięk powitania.

– Przepraszam, pukałam. – Magda uśmiechnęła się przepraszająco.

Rozejrzała się za choćby odrobiną wolnego miejsca, gdzie mogłaby położyć papiery.

– Nie szkodzi. Po prostu wyłączyłem się na chwilę. – Wojtek przejął od niej dokumenty i zgarnął z fotela swoje, by mogła usiąść. – Napijesz się czegoś?

– Chętnie. Wodę mineralną z cytryną poproszę. Czy coś się stało?

Wyglądał dziwnie: rozczochrany, nieogolony i w wymiętej koszuli. Mimo niewątpliwej męskiej urody prezentował się okropnie. Zaczerwienione i podkrążone oczy dopełniały wizerunku.

– Nie sądziłem, że to widać. – Uśmiechnął się z przymusem.

– No, niestety, widać. Ale jak nie chcesz, to nie mów.

– Ależ powiem – przerwał. – Moja żona odeszła na dobre.

– O kurczę.

– Właściwie to spodziewałem się tego, ale nie sądziłem, że stanie się to właśnie teraz. Bo przecież już kilka miesięcy temu pogoniła tego cholernego kolesia w diabły. Palant pieprzony! Cholera!

Wojtek dopił whisky i przez interkom zamówił kolejną. Magda wyczuła, że biedak potrzebuje się wygadać, więc nie odzywała się ani słowem. Znam ten ból, pomyślała.

– Jakoś to przełknąłem i dałem jej szansę. Przez wakacje mieliśmy wszystko naprawić. Już było prawie dobrze, gdy ten jej zakichany kochaś z bożej łaski napatoczył się ponownie. Właśnie dostał rozwód, porzucił rodzinę i upomniał się o moją żonę. A ona dla niego porzuciła mnie. Rozwodzę się – zakończył Wojtek, patrząc Magdzie prosto w oczy.

– Ha! Witaj zatem w klubie rogowy. – Zaprezentowała ponury uśmiech.

– Wiesz, czasem sobie myślę, że ktoś nas przeklął. Mnie i Adama. Dwóch braci i dwie identyczne historie małżeńskich porażek.

– Bzdura. Wiem, przez co przechodzisz, ale wiedz, że to mija.

– Ale sama powiedz, czy mnie i mojemu bratu czegoś brakuje? Czy wypadliśmy spod ogona jakiejś pieprzonej sroce? Przecież nie jesteśmy byle głupkami! Jesteśmy zamożni, wykształceni, dobrze wychowani. I co? I dupa!

– Niczego wam nie brakuje. Tyle że nie na tym to wszystko polega.

– A na czym? – Wojtek z każdym łykiem zdradzał objawy coraz większego

upojenia. Po wychyleniu drinka nieporadnie zdusił głębokie czknięcie.

– A czy mnie czegoś brakuje? Nie licząc, oczywiście, parunastu centymetrów w biodrach? – zapytała Magda przewrotnie.

– Eee... No nie – zająknął się jej rozmówca i obrzucił sąsiadkę takim wzrokiem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

Uważnie zlustrował ją od góry do dołu, aż Magdzie zrobiło się głupio.

– Och, przestań! – fuknęła. – Chcesz, żebym się speszyła? Gdzie jest twój brat?

– Adam? – zapytał Wojtek nieprzytomnie.

– A masz jeszcze jakiegoś?

Zniecierpliwiona Magda wstała z fotela i podeszła do drzwi. Pomimo że jak nikt inny rozumiała, co przeżywa mężczyzna, poczuła, że powinna już iść.

– Zostań jeszcze przez chwilę! – Wojtek zniecierpliwiony znalazł się przy niej.

Nie zdążyła zareagować. A on objął ją mocno i gwałtownie przycisnął wargi do jej ust.

Poczuła okropną woń alkoholu.

– Oszalałeś?! – syknęła i spróbowała go odepchnąć, ale bez powodzenia.

Przestraszyła się nie na żarty.

Nie wiadomo, co stałoby się za chwilę, gdyby do drzwi nie zapukała recepcjonistka i nie wybawiła Magdy z opresji. Ta w ułamku sekundy wykorzystała moment zawahania napastnika i gwałtownym ruchem wyzwoliła się z silnych objęć. Wybiegła na zewnątrz, jakby ją ktoś gonił, i popędziła w stronę lasu.

W końcu zabrakło jej tchu. Zdyszana oparła się o drzewo i upewniwszy się, że jest sama, ukryła twarz w dłoniach. Przykucnęła i spróbowała się opanować, ale nic z tego – roztrzęsiona sytuacją, która przydarzyła się jej po raz pierwszy w życiu, dygotała. Nie spodziewała się takiego ataku, nie ze strony Wojtka. Nie znała go wprawdzie długo, ale w ocenie ludzi myliła się rzadko.

Zrezygnowana wstała i powoli ruszyła w stronę domu. Rytmiczny marsz pomógł jej się wyciszyć, więc zanim dotarła na miejsce, zdołała uspokoić oddech i drżenie rąk.

Postanowiła, że położy się wcześniej, ale zanim zaległa na łóżku, jej wzrok padł na elegancki sakwojazd od Hermès. Tym razem bez oporów rozsunała zamek.

Po kilku minutach, gotowa do jazdy, energicznie wkroczyła do stajni.

- Pomożesz mi osiodłać konia? – zapytała zaskoczoną Alicję.
- No pewnie. Który maneż ci zwolnić?
- Żaden. Jadę w teren.
- Sama? Po zachodzie słońca? Zgłupia... – Ala przerwała w pół słowa. Coś w oczach przyjaciółki kazało jej zamilknąć.
- Tak. Sama. Pomożesz mi czy nie?
- Mogę pojechać z tobą.
- Nie.
- Skoro tak, to przynajmniej weź Biesa, dobra? Proszę.
- Dobrze.

O dziwo, Magda przystała na propozycję.

Czarny jak noc Bies, przeciwnie do diablego wydźwięku swojego imienia, był najbardziej potulnym wałachem na świecie. Zwykle przeznaczano go pod nowicjuszy, do jazdy na małej ujeżdżalni. Nie było szans, żeby kogoś zrzucił albo wierzgnął bez powodu. Poczciwiec uwielbiał swoje zajęcie i gdyby mógł, chętnie sam by się siodłał.

Wąska leśna dróżka z perspektywy końskiego grzbietu wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Magda pewnie ujęła wodze, docisnęła łydki i Bies gładko przeszedł w kłus. Mając w pamięci wszystkie nauki Zofii i Alicji, obciągnęła pięty w dół i wyprostowała plecy. Była z siebie naprawdę dumna. Anglezowanie nie sprawiało jej żadnego problemu, przestała się zastanawiać nad techniczną poprawnością dosiadać. Po chwili, żeby nie zmęczyć konia, przeszła do stępa i zmieniła kierunek.

Wydawało się jej, że zna okolicę całkiem dobrze, ale przejęta samodzielnym wypadem, pogubiła się nieco. Uważnie rozglądała się wokół, szukając punktów charakterystycznych. Odetchnęła z ulgą na widok zwalonego drzewa, w pobliżu którego całkiem niedawno zbierała borówki. Świadomość, że mimo wszystko dobrze sobie radzi, a do tego prezentuje się w szykownych ciuchach jak najlepszy jeździec świata, zdecydowanie poprawiała humor. To nic, że ten bajerancki strój widział tylko koń.

– Widzisz, Bies – perorowała. – Miło mi, że chciałeś ze mną pojechać. – Zeskoczyła z siodła i poklepała poczciwe konisko po szyi. – Spoko z ciebie gość, choć jesteś prawie facet. A co drugi facet na świecie to palant.

– Co drugi? A skąd takie straszne statystyki? – usłyszała za sobą rozbawiony tubalny głos.

Mężczyzna zaskoczył Magdę tak, że nawet nie zdążyła się przestraszyć. Była

pewna, że poza koniem w okolicy nie ma żywego ducha.

– Cóż, z życia – odparła i uważnie otaksowała nieznajomego.

Postawny mężczyzna właśnie zeskokczył z siwka i podszedł, by się przywitać. Nie miał więcej niż czterdzieści lat. Był tak wysoki, że Magda, pomimo swojego metra siedemdziesięciu, musiała zadrzeć głowę.

– Na serio takie skopane to życie? – zapytał. – Mieszka pani w pobliżu czy to tylko rekreacja?

– Jedno i drugie. Prowadzę stadninę w Pieńkach – odparła Magda.

Zazwyczaj unikała obcych, zwłaszcza po zachodzie słońca, ale fakt, że mężczyzna porusza się konno i ma na sobie uniform podobny do tego, jaki noszą leśnicy, podświadomie budził jej zaufanie. Dopiero później zauważyła przytroczoną do siodła myśliwską broń.

– Marek Sadowski – przedstawił się nieznajomy. – Jestem gościem miejscowego nadleśnictwa. Prowadzę tutaj kontrolę. Nie jestem nikim strasznym, więc proszę się nie bać.

– Miło mi. – Magda bez obaw wyciągnęła dłoń na powitanie. Śmiejące się brązowe oczy mężczyzny patrzyły przyjaźnie. – Tak właśnie sobie pomyślałam, ponieważ znam większość jeźdźców w okolicy.

– Pracuję jako unijny obserwator. Kontroluję funkcjonowanie gospodarki leśnej. Wyłapuję wszelkie nieprawidłowości i nadużycia.

– To interesujące.

– Generalnie myśliwi, leśnicy i drwale mnie nie lubią.

Magda nawet nie zauważyła, kiedy zasiedli na zwałonym pniu i zagadali się na dobre. Marek był tak wspaniałym gawędziarzem, że zapomniała o bożym świecie. Nie miała pojęcia, że w łowiectwie i leśnictwie dochodzi do aż tak wielu nadużyć. Zawsze wydawało się jej, że łowiectwo to zajęcie mające pomóc w utrzymaniu równowagi w przyrodzie, tymczasem nawet wśród myśliwych na dużą skalę rozpanoszyła się plaga kłusownictwa. Leśnicy natomiast na lewo handlowali państwowym drewnem, przymykając oko na nielegalne wycinki i lokalne kradzieże. Obserwatorzy, tacy jak Marek, mieli pełne ręce roboty.

– Matko jedyna! – Magda w panice spojrzała na zegarek. – Ale się zagadaliśmy! Muszę już wracać. W domu pewnie wszyscy umierają z niepokoju.

– Odprowadzę cię. We dwójkę zawsze różniej. Zwłaszcza po ciemku – zaofiarował się Marek.

– Dziękuję. Dziś pierwszy raz wybrałam się w teren sama. I jeszcze nigdy nie jechałam konno po zachodzie słońca.

– Damy radę. Trzymaj się blisko mnie.

– A jak potem trafisz do leśniczówki?

– Na nos nie trafię. Nie ma ludzkiej siły, żebym znał wszystkie lasy w kraju. Ale zawsze mam ze sobą profesjonalny wojskowy nadajnik GPS, więc nie zginę. Tyle że dziś nie wrócę tam konno.

– A jak?

– Normalnie. Zadzwońię po kogoś, żeby po mnie przyjechał.

– A koń?

– Wsadzimy go na przyczepę.

Po przypadkowym spotkaniu i rozmowie Magda zapalała do nowego znajomego szczerą sympatią. Wcześniej nie sądziła, że można tak bardzo polubić kogoś w kilka godzin. Zwłaszcza w tak wariacki dzień, kiedy tyle się stało. Marek spadł jej jak z nieba.

– Jeśli nie chcesz robić kłopotu leśniczemu, mogę cię odwieźć. Konia zostawimy na noc w stajni, a jutro go sobie odbierzesz. Jak ma na imię?

– Ciacho.

– Ciacho? Poważnie?

– A czyż nie jest piękny? – roześmiał się Marek rubasznie.

Magda zawtórowała mu, po czym zniecka znalazła się na ziemi. Idąc stępa w kompletnych ciemnościach, Bies potknął się o coś. To wystarczyło, by amazonka wyleciała z siodła.

– Jezu – sapnęła oszołomiona.

Próbowała wziąć głębszy oddech, ale nic z tego. Skutecznie uniemożliwił jej to ból w okolicy żeber po prawej stronie.

– Nic ci nie jest? – Marek zeskoczył z konia.

– Chyba nic. Ale tak mnie boli, że widzę wszystkie gwiazdy. A na dodatek Bies właśnie poszedł sobie w cholerę.

– O niego się nie martw. Wróci do stajni. Czy te światła to już twoja stadnina? – zmienił temat.

– Tak. – Magda wstała z trudem. Ból był tak dotkliwy, że niemal wyciskał łzy przy każdym oddechu. – O, moje biedne zebra. Pewnie je stłukłam. Boli jak jasny gwint!

– Obiłaś je o kamienie?

– Nie. O własny łokieć.

W ciemnościach nie widziała niczego, ale była pewna, że ręka, na którą upadła, jest mocno poraniona. Na razie jednak nie liczyło się nic oprócz żeber.

Z pomocą nowego znajomego jakoś dotarła do domu. W drzwiach stajni czekała już Alicja z karczemną awanturą na ustach, ale na widok przyjaciółki podeszła bez słowa i uściskała ją mocno.

– Dlaczego nie wzięłaś ze sobą telefonu? I co to za jeden? – wyszeptała jej do ucha.

– Później. Poobijałam zebra i trudno mi oddychać – również szeptem odparła Magda.

Nie chciała niepokoić Ali, więc robiła dobrą minę do złej gry, ale dziewczyna nie dała się zwieść.

– Albo nawet połamalaś – stwierdziła.

Ze względu na stan Magdy i późną porę Marek darował sobie transport konia po nocy. Na widok stajni aż gwizdnął z uznaniem, więc bez zbędnych dyskusji Zdzichu zaprowadził Ciacho do boksu. Rozsiodłał konia, napoił i nasypał mu obroku. A Marek zatelefonował do leśniczówki.

Po kwadransie było już po wszystkim.

– Skąd ty wystraszyłaś tego kolesia? Gadaj, co to za jeden? – Alicję zżerała ciekawość.

– Skąd wystraszyłam? Z lasu. To europejski obserwator leśnictwa i myślistwa. Wiesz, taki ichni branżowy Don Kichot.

– Hm, całkiem niezły ten Kichot. – Ala chrząknęła znacząco i posłała przyjaciółce porozumiewawcze spojrzenie.

– Och, przestań! Walczy z kłusownictwem i innymi nadużyciami – jęknęła Magda i z wysiłkiem zdjęła bluzkę.

Prawy rękaw był cały zakrwawiony, lecz na szczęście eleganckiemu ciuszkowi nie stało się nic więcej. Skóra na przedramieniu była otarta, ale przyschnięta. Magda dostrzegła kilka granatowofioletowych siniaków i na tym zakończyła oględziny obrażeń.

– Nie rozumiem, jakim cudem Bies mógł cię zrzucić – zastanawiała się na głos Ala.

– Ale on mnie nie zrzucił. Szliśmy stępą po ciemku, potknął się i poleciałam. Po prostu straciłam czujność. Wiesz, nonszalancja kogoś, komu się wydaje, że już umie, a nie umie. – Magda chciała się roześmiać, ale nie dała rady. – Jezu, jak boli... – kwiknęła w drodze do łazienki.

Wyglądała opłakanie, więc Alicja zrezygnowała z mocniejszej reprimendy.

Dotychczas miała właścicielkę stadniny za osobę zrównoważoną i postępującą w miarę racjonalnie, ale jej dzisiejsze zachowanie przeczyło temu całkowicie. Coś musiało się wydarzyć, że ta silna dziewczyna na chwilę straciła rozum.

– Powiesz mi, co się stało, czy nadal mam udawać ślepią? – Podsunęła Magdzie kubek gorącej herbaty ze słodko-ziołowym likierem.

– Mmm. Pycha! Skąd to wytrzasnęłaś? – Magda z lubością pociągnęła długi łyk.

– Znalazłam w spiżarni. To prawdziwy jägermeister. Stary jak świat i na specjalne okazje – powiedziała Ala i puściła oko. – Dziś jest pierwsza.

– Tak. Mój pierwszy upadek. Jutro chyba pojedę na prześwietlenie. Zawieziesz mnie, jak coś?

– Nie dam rady. Praktycznie od rana mam lekcje. Poza sezonem to cud, głupio je odwołać.

– Dobra. Może dam radę sama.

– A nie zawiezie cię Adam? Albo Wojtek?

– Broń Boże!

Nagromadzone napięcie w końcu odpuściło i Magda opowiedziała Alicji wszystko, co wydarzyło się minionego dnia. Gdyby te przekłete zebra nie bolały tak bardzo, zapewne rozszłochałaby się na całego, ale musiała wziąć się w garść i maksymalnie spłycić oddech.

– Co za dupek! – Ala naląła sobie kieliszek likieru. Już bez herbaty.

– Teraz rozumiesz? Jak ja mam dalej współpracować z moimi sąsiadami po takim numerze? Kurczę, co krok mam gdzieś nagrabilone. Jak nie weterynarz, to stajenny, jak nie stajenny, to mój mąż, a jak nie mąż, to hotelarz. A teraz jeszcze się napatoczył jakiś unijny tępicieł kłusowników. Rycerz na białym koniu. Szlag by to wszystko trafił!

Dzięki wrodzonej bystrości Alicja od razu wychwyciła wzmiankę o weterynarzu, który nagle, z dnia na dzień, stał się w ich stadninie persona non grata. A zestawienie go z mężem i dzisiejszą akcją z udziałem Wojtka dało jej sporo do myślenia. Nawet uwagi o Zdzichu i nowym znajomym nie zdołały przytępić logiki spostrzegawczej instruktorki.

– Przecież to idzie sobie w łeb strzelić – skwitowała Magda.

I zgięta w pół wychyliła na dobranoc jeszcze jeden mały kieliszeczek likieru.



## Rozdział 5

Od upadku minęły dwa dni, a stan Magdy wcale się nie poprawiał. Pomna chrupnięcia przy zderzeniu z ziemią, była prawie pewna, że ma pęknięte lub złamane przynajmniej jedno żebro, na razie jednak owinęła się elastycznym bandażem i chwilowo wstrzymała z prześwietleniem i wizytą u lekarza. W internecie wyczytała, że w podobnych przypadkach żeber się nie gipsuje. Musiała odcierpieć swoje, jak dusza potępiona, skazana na pokutę za życia. Środki przeciwbólowe nie działały prawie wcale; dopiero po zażyciu podwójnej dawki ketonalu odczuła względną poprawę. Przy każdym ruchu ból wyciskał łzy z oczu, a na usta cisnęły się najgorsze przekleństwa. Do tego miała co nieco do roboty. Dopóki spała lub siedziała bez ruchu, dawało się wytrzymać, było gorzej, gdy tylko się poruszyła. A gdy zbierało się jej na kichnięcie, cytowała z pamięci calutką litanię do wszystkich świętych.

Za to Alicja fruwała jak rozszczebiotana ptaszyna. Ze śpiewem na ustach pucowała do połysku, co tylko się dawało. Na przyjazd Krzyśka wszystko musiało lśnić. Magda nie wierzyła własnym oczom – metamorfoza największej bałaganiary i brudaski świata we wściekłą pedantkę była tak dużym zaskoczeniem, że co chwila przecierała oczy ze zdumienia. A gdy Alicja zabrała się do samodzielnego odkurzania pajęczyn w składziku pod schodami, Magda uszczypnęła się nawet, żeby przekonać się, że nie śni. Pragnęła, by Krzysiek, sprawca cudu, wdroył się natychmiast w swoje obowiązki. Cały czas myślała też o Zdzichu. Stajenny ostatnio mocno się poprawił, ale jego dalsze losy wciąż stały pod znakiem zapytania. Jak na razie Magda nie potrafiła mu zapomnieć wcześniejszych wpadek. Choć teraz nie pił tyle co poprzednio, a od jakiegoś czasu codziennie był trzeźwy, w jego przypadku nie można było być pewnym dnia ani godziny. Na razie i tak musiał zostać, by przyuczyć Krzyśka, ale Magda planowała odbyć z nim jeszcze jedną, ostateczną rozmowę. Tyle razy zawiódł jej zaufanie, że marzyła, aby wreszcie się go pozbyć. Z drugiej jednak strony był pracowitym człowiekiem

i doświadczonym stajennym. Do tego nie miał gdzie się podziać, a jego chlebodawczyni miała wystarczająco dużo przyzwoitości, żeby z dnia na dzień nie wyrzucać go na bruk. A już z pewnością nie przed zimą. Tak czy siak, wybór należał do Zdzicha. Albo odwyk, albo do widzenia.

Przelotnie pożałowała, że pożyczyła podekscytowanej Ali samochód, aby ta osobiście mogła odebrać lubego spod bramy aresztu.

– Skup się, dziewczyno, bo wylądujesz w rowie albo na drzewie – upomniała ją z troską. – Uspokój się.

– Kiedy ja nie mogę. – Alicja niecierpliwie dreptała w miejscu. – Już bym pojechała.

– I co? I będziesz tam kwitnąć przed bramą? A może niech to on na ciebie zaczeka?

– A jak zobaczy, że mnie nie ma, i sobie pójdzie?

– Jak kocha, to prędzej tam korzenie zapuści, niż pójdzie gdziekolwiek – powiedziała Magda przytomnie i wymyśliła dla Alicji dodatkowe zajęcia. – Jak już będziesz w tej Bydgoszczy, to zrobisz zakupy. Potrzebne mi zawiasy do furtki i metalowy skobelek albo haczyk. Mydło, proszek do prania i płyn do naczyń. Notujesz? Jeszcze brukselka, kasza i duża włoska kapusta. Nie mam cierpliwości robić gołąbków z normalnej o tej porze roku. Reszta jest.

– Zapisałam. Przydałby się jeszcze nowy mop, bo stary już nie wyrabia. Najlepiej taki prostokątny, jaki mają w reklamie.

– Dobrze, ale to już kupimy w internecie. Będzie taniej. Jedź ostrożnie, dobrze?

Magda z pewną obawą pożegnała przyjaciółkę. Pozostawało wierzyć, że nowy ukochany Alicji okaże się wart grzechu i dziewczyna znowu w sobie nie zwątpi. Tak, znała swoją wartość i miała wystarczająco silną wolę, by samodzielnie wydobyć się z sideł damskiego boksera, pomyślała. W ostatniej chwili zdołała uratować swoje doszczętnie skopane ja i zacząć wszystko od nowa.

Magda była pełna podziwu.

Ona właściwie też by tak potrafiła, ale dopiero dzisiaj, dopiero gdy okrzepła, a w międzyczasie narobiła głupot, które odbiły się ostrą czkawką. Teraz i do niej docierało pomału, że to, co się stało, to wcale nie jej wina. Przecież wcale nie była jakaś niefajna czy mało atrakcyjna. Często brzydsze od niej miewały wspaniałych facetów, a pokraczni brzydale – przeciwnie – piękne kobiety. Na miłość nie ma rady, westchnęła w duchu, i to, czy masz

o pięć centymetrów za dużo i maniakalnie chcesz je zgubić, bo cię wkurzają, wcale nie jest miernikiem twojej wartości. Po prostu albo się kogoś kocha, potrzebuje i pragnie, albo nie, a centymetr i waga nie mają nic do tego. Iskrzy albo nie iskrzy. Ot i cała filozofia. Proste jak drut.

Zamyślona wyszła przed dom i pomachała na pożegnanie znikającemu w oddali autu. Ala pognała, jakby ją ktoś gonił.

Złota polska jesień rozpanoszyła się w Pieńkach na dobre; o tej porze dnia okoliczne podświetlone słońcem drzewa wyglądały wyjątkowo malowniczo. Gdyby ktoś kiedyś namalował ten pejzaż, pewnie trąciłby on kiczem, ale teraz umysł Magdy z przyjemnością rejestrował ciepłe barwy i upajającą woń żywicy. Z kubkiem kawy w dłoni przycupnęła na wejściowych schodkach i z lubością grzała się w słońcu. Dziś będzie dobry dzień, pomyślała i westchnęła zadowolona.

– Cześć! Jak twoje kości? – Z zadumy wyrwał ją głos Marka.

– A dzięki, żyję. Marnie, ale żyję. Bo popatrz tylko. – Wskazała na las. – Jakie to życie jest piękne. Nie ma co narzekać.

– Piękne, piękne – potwierdził. – Jako zdeklarowany stary kawaler...

– Teraz to się nazywa singiel – weszła mu w słowo Magda.

– Niech będzie i singiel. Tak czy siak, doceniam uroki przyrody. Jestem pewien, że pierwszy lepszy zarobiony po uszy ojciec piątki dzieci nie ma czasu na takie rzeczy. Mój stan generuje same dobrodziejstwa. Kto ma dziś czas, żeby się zatrzymać, popodziwiać naturę, pokontemplować pierwsze pąki w kwietniu i pierwsze złote liście pod koniec września? Delikatne sasanki i gwiazdki śniegu? Czy wiesz, że wśród miliardów śnieżynek nie ma dwóch takich samych?

– Wiem.

– Przecież to jest cud.

– Taaa. Chcesz kawy?

Magda uznała, że jej rozmówcę chyba trochę poniosło. Nie znała go zbyt dobrze, ale postanowiła delikatnie sprowadzić na ziemię.

– Wolę herbatę.

– Z jägermeisterem? Przyjechałeś samochodem?

– Nie. Przed chwilą wypuściłem Ciacho na twoje pastwisko. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, skądże – roześmiała się.

– A w temacie samochodu... Jadąc tutaj, widziałem małe autko pędzące

w stronę głównej drogi. Czy to twoja przyjaciółka?

– Owszem. Jedzie po swojego lubego, który... Eee... – Magda zreflektowała się w ostatniej chwili. – Właśnie się do nas przeprowadza, żeby pomóc nam w stadninie – dokończyła.

– Rozumiem. – Marek starannie obciągnął pasującą do spodni bluzę moro.

Ponieważ Magda nie zauważyła, żeby jak większość facetów w trakcie rozmowy wciągał brzuch, zaprosiła go na coś słodkiego. O dziwo, Zofia na widok przystojnego przybysza odzyskała pamięć i pełnię władz umysłowych. Nie pytając zainteresowanego o zdanie, poczęstowała go kompotem i jeszcze ciepłym plackiem ze śliwkami. Gdy oprószała wierzch cukrem pudrem, Magdzie ślinka napłynęła do ust. Skutek był taki, że ona i Marek spałaszowali prawie pół blachy. W końcu na Krzysztofa czeka jeszcze szarlotka i francuskie kopertki z białym serem, rozgrzeszyła się. No i Alicja. Rozpalona jak piec martenowski.

– Zaraz pęknę. – Marek dopił kompot i dyskretnie poluzował pasek o jedną dziurkę. – Właściwie to przyjechałem się pożegnać. Muszę przerwać pracę na kilka dni i odwiedzić ojca w Gdańsku. Leży w szpitalu, jest umierający. Dzwoniono do mnie rano. Mam nadzieję, że zdążę.

– Bardzo ci współczuję.

– Co zrobisz? Takie życie – westchnął ciężko.

– Ciacho zostaje w leśniczówce czy u mnie? – zapytała.

– A masz wolne miejsce? Mógłby, oczywiście, zostać w leśniczówce, ale tylko by się tam nudził.

– Cała stajnia jest zajęta, a mniejsza jeszcze nie jest gotowa – zmartwiła się Magda. – Ale mogę mu zaproponować boks i zagrodę dla owiec, których jeszcze nie mam. Za towarzystwo będzie miał po sąsiedzku niewielkie stado uroczych kózek.

– Byłoby świetnie. Oczywiście zapłacę, ile będzie trzeba.

– No coś ty.

Choć przydałby się jej każdy grosz, Magda czuła, że nie wypada wziąć tych pieniędzy. Nowy znajomy był tak sympatyczny, że to nie wchodziło w grę.

– Ale przecież nie zostawię go tutaj na krzywy ryj – powiedział. – Nawet w takiej masie zwierzaków to kosztuje.

– Mowy nie ma!

Wprawdzie Magda uparła się jak osioł, ale i Marek nie chciał czuć się głupio, więc zaproponował salomonowe rozwiązanie – podczas pobytu

w Pieńkach Ciacho jazdami miał zarobić na swój wikt i opierunek. Był spokojnym i ułożonym zwierzęciem. Magda przyklasnęła pomysłowi, bo w stadninie wystąpił chwilowy deficyt koni nadających się dla adeptów hippiki. Bies po pamiętnym wypadzie do lasu sam wprawdzie powrócił do stajni, ale okulał przy nieszczęsnym potknięciu, które i dla Magdy skończyło się nieciekawie. Trzy konie nabawiły się otarć i na razie nadawały się wyłącznie do jazdy na oklep, a na to nie każdy miał ochotę. Do tego Zefir, ulubieniec większości małych amatek, najadł się świeżego pieczywa, a na dodatek dokuczał mu ochwat. Wsparcie w postaci Ciacha nieco ratowało sytuację.

Podczas pożegnania Zofia dołożyła Markowi jeszcze jeden pachnący kawałek placka ze śliwkami na wynos. Uśmiechnął się serdecznie i skomplementował kulinarny talent staruszki. Ta aż pokraśniała z zadowolenia.

– A co zostanie dla Krzyśka? – Magda ofuknęła ją delikatnie, szczęśliwa, że stara kobieta tak dobrze się czuje.

– Przecież sam dziś wszystkiego nie zezre, a jutro upiekę drugie! – huknęła Zofia swoim zwyczajem, aż zadzwoniły szyby w oknach.

– Racja, Zofio. Aha, dasz mi przepis? – Magda pogłaskała starowinkę po rękę. – Alicja ma wieczorem umówione kilka lekcji z nowymi kursantami i przydałby się jej ktoś do pomocy. Nie pomogłabyś? – dodała.

– Pomogę, pomogę. Całe życie wszystkim pomagam, to i jej też.

Magda też chętnie by pomogła. Potrafiła już poprowadzić konia na lonży, ale chwilowo nie pozwalała jej kontuzja żeber, więc z radością przyjęła nieoczekiwane wsparcie.

Marek przed odjazdem musiał jeszcze rozsiodłać konia, więc poszli razem na pastwisko.

– A co się stało z owcami, że ich zagroda jest pusta? – zapytał.

– Nie wiem. Jak byłem dzieckiem, zawsze były tam owce. Teraz nie ma, za to obok są kozy. Życie mi uratowały.

– Kozy?

– Tak. To znaczy nie mnie, a źrebakowi. Jego matka padła przy porodzie, a nam pozostawiła dwa oseski, które trzeba było jakoś karmić przez kilka dni, dopóki nie ożrebiły się kolejne dwie kobyły. Kozie mleko było dla maluchów jak znalazł. Jest lepsze niż krowie. Pamiętam, jak musiałam w kwadrans nauczyć się dojenja. Ale byłam w takim stresie, że nauczyłam się w pięć

minut! – roześmiała się Magda. – A owce? Na razie myślę o nich. Tuż za płotem jest hotelowa restauracja, a w niej mnóstwo odpadków. Teraz biore trochę tego dla kóz, żeby urozmaicić im dietę, ale przecież mogę brać więcej. Miałabym darmowe utrzymanie dla małego owczego stadka, a przy okazji szef kuchni pozbyłby się części kłopotu z niedokończonym jedzeniem pozostawianym na talerzach.

– Sprytne.

– Wiesz, jak to jest. Im więcej gąb do wykarmienia, tym jednostkowo taniej wychodzi, a robota ta sama. Na razie mam konie, kozy, strusie i psy. Owce i kury nie zrobią już większej różnicy. – Magda parsknęła śmiechem, ale obite żebra natychmiast sprowadziły ją na ziemię. – O matuchno kochana – jęknęła i zwinęła się z bólu.

– Ty chcesz założyć tutaj zoo?

– A czemu nie? Nie mam kasy, ale założę wszystko, na co dostanę unijną dotację. Ponoć bardzo opłacalna jest hodowla danieli. Im więcej gatunków, tym ciekawiej dla dzieciaków. W dzisiejszych czasach dzieci z miasta doskonale wiedzą, jak wygląda kangur, za to w życiu na własne oczy nie widziały normalnej krowy.

Po Marka przyjechał syn leśniczego, więc Magda pożegnała znajomego serdecznie i powróciła do swoich zajęć. Żeby za dużo się nie ruszać, usiadła do domowych rachunków. Sprawdziła stan konta bankowego i zadowolona, że Adam wypłacił jej już wynagrodzenie, uruchomiła najpilniejsze przelewy. Kupiła przez internet kukurydzę dla strusi, a po krótkiej chwili wahania jeszcze zapas wysokobiałkowego bobiku oraz kredy pastewnej, niezbędnej, jeśli strusie jaja miały mieć odpowiedniej twardości skorupki. Starannie obliczyła proporcje i przeliczyła wszystko na kilogramy, żeby nie robić niepotrzebnych zapasów. Okres nieśności samic właśnie dobiegał końca, więc ich dieta musiała ulec zmianie – dwukilogramowa dzienna dawka żywieniowa obniżała się o jedną czwartą, za to w ptasim jadłospisie wzrastał procentowy udział kukurydzy.

Hodowla Magdy, kompletnie zielonej w temacie, zapewne przepadłaby z kretesem, gdyby nie cenne porady Uli i Jakuba, właścicieli strusiej fermy pod Olsztynem, u których nabyła swoje stadko. To oni byli jej nauczycielami. Miała szczęście, bo Ula okazała się totalną gadułą, a jej mąż również nie pozostawał w tyle. A do tego cała trójka polubiła się szczerze i postanowiła utrzymać kontakt. Ula ubolewała wprawdzie, że głównie telefoniczny, ale

dobre było i to. Magda naturalnie wyrwałaby się do nich choćby na dwa dni i choćby po to, żeby podładować wyczerpujące się akumulatory, ale na razie nie miała czasu. Obiecała, że przyjedzie, gdy tylko sytuacja stadniny unormuje się nieco, aczkolwiek w najbliższym czasie raczej się na to nie zanosilo. Nazajutrz planowała ruszyć w objazd po przedszkolach i spróbować wypromować swoje usługi. Projekt graficzny reklamowej ulotki był już prawie gotowy.

Posegregowała rachunki, podniosła wzrok znad papierów i na podjeździe ujrzała własny samochód. Za kierownicą fiesty siedział uśmiechnięty Krzysztof, ledwie mieszczący się w miejskim autku. Rozpromieniona Alicja wyskoczyła z miejsca dla pasażera jak z procy i uroczyście wprowadziła gościa do domu.

W pierwszej chwili Magda jej nie poznała. Przyjaciółka po drodze do ukochanego musiała odwiedzić fryzjera, bo na jej głowie w miejsce kitki pojawiła się krótka twarzowa fryzurka.

– Dobrze, że już jesteście. – Magda podeszła się przywitać.

Jak przez mgłę pamiętała zwalistego faceta o kwadratowej twarzy wikinga, tym razem starannie ogolonego i uczesanego. Uniesieniem kciuka pochwaliła przemianę Ali.

– Luzy masz, kierowniczo, na kierownicy. Trzeba podciągnąć na drążkach – oznajmił Krzysztof.

– O matko, znowu jakaś naprawa?

– I to niejedna. Zdaje mi się, że auto trochę za głośno warczy od przodu. Trzeba sprawdzić, czy nie wydmuchało uszczelki pod kolektorem. Ale spokojna głowa, zrobi się.

– Jak to: się zrobi? Samo się nie zrobi.

– Krzysiu jest mechanikiem – zaszcebiotała Alicja, nalewając wszystkim po talerzu szczawiowej. – Więc się zrobi.

– Tylko musiałbym mieć podnośnik albo kanał. Kurczę, ale świetna zupa.

Krzysztof, przyzwyczajony do państwowego wikt, miał wrażenie, że właśnie trafił do raju. Domowe jedzenie, miły dom, a do tego wszystkiego zakochana w nim kobieta.

Przez pierwszy kwadrans obecni przy stole czuli się trochę nieswojo, ale atmosfera rozluźniła się dość szybko.

Po obiedzie Magda zagoniła Zofię do pracy w stajni, a sama poszła się przejść. Chciała dać Ali i Krzyskowi trochę czasu. Nie miała chęci na daleki

spacer, więc przeszła lasem na tyły Nestora. Niezauważona przez nikogo dotarła do pniaka i przysiadła na nim, opatuliwszy się obszerną pluszową bluzą.

– Matko, co za młyn – mruknęła do siebie.

Jeszcze całkiem niedawno, kiedy mieszkała w Sopocie, nawet przez myśl jej nie przeszło, że na spokojnej prowincji może dziać się aż tyle. Wtedy pracowała wśród ludzi na etacie, miała męża, teściową i koleżanki z siłowni. Mieszkała na nowoczesnym osiedlu pełnym podobnych jej miejskich obywateli. Wystarczyło wyjść na ulicę, żeby znaleźć się w tłumie. Wydawało się jej, że żyje blisko ludzi i ich spraw, tymczasem odkąd zamieszkała w pieńkowskim lesie, wprost nie mogła opędzić się od ludzi i zdarzeń. Nie potrafiła sprecyzować dokładnie tego, co czuje, ale tutaj wszystko działo się jakby bardziej wyraźniej, a intensywne życie było bliżej... życia. Wszystko rysowało się ostrzej, z bliższej perspektywy, myślało się jaśniej i prościej. I przede wszystkim czuło. Po sopockim Monciaku przewalały się tłumy, ale nikt nie mówił nikomu „dzień dobry”. Trudno było nawet o kontakt wzrokowy. Natomiast w Pieńkach przechodnie byli rzadkością, ale gdy się już trafiło na jakiegoś, nie można było ominąć go wzrokiem i uniknąć choćby zdawkowego uśmiechu. Na wsi pozdrawiali się nawet obcy, a umorusane dzieciaki kłaniały każdemu, kto pojawił się w zasięgu ich wzroku.

– A co panienka taka zamyślona? Jakiej pomocy nie trzeba?

Jakby na potwierdzenie jej przemyśleń, tuż obok Magdy przystanął starszy mężczyzna z koszykiem.

– Nie, dziękuję. Wszystko w porządku. Jak grzyby?

– Marnie, wie pani, marnie. Za sucho, ale poszedłem, bo muszę pomyśleć.

– Sam pan widzi, że las jest najlepszy do myślenia.

– Ech, życie, drogie dziecko. Nawet nie wiesz, moja droga, jak sobie młodzi potrafią życie bez sensu skomplikować. Człowiek do dzieci w odwiedziny przyjedzie, a one nic, tylko się kłócą i kłócą.

– Bywa – mruknęła Magda, średnio zainteresowana kłótniami w rodzinie nieznajomego. – Nie jest pan stąd?

– Nie. Ale moja córka tu mieszka. Mój zięć haruje jak wół, od rana do wieczora nie ma go w domu, a tu małe dziecko i drugie w drodze. Córka źle się czuje, więc ktoś musi jej pomóc. Niby mają wszystko, co potrzebne do szczęścia, ale zupełnie tego nie doceniają.

– Z czasem pewnie docenią.



– Oby nie za późno. Oby nie wtedy, jak już wszystko stracą.

– Czasem nie da się inaczej.

Magdzie przypomniał się Tomek, który swego czasu prawie mieszkał w aptece. Powód poznała dopiero po czasie. Nie, nie będę wracać do przeszłości, postanowiła. Zapragnęła przerwać tę bezcelową rozmowę, więc podniosła się z pniaka.

Lecz gdy usłyszała kolejne słowa mężczyzny, omal nie usiadła z powrotem.

– Sam też jestem weterynarzem i chciałem pomóc. To co, że na emeryturze? Zaszczepić psa wciąż jeszcze potrafię, tyle że mój głupi zięć nawet nie chce o tym słyszeć.

Magdę wybawił z opresji terkoczący w kieszeni telefon. Podziękowała Bogu za połączenie z bankiem, wymamrotała coś na pożegnanie, odebrała i poszła w swoją stronę. Poruszona, nie słuchała uważnie. Bąknęła coś o słabym zasięgu i zakończyła rozmowę naciśnięciem klawisza.

– Diabli nadali! – zakląła na głos. – Gdziekolwiek człowiek się ruszy, wszystko się pierniczy. Teraz to już nawet w lesie spokoju nie ma – burknęła i ruszyła do domu, zła, że dowiedziała się czegoś, czego wcale nie chciała wiedzieć.

Nie mogła ryzykować dalszych spotkań z teściem Staszka. Staruszek był przemiły, ale kontakty z nim, ze zrozumiałych przyczyn, byłyby dla Magdy dość niewygodne.

Kolejna płaszczyzna, na której też jest nie tak, stwierdziła. Choć dziś, z perspektywy czasu, już trochę inaczej oceniała nieszczęsną przygodę ze Staszkiem. Dziś za żadne skarby nie zrobiłaby czegoś podobnego. Przecież, chcąc nie chcąc, w tak małej społeczności musieli funkcjonować blisko siebie, a romansowa przeszłość mocno komplikowała normalne relacje. Do sklepu w Pieńkach Magda nie jeździła już od jakiegoś czasu, po pierwsze dlatego, że sprawa makabrycznego odkrycia w stadninie nie przestawała rozpalać ciekawości miejscowych, a po drugie nie chciała natknąć się na Staszka lub jego żonę. W aptecę, za sprawą niepoważnego zachowania Tomka, też nie była mile widzianym gościem, do Sopotu za bardzo nie miała po co jechać. Tamten most spłonął do cna. A jeśli wziąć pod uwagę ostatni wybryk Wojtka, kontakty Magdy z braćmi z Nestora i jej zatrudnienie na stałe w hotelu w charakterze księgowej właśnie stanęły pod znakiem zapytania. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić kontynuowania znajomości z sąsiadami. W końcu bracia to bracia, westchnęła w duchu. Jak dotąd Wojtek nie kwapił się z przeprosinami, a Adam

od kilku dni milczał jak zakłęty. Niby chwilowa cisza nie powinna jej martwić, ale zważywszy na fakt, że wcześniej widywali się niemal codziennie, była nietypowa. Magda miała nadzieję, że Adam okaże się wsparciem, ale przeliczyła się stokrotnie.

W drodze powrotnej do domu kilka razy otarła łzę. Nie miała siły walczyć. Chciała jak najlepiej, a wyszło jak zwykle.

## Rozdział 6

Ból żeber zelżał trochę i Magda fizycznie poczuła się ciut lepiej, ale straciła napęd do życia. Nie poprawiał jej humoru nawet fakt, że w trzech przedszkolach na pięć odwiedzonych wyrażono chęć przyjazdu do stadniny i obejrzenia zwierząt z bliska. To za mało, dumiała, zwłaszcza że dwa planowały wycieczki dopiero wiosną. Wiedziała, że powinna profesjonalnie przygotować się do tematu, bo bez porządnej strony internetowej i ulotek nie miała co liczyć na efekt. Wydatki goniły wydatki, podczas gdy ona na razie zaledwie pozbyła się części jabłek i pozwiedzała okolicę. A następnego dnia czekało ją dokładnie to samo. Do tej pory jeszcze nie zapytała Adama, czy nie potrzeba mu jabłek do restauracji, więc teraz postanowiła wykorzystać pretekst i zadzwonić.

W napięciu liczyła sygnały, dopóki nie włączyła się poczta głosowa. Nie pozostało nic innego, jak liczyć, że sąsiad oddzwoni. O ile, oczywiście, zechce z nią rozmawiać.

Odezwał się dopiero po godzinie.

– Jak to: jesteś w szpitalu?! Ja dzwonię z pytaniem, czy nie potrzebujesz darmowych jabłek, a ty mi tu serwujesz taką rewelację. – Magda prawie na niego nakrzyczała.

– No cóż, nie do końca byłem zdecydowany na zabieg. Poza tym myślałem, że pójdzie szybciej, ale pojawiły się małe komplikacje – odparł tajemniczo.

– To coś poważnego? – zaniepokoiła się.

– Niezbyt.

– A kiedy cię wypisują? I jak się czujesz?

Nie wypadało wypytywać o szczegóły, zwłaszcza że Adam wyraźnie nie chciał ciągnąć tematu.

– Jestem jak nowy. Wychodzę jutro, ale zatrzymam się jeszcze ze dwa dni u rodziców w Gdańsku – powiedział lakonicznie. – Nie widziałem ich ruski rok.

– To dobrze, że to nic groźnego – odetchnęła z ulgą Magda.

Dzięki Bogu przyczyną milczenia okazały się sprawy zdrowotne, a nie zmowa braci, stwierdziła. Adam rozmawiał z nią jak gdyby nigdy nic, więc pewnie nie miał pojęcia o niczym.

– A jabłuszka chętnie przygarnę – dodał. – Powiedz Wojtkowi, to kogoś podeśle. No i dziękuję, że o nas pomyślałaś.

W jego głosie dawało się wyczuć wesołość.

– Dobrze. Zobaczą, co da się zrobić – zgodziła się Magda potulnie, choć wcale nie miała zamiaru zwracać się w tej kwestii do drugiego z braci. Kontakt z nim był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, więc postanowiła zaczekać na powrót Adama. Najwyżej mu powiem, że zapomniałam, i tyle, pomyślała.

Tymczasem w stadninie robota wrzała: Alicja miała lekcję, a Krzysztof wraz ze Zdzichem pracowali w stajni. Pomimo że Magda była w nastroju równie ponurym, co zachmurzone niebo nad Pieńkami, na widok uwijających się mężczyzn pojaśniała na twarzy. Przecież wcale nie jest tak źle, stwierdziła i ustaliła z nimi nową strusią dietę. W skrytości liczyła, że przybycie Krzyśka będzie dla Zdzicha impulsem do zrozumienia, że nie jest niezastąpiony, i do wzięcia się w karby. Przydałoby się dwóch stajennych, westchnęła i energicznie ruszyła w stronę domu, by sprawdzić, co działała Zofia w temacie obiadu. Od ostatniej wizyty Marka staruszka trzymała się dzielnie, ale w jej przypadku człowiek nie znał dnia ani godziny.

I słusznie.

– Boże jedyny...

Magda przystanęła w progu jak wmurowana.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedziała Zofia znad wielkiej góry obranych ziemniaków.

– Zofio, dość!

– Już kończę. Przecież jaśnie pan ma dziś gości. A jak tylu chłopca z polowania wróci, to wszystko zjedzą.

– Skoro do pana hrabiego przybywają goście, wypadałoby wyszorować łazienkę i nazbierać kwiatów, prawda?

Pozbywszy się staruszką sposobem, Magda opanowała się z trudem i bezwładnie opadła na krzesło. W wiaderku czekało ze trzydzieści kilogramów obranych ziemniaków, a w największym garze bulgotał gulasz dla kilkudziesięciu osób. Dobrze, że Zofia nie zdążyła odkręcić weków z piklami

i jeszcze nie ugotowała zupy.

– Co na obiad? – Zdyszana Alicja wpadła do kuchni jak po ogień. Rozejrzała się za czymś do picia. – O kurna – zatchnęła się nieco. – Urządzamy wesele czy wzięłaś zlecenie z Nestora jako podkuchenna?

– Weź mnie nie wkurzaj, dobrze? – syknęła Magda. – A odpowiadając na twoje pytanie: mamy dziś gulasz z ziemniakami. Albo ziemniaki z gulaszem. Albo zupę gulaszową z ziemniakami. I tak przez tydzień. Gulasz na śniadanie, gulasz na obiad i gulasz na kolację. Pasuje?

– Cholercia, ale Zofię poniosło. A nie możemy tego zamrozić?

– Ostatnio mroziłam hurtowo jarzyny, nie pamiętasz? Zamrażarka nie jest z gumy.

– A Nestor? Przecież dla nich takie mrożenie to pestka.

– Nie mogą. Mają awarię – skłamała gładko Magda. – Musimy to zjeść.

– Aż wyjdzie nam bokiem – podsumowała Alicja.

Napiła się kompotu i pognała przygotować konie do następnej lekcji.

Dzięki sukcesywnie gromadzonym w zamrażarce zapasom, dodatkowo zasilanym efektami gastronomicznych wybryków Zofii, głód nie groził mieszkańcom stadniny przez najbliższy kwartał. Magda uchyliła skrzypiące wieko leciwego sprzętu, sprawdziła etykiety i doszła do wniosku, że część zawartości zamrażarki można wykorzystać od ręki i zwolnić trochę miejsca na nieszczęsny gulasz i resztę. Przy okazji odkryła na dnie pokrojoną w kostkę dynię, a że potrzebowała czegoś na zupę, wyniosła do spiżarni włoszczyznę przygotowaną na bulion. Wyjęła spory kawałek karkówki i rozejrzała się za jakąś zbędną pończochą. Sposobem Adama zamierzała starannie natrzeć mięso cukrem i odłożyć na dobę. Kolejną dobę, po opłukaniu, miało poleżeć sobie w soli, by kolejnego dnia ponownie opłukać je, osuszyć, natrzeć przyprawami i czosnkiem, a następnie na pięć dni zawiesić w przewiewnym miejscu w pończosze. W obawie przed myszami garnącymi się o tej porze roku do domu, z wyprzedzeniem znalazła pod schodami kryjówkę dla dojrzewającej karkówki. Na samą myśl o smaku mięsa pocięła jej ślinka.

Wreszcie zatrzasnęła wieko i dłonią otarła spocone czoło. Żłocistopomarańczowe kawałki dyni zalała wodą i odpaliła największy palnik. Dorzuciła do garnka dwa pokrojone ziemniaki, dla poprawy konsystencji, kostki rosółowe oraz startą gałkę muszkatołową. Do tego sól i pieprz. Dynia o tej porze roku była na wagę złota, więc Magda, zadowolona, że fuksem udało się jej wyczarować ulubioną zupę, zanurkowała w lodówce

po opakowanie serka tyłżyckiego, który ostatnio co rusz wpadał jej w ręce, a jakoś nikt nie miał na niego ochoty.

– Mam cię! – ucieszyła się na głos. Nic tak dobrze nie zagęszczało i nie podbijało smaku miksowanych zup jak zwykły topiony serek. – No, gotowe. Uff, koniec na dziś.

– Nie ze wszystkim. – Z sieni dobiegł ją niski głos Wojtka.

Zaskoczona Magda odwróciła się w stronę drzwi. Chciała przegonić intruza, ale dostrzegła wyłącznie jego nogi i dłonie. Resztę zasłaniał gigantyczny kosz z niezliczoną ilością czerwonych róż.

Opuściła ramiona i wywróciła oczami.

– Sądząc po rozmiarze bukietu, przyszedłeś odkupić winy na dwa pokolenia naprzód. – Nie darowała sobie złośliwości.

– Magda. To dla ciebie. Przepraszam. – Wojtek z wysiłkiem postawił kosz na podłodze. – Zrobiłem z siebie idiotę. Nawet nie wiesz, jak mi głupio – powiedział ze skruchą.

Inaczej niż podczas ich ostatniego spotkania, był gładko ogolony i starannie ubrany. Pachniał ekskluzywną wodą kolońską. Generalnie prezentował się jak ktoś, kto przyszedł w interesach albo w konkury, a nie jak zapijaczony zbir rodem z ciemnego zaułka.

– Wiem. Jak widzę, rachunek sumienia zajął ci trochę czasu – zauważyła Magda z sarkazmem.

Wcale nie zamierzała ułatwiać mu zadania.

– Dopiero dzisiaj, jak dobrze wytrzeźwiałem, dotarło do mnie, na jakiego kretyna wyszedłem – kajał się brat Adama. – Nie chciałem cię wystraszyć ani napastować. Wcale nie.

Rozbawiona Magda przymrużyła oko.

– Nie no, nie powiem, że mi się nie podobasz – dodał. – W końcu ślepy nie jestem. Ale nie chciałem cię wystraszyć. Chyba mi rozum odebrało. Adam, gdyby się o tym dowiedział, to chyba mi gębę obił. Wybaczysz mi?

– Zaczekaj moment.

Magda na chwilę włączyła blender i zmiksowała zawartość garnka z dyniówką. Skosztowała i wyłączyła palnik. Potrzebowała chwili, by pozbierać myśli.

– Wiesz, Wojtek, ja cię nawet trochę rozumiem – powiedziała. – A nawet bardzo cię rozumiem. Ja wiem, że są chwile, kiedy człowiek czuje się jak wybrakowany towar. Nikt nie lubi, gdy traci poczucie własnej wartości. Ale to

nie jest tak.

– A jak?

– Sporo czasu mi zajęło, żeby do tego dojść i to zrozumieć. To tak jak z zabawką, która się nudzi i ląduje na śmietniku, gdy tymczasem dla jakiegoś innego dziecka byłaby najcenniejszym na świecie darem. Z ludźmi jest tak samo. To, że ktoś nas nie chce, wcale nie oznacza, że straciliśmy wartość – odparła Magda.

Po jej policzku spłynęła mimowolna łza. A potem druga. Zła na siebie dziewczyna otarła je szybko.

– Cholera, Magda... Jeszcze raz przepraszam. – Wojtek podszedł i podał jej chusteczkę.

– To, że w danej chwili za wszelką cenę pragniesz się upewnić, że wciąż do czegoś się nadajesz, wcale nie jest dziwne. To chyba nawet całkiem normalne. Ale nie można tego zrobić, nie patrząc na koszty. Najpierw trzeba trochę oprzytomnieć, odsunąć od siebie tę górę bólu, a dopiero potem aplikować sobie dowartościowujące kuracje. Bo inaczej, przy okazji, można zrobić krzywdę i komuś, i sobie.

– Masz rację. Ból zaślepia. A teraz... Czy w ramach naprawy naszych relacji pozwolisz zaprosić się w sobotę do teatru?

Magda spojrzała zaskoczona.

– Do teatru? A Adam? – zapytała odruchowo.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, a chciała zyskać na czasie.

– Pozwól mi jakoś poprawić mój nadszarpnięty wizerunek. – Wojtek uśmiechnął się z wdziękiem małego chłopca. – A Adam jest chwilowo nieobecny.

– Z przyjemnością pójdę z tobą do teatru. Już zapomniałam, jak wygląda – zachichotała rozbrojona Magda.

– Przecież muszę z tego jakoś wybrnąć – ciągnął. – Nie chcę, żebyś miała mnie za jakiegoś nieokrzesanego chama, który bierze kobiety siłą. Nie, nie. To nie ja.

Nieoczekiwanie pogładził zaskoczoną dziewczynę po włosach i pocałował ją w policzek na pożegnanie.

Tym razem nie musiała uciekać, więc od razu po wyjściu sąsiada poszła sprawdzić, czy ma się w co ubrać na wyjście. Jeszcze nie wiedziała, dokąd dokładnie zabierze ją Wojtek, ale do teatru wypadało ubrać się elegancko. Magda po raz ostatni była w tej świątyni sztuki w klasie maturalnej. Później

poznała Tomka, a on za teatrem nie przepadał. Generalnie zawsze był zajęty, wolny czas lubił spędzać w domu, a jej do głowy nie przychodziło, by pójść gdziekolwiek bez niego. Siedziała zatem wraz z mężem na kanapie.

– No to ja już wiem, skąd ten banan na twarzy. – Alicja wskazała brodą na kosz z kwiatami, gdy Magda ponownie zjawiła się w kuchni.

– Wojtek przyszedł, ale wcale nie z kwiatów się cieszę. Zaprosił mnie do teatru. Ja nawet dobrze nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w takim przybytku, rozumiesz?

– No to musisz się wyszykować na galanto. Całe życie mi babcia do głowy tłukła, że teatr to nie przelewki i trzeba się odpowiednio wystroić. Masz kieckę?

– Nie mam. Mam za to czarne spodnie i białą bluzkę. To zawsze się sprawdza. Do tego przydałoby się jeszcze coś do zarzucenia na wierzch, ale może zdążę kupić jakąś tanioczę. Wiesz, odwieczny problem. Kasa.

– No właśnie, ja też o tym. Jest krowa do kupienia.

– Co?

– Krowa. Takie rogate bydło, które daje mleko.

– Ale na co nam krowa? Chcesz tu jeszcze rodeo urządzać? Bóg cię opuścił?

– Zmarła taka jedna babina we wsi, a jej syn właśnie likwiduje gospodarkę. Chce za tę krowę tylko tysiąc złotych. To prawie za darmo, bo normalnie to ze trzy albo i cztery tysiaki trzeba dać.

– A ile ma lat?

– Kto? Syn? – zażartowała Alicja.

– To syn też jest na sprzedaż? – poweselała Magda. – Nie denerwuj mnie nawet. Ja nie chcę żadnej krowy! – dodała.

– Nie bądź głupia. Ona ma dopiero pięć lat. Krowy w dobrym układzie dociągają nawet do dwudziestki, więc ta jeszcze trochę pożyje. A nam się przyda.

– Niby do czego? Do uzupełnienia oferty? Wolę owce. Poza tym na razie nie mamy miejsca na krowę. No i kto ją będzie doił? – Magda wytoczyła ostatnie działa, lecz Alicja odparła atak.

– Ja będę doić. A do czasu wyszykowania drugiej stajni może stać w boksie obok kóz.

– Ale tam stoi Ciacho.

– Tylko przez kilka dni. I jest tam jeszcze jeden wolny boks. Poza tym, jak już jest Krzysiek, to do końca października uporamy się z drugą stajnią.



A podobno kto ma krowę, ten nigdy głodu nie zazna. Carmen na siebie zarobi, zobaczysz.

– Poważnie tak ma na imię? – Magda nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Żebra znów przypomniały o sobie, więc ze łzami w oczach zdusiła śmiech i zgodziła się na krowę. Ala miała rację. Przy własnym pastwisku i zabudowaniach gospodarskich posiadanie sztuki bydła mlecznego nie stanowiło większego problemu. Pozostawał zakup. Skądś trzeba wytrzasnąć pieniądze, a tu i tak napięty budżet trzeszczy w szwach, westchnęła w duchu. Nie ma mowy o żadnych przesunięciach, bo zewsząd wieje pustką. Marzył mi się remont łazienki, ciułałam grosz do grosza, a tu masz babo placek. I krowę.

Alicji nie trzeba było powtarzać dwa razy. Energiczna kobietka kuła żelazo póki gorące, więc od razu zadzwoniła gdzie trzeba i takim sposobem jeszcze tego samego dnia do stajni zawitała nowa lokatorka. Syn zmarłej staruszki od dawna mieszkał w mieście, pracował na kierowniczym stanowisku i zajmowanie się gospodarstwem nie mieściło się w sferze jego zainteresowań. Chciał jak najszybciej pozbyć się problemu i spieniężyć matczyny dobytek. Najpilniejsza była sprawa pozbycia się zwierząt, zatem nie odciął się od negocjacji. Nie dość, że zgodził się odpuścić dwieście złotych, to jeszcze sam z siebie dołożył świnię, kota, dwanaście niosek i jednego koguta.

– Jezus Maria, gdzie my to wszystko upchniemy? – Przerazona Magda złapała się za głowę. – Nie mamy kurnika, a kury nie mogą chodzić samopas, bo psy je zeżrą. Kota też. Dla krowy przydałaby się jakaś osobna obórka. No i chlewik. Aleśmy narobiły. I to wszystko przez ciebie. – Oskarżycielsko wycelowała w przyjaciółkę wskazujący palec, z trudem powstrzymując śmiech. – Teraz już na serio mogę zapomnieć o nowym żakieciku. Ech, diabli nadali całą tę Carmen i resztę.

Przetransportowanie pozostałych zwierzątek zajęło im cały następny dzień. Krzysiek wraz ze Zdzichem w chwilach wolnych od stajennych obowiązków próbowali sklecić prowizoryczną zagrodę dla kur. Na razie Magda nie chciała montować niczego docelowego, bo nie miała pojęcia, jakiego areálu potrzebuje ptactwo; na początek wymyśliła, że wpuści dwie kury na próbę do strusi i zobaczy, jak sobie towarzystwo poradzi. Krowa stanęła na razie obok Ciacha i kóz, kota chwilowo zamknięto w stajni na strychu. Spotkanie zapoznawcze z owczarkami Alicja zaplanowała, gdy opasłe pręgowane kocisko cokolwiek odnajdzie się w nowej sytuacji. Pozostał do rozwiązania

świński problem, tymczasem nazajutrz czekało Magdę wyjście do teatru.

– Boże, za jakie grzechy? – westchnęła ciężko i rozciągnęła ścierpnięte ramiona.

Dwoiła się i troiła, ale i tak czuła, że przerasta ją ogrom prac i całego tego zamieszania.

Kto by pomyślał, że zostanie farmerem, zadumała się na chwilę.

Jeszcze niecały rok wcześniej nie brała pod uwagę hodowania choćby chomika, a teraz miała tyle inwentarza, że nie potrafiła się go doliczyć. Byłoby dobrze, gdyby zarabiał na swoje utrzymanie, ale z tym mogło być różnie. Pamiętała, oczywiście, o zawartości tajemniczej kasetki, ale jakoś nie mogła zebrać się w sobie, by spieniężyć cokolwiek. Zwłaszcza że od niedawna była niemal przekonana, że kosztowności również należały do Jacqueline Deveraux; styl szkatułki idealnie pasował do podróżnych toreb i saszetki z kosmetykami. Na wszelki wypadek Magda postanowiła niczego nie ruszać, dopóki nie nabierze pewności, że nie zgłoszą się spadkobiercy Francuzki. Na podjęcie decyzji dała sobie kwartał i co wieczór modliła się w duchu, by przypadkiem, na skutek wewnątrzunijnej współpracy policji, nie napatoczył się jakiś daleki krewny Jacqueline.

Zastrzyk gotówki uzyskanej ze sprzedaży biżuterii niewątpliwie postawiłby stadninę na nogi i można byłoby przestać się martwić o finanse, bo teraz co rusz jej właścicielka walczyła z oporem materii. Ostatnio nawalił termostat w starym jak świat bojlerze i tylko cudem nie doszło do rozszczelnienia. Zawór bezpieczeństwa nie zadziałał. Nawiasem mówiąc, kompleksowego remontu wymagał cały dom, a i stan reszty gospodarstwa wołał o pomstę do nieba. Na każdym kroku człowiek natykał się na coś spróchniałego, złamanego czy zwyczajnie brzydkiego. Do tego dochodził jeszcze aspekt marketingowy – właściciele koni woleliby zostawiać ulubieńców w miejscu ekskluzywnym, nawet kosztem wyższych opłat, niestety w Pieńkach całe otoczenie stajni świadczyło o wręcz przeciwnych warunkach. Nie licząc odnowionego budynku głównej stajni, bieda i zaniedbanie wyzierały z każdego kąta. A przecież ludzie sądzą po pozorach, pomyślała Magda ponuro.

– Świni na razie nie bierzemy – zdecydowała. – Co za dużo, to niezdrowo.

– Ale ten facet jutro wyjeżdża. Nie możemy zostawić go na lodzie. Jutro rano musimy ją stamtąd zabrać

– To niech ją sobie przerobi na wieprzowinę.

– Ale to wegetarianin. Mówił mi wczoraj – roześmiała się Ala. – A na

kotlety to możemy zwierzaka przerobić same.

– No jasne. Tylko gdzie my upchniemy to mięso?

Magda całkiem słusznie obawiała się, że gdy tylko nowa rezydentka zjawi się w stadninie, ona zaproponuje jej dożywocie i w życiu nie zgodzi się na żadne świniobicie. To tak jakby zjeść własnego konia lub psa, otrząsnęła się z niesmakiem. Choć przecież jak świat światem świnie hoduje się na mięso, a nie po to, żeby je żywić.

Dała sobie ostatnią szansę i zapytała telefonicznie Wojtka, czy przypadkiem nie chciałby żywca w prezencie. Nie chciał.

– I co? – dopytywała ciekawska Alicja.

– Interesują go półtusze. Dobra, damy mu część mięsa w ramach podziękowania za przechowanie w chłodni. Nie mogę nadużywać jego uprzejmości, nawet w sytuacji, gdy ma wobec mnie moralniaka. Inaczej, jakby Adam był na miejscu. On zna wszystkich i pewnie by coś wykombinował.

– Zawsze możemy świniaka przerobić od razu na kiełbasę i inne wędliny. Jak wolisz?

– Mnie tam obojętne, bylebym tylko tego stworzenia tutaj nie widziała. Załatw to i tyle. Poza tym jeszcze weterynarz musi sprawdzić. Cholera jasna – zdenerwowała się Magda. – Ja jestem z miasta i nie mam pojęcia, jak się robi świniobicie!

– Spokojnie, zrobi się. Zostaw to mnie.

Alicja, odkąd w Pieńkach pojawił się jej ukochany, nabrała takiego napędu, że ciężko było za nią nadążyć. Dziewczyna dosłownie rozkwitła, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Nie dość, że chudła w oczach, to uśmiech nie schodził jej z twarzy. Paliła się do roboty jak nigdy dotąd i tryskała humorem. Nigdy nie była malkontentką, ale ostatnio przechodziła samą siebie. Głowa pękała jej od pomysłów i na wszystko miała gotowe rozwiązanie. Magda nawet bała się pomyśleć, co zrobiłaby bez przyjaciółki. Najpewniej zginęłaby marnie, bo to, w co się wpakowała, przerosłoby niejednego fachowca, a ona dopiero zaczynała się uczyć. Codziennie dowiadywała się czegoś nowego. Jak dotąd na przykład nie zaprzętała sobie głowy, skąd takie głupie ptaszysko jak kura wie, kiedy ma wysiadywać jajka, a kiedy pozostawić je bez opieki. Zauważyła wprawdzie, że w ugotowanym na twardo żółtku czasem widnieje mała ciemna plamka, ale nie miała pojęcia, że to zarodek. I że pojawia się on tylko wtedy, kiedy wcześniej wkroczył do akcji kogut, co kura instynktownie kojarzyła z koniecznością wysiadywania. Początkująca farmerka była ponadto

przekonana, że krowa daje mleko na okrągło, podczas gdy produkowane było ono dla cielaka. Żeby z krowy mieć jakikolwiek pożytek, trzeba ją od czasu do czasu zacielić, stwierdziła ze zdziwieniem. To samo dotyczyło kóz, ale tutaj zazwyczaj zdawano się na matkę naturę.

## Rozdział 7

Magda po raz ostatni przejechała po włosach prostownicą i zadowolona z efektu zabrała się do makijażu. Pogmerła w kosmetyczce i wyjęła dawno nieużywany płynny podkład. Miała nadzieję, że jeszcze nie wysechł na amen, i mocniej niż zwykle nacisnęła tubkę. Beżowy fluid wyskoczył na zewnątrz, przy okazji opryskując jej bluzkę z góry na dół.

– O, nie mogę... – jęknęła i zrezygnowana rozpięła białą koszulę. Jediną elegancką, jaką dysponowała.

Do przyjazdu Wojtka pozostała jeszcze godzina, więc miała dość czasu, by coś wykombinować. Tyle że nie bardzo wiedziała co. Od Alicji nie mogła pożyczyć niczego ze względu na rozmiar, ale nie miała wyjścia. Musiała zapytać, czy może gdzieś na dnie jej szafy z bryczesami i flanelowymi koszulami nie zaplątała się jakaś tunika w stylu oversize, która nadałaby się na wieczór.

– Nic z tych rzeczy – zasmuciła się Alicja, lecz nagle na jej twarzy odmalowało się olśnienie. – Mam!

– Co masz?

– Nie ja mam, tylko ty masz. Pamiętasz tę wiśniową kieckę Jacqueline? Musi na ciebie pasować, dawaj ją prędko! Zobaczymy!

Magda przez chwilę czuła opór, ale finalnie udzieliła sobie rozgrzeszenia. Skoro mogła używać stroju tamtej do konnej jazdy, nic nie stało na przeszkodzie, żeby skorzystać również z kiecki. Wiśniowa kreacja ze złotawymi lamówkami idealnie nadawała się na eleganckie wieczorne wyjście.

Z zapartym tchem Magda zasunęła boczny suwak i odwróciła się do lustra.

– Fantastyczna – westchnęła.

Jeszcze nigdy w życiu nie prezentowała się tak wspaniale. Lekko elastyczna materia idealnie dopasowała się do figury, wyszukany w swojej prostocie krój wspaniale podkreślał długie nogi. A doszyta baskinka skutecznie maskowała

wąziutkie biodra. No i w końcu metka od Chanel to nie byle co. Co klasa, to klasa.

– No popatrz, jak dużo prawdy w tym, że każda moda kiedyś mija i kiedyś wraca. Przez tyle lat baskiny były passé, a teraz znów są na topie.

– I całe szczęście, bobyś pojechała do teatru w podkoszulku – roześmiała się Ala. – Aha, i lepiej ściągnij tę kieckę. Najpierw się umaluj.

Po półgodzinie gotowa Magda czuła się jak podekscytowana panna przed balem debutantek. Odzwyczała się od butów na wysokim obcasie, więc trochę niezdarnie trenowała w kuchni odpowiedni chód. Do sukienki dobrała torebkę, a ze względu na ozdobne lamówki zrezygnowała z biżuterii. Mimo to miała świadomość, że wygląda zabójczo. Co chwila zerkała w stronę uchylonego kuchennego okna i podziwiała swoje odbicie.

– Co się tutaj dzieje?

Do kuchni weszła Zofia z wiaderkiem świeżo udojonego mleka. Postawiła je na podłodze, podniosła wzrok na Magdę i zamarła. Wystarczyło kilka sekund, by przez jej twarz przewinęło się tyle emocji, że obie dziewczyny nie odważyły się pisnąć słówkiem. W oczach starej kobiety najpierw pojawił się zachwyt, później niedowierzanie, a na końcu wściekłość i gniew. Jej rozpromieniona twarz zastygła jak maska. A zaraz potem Zofia wypięła pierś i wyrzuciła z siebie wiązaną soczystych wyzwisk.

– Ależ Zofio. – Magda ponownie poczuła na plecach dreszcz niepokoju i w duchu podziękowała Bogu, że mieszka z nią pod jednym dachem Krzysiek.

Wojtek, który przyjechał o czasie, od progu zapomniał języka w gębie.

– Łooo! – wykrztusił.

Tylko na tyle było go stać.

W garniturze i białej koszuli również prezentował się nadzwyczaj elegancko. A gdy już odzyskał głos, zaprosił Magdę do samochodu. Nie spodziewał się ujrzeć sąsiadki w aż tak wystrzałowym anturazie. Na modzie się nie znał, a mimo to potrafił docenić jakość ubrań, bo jako takiej po prostu nie dawało się nie zauważyć. Od jego towarzyszkę powiało wielkim światem.

– Ładna sukienka – pochwalił, nieco zdziwiony, że właścicielkę stadniny stać na takie stroje.

Gdy Magda założyła nogę na nogę, przełknął ślinę.

– Dziękuję. Mademoiselle Chanel zawsze miała świetny gust – powiedziała beztrąsko. – Na szczęście istnieją na świecie second-handy – dodała. – Inaczej musiałabym przez pół życia odkładać na taki ciuch.

– Tak czy siak, warto było.

Istotnie, w gdyńskim teatrze muzycznym tego wieczoru nie było osoby, która nie obejrzałaby się za nimi. We dwójkę stanowili atrakcyjną parę. Magda, krocząc u boku Wojtka, pękała z dumy. Z zadowoleniem dostrzegała rzucane w ich stronę ciekawskie spojrzenia. Dotychczas takie uczucie nie było jej znane, więc rozpromieniona wręcz chłonęła nowe wrażenia każdą komórką ciała. Nawet podczas własnego ślubu nie czuła się tak wspaniale, bo mimo że też wyglądała pięknie, wówczas zżerały ją nerwy. Lecz teraz wszystko grało.

Wieczór byłby po prostu idealny, gdyby nie to, że Wojtek rozczarował ją nieco.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że jest dość nudnym i niemrawym kompanem. Może sprawił to oficjalny strój?, dumiała. A może okoliczności? A może po prostu ten facet nie ma jaj?

Wojtek zachowywał się jak skończony sztywniak.

Po teatrze mieli w planach spacer nabrzeżem i kolację w jakiejś miłej knajpce, ale pogoda spłatała im figła i lunęło jak z cebra. Postanowili od razu wracać do domu.

Po drodze Magda zgłodniała i zaczęło jej burczeć w brzuchu.

– Zatrzymajmy się gdzieś – zaproponowała na widok przydrożnego baru.

– W takim miejscu? – Wojtek zdziwił się szczerze, ale zwolnił i zjechał na błotnisty podjazd.

– A co z nim nie tak? Dają tutaj świetny kebab.

– Byłaś tu wcześniej? Przecież to jakaś rozlatująca się buda. – Z trudem ukrył niesmak.

– Nie, nie byłam. Ale widzę, że stoi przed nią ze trzydzieści ciężarówek. A chłopaki całe życie w trasie, więc najlepiej wiedzą, gdzie dobrze zjeść – powiedziała zdziwiona, że Wojtek, człowiek od dziecka związany z gastronomią, nie wie tak oczywistej rzeczy.

– No dobra, jak chcesz. – Poddał się z uśmiechem i poszedł po kebab.

Faktycznie, wśród wszechobecnego błota prezentował się trochę głupio, ale Magda czuła takie ssanie w żołądku, że było jej wszystko jedno. Ponadto zwyczajnie miała ochotę na kebab.

– Wziąłem najmniejsze, jakie mieli. Proszę. – Wojtek podał jej zawijańca o długości mniej więcej pół metra.

– Ciekawe, jak wygląda wersja XXL polecana na plakacie. – Magda z apetytem wbiła zęby w wypełniony mięsno-warzywnym farszem placek. –

Pewnie jadłabym ją przez tydzień.

– Mmm, ale dobre – wymamrotał jej towarzysz po pierwszym kęsie.

– A nie mówiłam?

– Kurczę, szkoda, że sprzedałem sieć restauracji. Mógłbym ten przepis zastosować u siebie.

– Sprzedałeś biznes? Nie wiedziałam.

– A myślisz, że inaczej spokojnie siedziałbym sobie w Pieńkach?

– No fakt. Kojarzę twoich rodziców. Kiedyś, jeszcze gdy pracowałam w biurze jako kadrowa, czasem u nich jadałam. Chodziłyśmy tam razem z koleżanką. I bardzo nam się podobało, jak traktowali pracowników.

– Masz pewnie na myśli wspólne obiady?

– Tak. A wiesz, że podczas jednego z nich obsługiwałeś mnie osobiście? – roześmiała się Magda.

– Poważnie? Wybacz, nie pamiętam.

– Poważnie. Zwróciłam wtedy na ciebie uwagę z powodu twojego niespotykanego spojrzenia. A później przyjechałam tutaj i poznałam twojego brata. Długo kombinowałam, skąd znam te jego oczy, ale przyjechałeś ty i wyjaśniło się wszystko. Swoją drogą, świetny ten obiadowy rytuał. Twoi rodzice bardzo mi imponują.

– Oni są wspaniali. A zwyczaj przywieźli z Hiszpanii, z knajpy, gdzie personel jadał przy jednym stole. Cały, od szefa kuchni po pomywacza. I kucharz się nie namęczy, i integracja idzie pełną parą. – Wojtek zamyślił się na chwilę. – U siebie też tak chciałem, ale pomysł nie spodobał się mojej żonie. To wyjątkowa sknera. W sumie to dobrze, że już pozbyłem się kłopotu. I biznesowego, i małżeńskiego.

– A dzieci? Chłopcy pracowali u mnie w wakacje. Fajni są.

– Podzielimy się z żoną opieką nad nimi. Jestem pewien. W końcu kochamy ich oboje. I oboje nie jesteśmy idiotami.

Rozmowa zeszła na rozwody; okazało się, że obie rozprawy – i Magdy, i Wojtka – wyznaczono niemal w tym samym, październikowym terminie. W obu przypadkach nie orzekano o winie, więc przy dobrych układach oba postępowania rozwodowe powinny zakończyć się szybko. Magdzie wystarczyłoby, gdyby Tomek nie robił przeszkód w kwestii przeniesienia na nią prawa własności do fiesty. I niech sobie idzie w diabły, pomyślała. Tyle dobrego, że nie mamy dzieci.

– A co słyhać u Adama? – zmieniła temat dla podtrzymania konwersacji.



Zwykle gdy towarzysząca jej osoba milczała, Magda czuła się nieswojo, a tymczasem podczas tej rozmowy co rusz zdarzały się denerwujące chwile ciszy. W przeciwieństwie do brata, Wojtek nie był duszą towarzystwa.

– Wszystko dobrze. Wraca chyba pojutrze.

– To się cieszę – odparła zgodnie z prawdą.

Odkąd zamieszkała w Pieńkach, praktycznie nie było dnia, żeby się nie widywali. Magda z przyjemnością wspominała wypad z Adamem do Tczewa na kolację i niemal codzienne przypadkowe spotkania w lesie. Szczerze go lubiła, a ostatnio zdała sobie nawet sprawę, że trochę jej go brakuje. Z całych sił trzymała kciuki za jego walkę z kilogramami. Poza tym w jego obecności nie nudziła się nigdy. I jak dotąd nigdy nie miała kolegi, na którego zawsze mogłaby liczyć. Nie zauważyła, żeby Adam był nią zainteresowany, więc traktowała go jak najlepszego przyjaciela. Po prostu.

– O, super, że już jesteś. – Alicja właśnie dokończyła zmywanie naczyń i wytarła ręce w ścierkę. – Jak było?

– Genialnie, elegancko. I ą, i ę. Przedstawienie wspaniałe. – Magda z ulgą pozbyła się butów.

– A jak Wojtek? Dostawiał się do ciebie? Byłoby dziwne, gdyby tego dzisiaj nie zrobił – roześmiała się Ala.

– No właśnie wcale. I całe szczęście. Facetów i zalotów mam powyżej uszu.

– Hm. I nawet taki przystojniak nie wpadł ci w oko? W garniturze wyglądał tak, że chyba żadna kobieta by nie pogardziła.

– Tu nie chodzi o żadne gardzenie. Mam dość facetów. Jeszcze nie zakończyłam jednego związku, a miałabym się pakować w następny? O nie. Taka głupia to ja nie jestem – powiedziała dobitnie Magda. – A jak ci leci z Krzyśkiem? – zmieniła temat.

Zapytała, choć na pierwszy rzut oka było widać, że wspaniałe. Oboje na swój widok reagowali jak na porażenie prądem elektrycznym. Wytworzyło się między nimi pole sił wzajemnego przyciągania.

– Ech, nawet nie potrafię tego opisać – westchnęła Ala z nabożeństwem. – Chciałabym, żebyś ty też była tak szczęśliwa. W sumie to myślałam, że ty i ten Wojtek...

– Nie ma mowy. Wojtek to nudziarz i sztywniak.

– Poważnie? A nie wygląda.

– Lubię go, ale w towarzystwie jego mniej atrakcyjnego brata bawiłam się sto razy lepiej. Więc, jak widać, uroda nie ma tu nic do rzeczy.

– To może chociaż Adam? – Alicja nie dawała za wygraną. – Ostatnio sporo schudł. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te jego uszy.

– A przestańże już, kobieto utrapiona. – Magda ze śmiechem wstała od stołu. – Idziemy spać. A Adama bardzo lubię. Na szczęście on też się do mnie nie dostawia, więc mogę spać spokojnie.

– To śpij. Aha, dokończyłam projekt ulotki i trzeba zlecić druk. Do tego mam pewne plany w związku z naszą Carmen.

– Jakie znowu plany? Gulasz? Znowu? Jeszcze więcej gulaszu? – Magda na wspomnienie wielgachnych parujących garów z trudem opanowała wesołość.

– Musimy załatwić dla niej jakieś siodło i dać ją Zofii do ujeżdżenia. Bo nudzą się obie, i Carmen, i nasza Zofia.

Magda spojrzała na przyjaciółkę jak na osobę niespełna rozumu. Popukała się w czoło i poszła do siebie.

– Zwariowała baba – wymamrotała pod nosem.

Była pewna, że to jedynie niedorzeczny pomysł, ale Ala nie zamierzała tak łatwo zrezygnować z szalonej idei. Rankiem temat powrócił jak bumerang. Istotnie, przyjaciółka wcale nie żartowała. Jeżeli wierzyć kilku internetowym artykułom, to krowy całkiem dobrze nadawały się do ujeżdżania. Potrafiły świetnie kłusować, galopować, a nawet skakać przez przeszkody.

– Ta miłość to chyba już całkiem padła ci na rozum. Na co nam to? Krowa na parkurze? Kto to widział? – Magda nie miała zamiaru dać się przekonać.

Według niej krowa powinna muczeć, leżeć na pastwisku i przeżuwać z godnością, a nie brykać na manezu.

– Nie no, bez przesady. Do skoków trzeba by ją było zasuszyć, a tak...

– Jezu, co takiego zrobić?! – Magda aż wytrzeszczyła oczy z przerażenia.

– Spokojnie. Tak się tylko mówi. Chodzi o zaprzestanie dojenia i zatrzymanie laktacji. Żeby Carmen sobie cycków o przeszkody nie obija. Rozumiesz?

– Tiaaa. A może jeszcze nauczymy ją tańczyć kubańską habanerę? W końcu imię zobowiązuje, nie?

– Och, przestań! – zachnęła się Alicja. – Wystarczy, że nasza mućka nauczy się kłusować. Nie będziemy się wygłupiać.

– Hm.

Magda zaczynała się łamać. W końcu kłusująca krowa mogła stanowić nie lada atrakcję dla dzieciaków. Bo na sto procent nikt w okolicy takiej nie miał.

– Przynajmniej spróbujemy, co? – kusiała Ala. – Przecież to nic nie kosztuje.

– Niby racja. A właściwie to czemu nie, choć czarno widzę. Pytałaś już Zofię? Wiem, że dla niej ujeżdżanie koni to pestka, ale co powie na krowę? A propos, jak się ona dzisiaj czuje?

– Dziś normalnie. Właśnie poszła doić, więc może jakoś się z Carmen dogadają. Jak skończę jazdy, to przymierzę krowinie największe siodła, jakie mamy. Może jej któreś przypasuje. Zresztą pogadam z Zofią. To pa!

Alicja jak strzała wypruła w stronę stajni, a Magda zjadła śniadanie, zrobiła sobie kawę i zasiadła do komputera. Ostateczny projekt ulotki reklamowej bardzo jej się spodobał, więc postanowiła poszukać jakiejś niedrogiej drukarni. Najlepiej gdzieś w pobliżu, żeby zaoszczędzić na przesyłce. Niestety – najbliższa mieściła się w Tczewie. Mimo to po kwadransie złożyła zamówienie i wysłała mejlem projekty. Ulotki miały być gotowe za kilka dni, zatem i ona w tym samym terminie powinna być gotowa, by coś z nimi zrobić. Zamówiła tysiąc sztuk, które trzeba będzie jakoś sensownie rozdysponować.

Magda zrobiła sobie kolejną kawę i zabrała się do uzupełnienia swojej bazy danych. Do listy okolicznych przedszkoli dodała te położone dalej, a do nich wszystkie szkoły podstawowe i domy kultury zlokalizowane w promieniu stu kilometrów. Do obiadu dysponowała grubo ponad setką adresów. W planie miała jeszcze zebranie chętnych na zajęcia z hipoterapii, ale tych zostawiła sobie na później. Po pierwsze w najbliższym okresie nie będzie aż tyle czasu i pieniędzy, żeby odwiedzić wszystkich, stwierdziła przytomnie. A po drugie Alicja jest zajęta na okrągło, a zatrudnienie dodatkowego instruktora chwilowo nie wchodzi w grę.

Przeciągnęła się z jękiem i zadowolona z siebie wyszła przed dom.

– Do stępa! Kłus! Wolta w lewo! Łydka! Plecy prosto! Równno! Łydka, mówię! – Na manezu Alicja ostro musztrowała kursanta.

Tym razem trafił się jej pewien znany aktor, który na potrzeby nowej roli musiał nauczyć się jeździć konno. Najpierw do stadniny zadzwonił reżyser i umówił zainteresowanego na lekcje. Oczywiście incognito i z życzeniem, by nauka odbywała się w kompletnej głuszy. Filip Zajder, popularna twarz ciągnącego się od wielu lat serialu, był osobą tak rozpoznawalną, że nawet Magda, która rzadko kiedy oglądała telewizję, od razu połapała się, z kim ma do czynienia. W pierwszej chwili zaniemówiła z wrażenia, ale szybko przekazała go pod fachową opiekę Alicji. Ta, nie mając pojęcia, z kim przestaje, potraktowała gwiazdora jak innych uczniów i nie przebierając w słowach, już na wstępie poinstruowała go, jak należy siodłać i czyścić

wierzchowca. Rozpieszczony celebryta oburzył się, że zagnano go do brudnej roboty, ale że wszystkim zależało na dyskrecji i nikt nie chciał, żeby na następną lekcję Zajdera zbiegła się cała wioska, z bólem przystał na postawione warunki – albo traktowanie na specjalnych zasadach i brak anonimowości, albo normalna procedura dla wszystkich kursantów. Wybrano to drugie.

– Biedaczek – mruknęła do siebie Magda.

O ustaleniach nie pisała Alicji nawet słówka, w obawie, że instruktorka, dowiedziawszy się, z kim ma do czynienia, speszona mogłaby zmienić zasady i nagiąć się do kaprysów gwiazdora. Tymczasem wszystkim zależało na czasie i za czas płacono. Miało być szybko i skutecznie. Nawykły do nieprzerwanej uwagi i błysku fleszy, zniewieściały bawidamek musiał zatem zacisnąć zęby i pracować na efekt, bo termin zdjęć zbliżał się nieubłaganie. Nie było łatwo – Filip Zajder z całego serca nienawidził koni i bał się ich, więc ciężko było o spektakularne sukcesy. Niestety, zwierzęta instynktownie wyczuwały jego niechęć i nawet najbardziej potulne kobyły robiły wszystko, by utrudnić mu naukę. W końcu Alicja nie wytrzymała i przydzieliła mu Grocha, najbardziej posłusznego konia w całej stajni. Wielki kary wałach lubił wszystko i wszystkich. Podobnie jak poczciwy Bies najczęściej chodził pod mniej utalentowanymi jeźdźcami, żeby ci uwierzyli w siebie i odnotowali bodaj najmniejszy postęp.

Magda podeszła pod maneż i wsparła się o sękatą brzoźową żerdź. Nie mogła uwierzyć własnym oczom – po raz pierwszy widziała, żeby żwawy i przyjaźnie nastawiony do świata Groch zasnął w trakcie lekcji. Za nic miał komendy i nieudolne kopniaki wściekłego aktora, który prał go szpicrutą po zadzie. Konisko spokojnie, ignorując te śmieszne razy, zrobiło swoje: opuściło ścieżkę, wyszło na środek ujeżdżalni, zwiesiło łeb i zasnęło. Zajder na jego grzbiecie gotował się z wściekłości. Magda omal nie pękła ze śmiechu.

– Co to za cholerna chabeta?! – wrzasnął jeździec w jej stronę. – Nie macie tu jakichś lepszych koni?

– Mamy – odparła spokojnie. – Ale one jeszcze gorzej znosiłyby pańskie humory. – Wzrokiem osadziwszy w miejscu zaskoczoną Alicję, podeszła do śpiącego wałacha. – Proszę zsiąść – zakomenderowała.

– Dlaczego on mnie nie lubi?

– Bo pan nie lubi jego. Koń to nie samochód, wyczuwa pańskie intencje. A skoro pana nie lubi, może pana zrzucić. A pan się zabije.

– Co też pani wygaduje? – Zajder niezgrabnie zeskoczył z końskiego grzbietu.

Wyglądał, jakby miał ochotę udusić i Grocha, i właścicielkę stadniny.

– Magda dobrze mówi. On czuje, że nie umie pan jeździć. I w dodatku tę pana niechęć. Obraził się za bezsensowne pranie batem i tyle. Siłą i agresją nic pan nie zdoła, bo on jest silniejszy od pana. Wiecie to obaj. Z takim podejściem może pan zapomnieć, że kiedykolwiek nauczy się jeździć – powiedziała Alicja i energicznie wskoczyła w siodło. Mimo przydługich strzemion zagalopowała z miejsca. – Sam pan widzi, on wcale nie spał. On po prostu pana nie znosi.

To tak jak my, pomyślała Magda i w duchu pożałowała współpracowników celebryty z planu filmowego. Filip Zajder był bufonem wszech czasów, a talentu do jazdy nie miał za grosz.

– To jakiś nonsens! – prychnął i z wyzywającą miną oparł się o drewniany parkan odgradzający maneż od wybiegu dla strusi. – Będę żądał zwrotu pieniędzy za tę amatorkę, którą się tutaj uprawia. Nie umiecie uczyć. To jedno wielkie oszustwo!

– To chyba reżyser powinien żądać, bo to on płaci? A ja za brak pańskiego talentu nie odpowiadam – odpaliła Magda, obserwując kątem oka skradającą się za plecami mężczyzny strusicę.

– Pani jest bezczelna! – Zajder poczerwieniał na twarzy.

– Nie, nie jestem. Choć uważam, że bez dublera raczej się nie obejdzie. Taka prawda.

– Ty bezczelna kur...! – zaczął mężczyzna, ale przerwał w pół słowa. – Aaa! Cholera! – zawył boleśnie, gdy ptaszysko udukało go w ucho. – Aaa! Aaa!

Magda z Alicją spojrzały po sobie i jak na komendę ryknęły śmiechem. Magda już wiedziała, że upierdliwego aktora w stadninie nigdy więcej nie zobaczy, za to zyskała pewność, że przerażony Zajder, trzymający się za krwawiące ucho, na długo zapadnie jej w pamięć.

Oburzony do żywego bufon poczerwieniał jak burak i biegiem rzucił się do swojego czarnego porsche. Odpalił silnik i ruszył z piskiem opon.

– Cholera, żeby tylko nie pobrudził sobie tapicerki – bąknęła pod nosem Alicja i zawróciła do stajni.

## Rozdział 8

Adam! To ty?

Kompletnie go nie poznała.

– Coś ty ze sobą zrobił? – wykrztusiła zaskoczona.

Ledwie powstrzymała się, by nie przetrzeć oczu ze zdumienia. Jej kłapciatouchy sąsiad właśnie powrócił ze szpitala po operacji.

– I co? – nie krył dumy. – Podoba ci się? – zapytał, prezentując przylegające do czaszki małżowiny.

– Eee... Jeszcze nie wiem, czy mi się podoba – odparła Magda niepewnie. – Chyba jednak wolałam cię w poprzedniej wersji.

– Całe życie wszyscy się ze mnie nabijali, że wyglądam jak czajnik, więc tak mnie jakoś naszło ostatnio...

– Twoja sprawa, skoro ci z tym lepiej. Dla mnie twoje uszy nigdy nie miały znaczenia. Po prostu Adam to Adam. Cieszę się, że już jesteś – dodała.

Podeszła i uściskała przyjaciela serdecznie. I ponownie spotkało ją zaskoczenie.

– Co się stało z twoim brzuchem? – Zerknęła podejrzliwie. – Odessałeś tłuszcz?

– Nie – roześmiał się Adam. – Proponowano mi liposukcję, ale bez przesady. Za to szpitalny dietetyk ustalił mi jadłospis. I poleciało kolejne pięć kilo.

– Brawo!

– Mój kucharz dostał już odpowiednie dyrektywy, bo takie coś to ja rozumiem. Wcześniej jakoś brakowało mi motywacji, nie wierzyłem, że mi się uda. Od razu założyłem porażkę i spokojnie hodowałem sobie ciężki bandzioch. A tu wyszło, że zrzucenie go wcale nie jest takie trudne.

– No, chyba rzeczywiście nie.

Magda miała wprawdzie odwrotny problem, ale szczerze ucieszyła się z sukcesu Adama. Od wiosny, odkąd spotkała go po raz pierwszy, zmienił się

nie do poznania. Do tego jeszcze te uszy. Inny człowiek, pomyślała.

– Czy będzie dużym nietaktem, jeśli zaproponuję ci placek ze śliwkami? – zapytała ostrożnie.

– No coś ty. Dieta zakłada małe grzeszki, a ja już długo nie grzeszyłem. Nawet odbyłem dziś rano pokutę na siłowni. To gdzie to ciasto?

Magdzie od razu poprawił się humor, zwłaszcza że Adam, zadowolony z jej pracy, zaproponował, aby na stałe zajęła się księgowością Nestora. Zdążyła już zorientować się w specyfice branży i radziła sobie całkiem dobrze, więc dodatkowe zajęcie trafiło jej się jak ślepej kurze ziarno. Szczególnie teraz, kiedy spadła liczba adeptów konnej jazdy, a w stadninie pojawił się kolejny domownik w osobie Krzyśka. Po więziennym jedzeniu nigdy nie wybrzydzał i wcinał za dwóch, ale wart był każdego kęsa. Nie dość, że miał zbawienny wpływ na Alicję, to jeszcze garnął się do każdej roboty. Magda nawet nie zauważyła, kiedy naprawił jej samochód, uprzątnął bałagan po strażackich ćwiczeniach, resztki starej ambony porąbał na kawałki nadające się na opał i naprawił ogrodzenie. Bez prośzenia zamontował jeszcze furkę oddzielającą posesję od Nestora. Generalnie nigdy się nie obijał i wbrew obawom okazał się wspaniałym nabytkiem. Wiadomo było, że kiedyś trzeba mu będzie zacząć płacić, ale też zdawano sobie sprawę, że na ten moment trzeba będzie jeszcze poczekać, aż budżet stadniny nabierze przyzwoitej kondycji.

– Normalnie chyba opatrność nam go zesłała – powiedziała Magda. – Jak tak dalej będzie zapierniczał, to mu zabraknie roboty.

– Nie zabraknie. Już na dniach uprzątniemy mniejszą stajnię, więc przyjadą nowe konie – przypomniała Alicja. – Będzie mniej ładna od tej dużej, więc może tam damy nasze, a w głównej zrobimy tylko hotel?

– Myślałam o tym samym. A co z miejscem dla krowy? Chyba powinna zamieszkać w jakiejś oborze, prawda?

– A w stajni jej źle?

– Ja tam nie wiem.

– Konie i krowy to zwierzęta stadne. Nie powinny być same, bo się nudzą i zaczynają strzelać fochy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Często właściciele koni, które stoją samotnie, dokupują im jeszcze kucyki do towarzystwa. Kucyk nie jest drogi, jego utrzymanie też niewiele kosztuje, a samopoczucie i zachowanie dużego konia zmienia się diametralnie. Inwestycja się opłaca.

– Na szczęście nasze nie potrzebują żadnych kucyków – ucieszyła się Magda.

– Ale dzieciom by się przydały. Nie każde zechce wsiąść na dużego konia

albo na krowę. – Alicja sprowadziła przyjaciółkę na ziemię.

– Posłuchaj, wszystko super, ale naprawdę nie mam kasy na kupno kucyka.

– To poszukaj ogłoszeń „oddam w dobre ręce”.

– Ludzie oddają kuce za darmo?

– A pewnie. I konie też, i inne zwierzaki. Kupi jeden z drugim dzieciakowi kucyka na urodziny, a potem zaczynają się jaja. Albo dziecku się znudzi, albo rodzice dochodzą do wniosku, że to za duży kłopot, albo małego konisia zaczyna nosić i za bardzo daje czadu. Wczoraj na przykład widziałam ogłoszenie, że ktoś w Małopolsce oddaje za darmo lamę i...

– Nie! – przerwała ostro Magda. – Bez przesady! Nie chcę lamy!

– Dobra, dobra. Ja tylko żartowałam.

– Akurat! Weź sobie na wstrzymanie. O kucyku pomyślę, ale żadnych lam! Zrozumiano?

Alicja musiała się odwrócić; nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Strasząc szefową wymyśloną lamą, właśnie załatwiła jakiemuś biednemu kucykowi dach nad głową.

Po obiedzie Magda przejrzała ogłoszenia, ale nie znalazła niczego interesującego. Postanowiła, że następnego dnia obdzwoni najbliższe oddziały towarzystwa opieki nad zwierzętami i w końcu porządnie przysiądzie nad tematem dotacji na minizoo. Gdyby udało się zdobyć jakieś unijne dofinansowanie, w Pieńkach mogłyby zamieszkać nawet lama, pyton i kangur, ale najpierw należało przedrzeć się przez gąszcz skomplikowanych procedur. Do tego stadnina musiała zacząć regularnie zarabiać, a to wymagało ruszenia z akcją marketingową. Przez dwa dni Magda układała trasę, ale gdy policzyła, ile wyda na paliwo, od razu odechciało się jej jeżdżenia. Uznała, że osobiście odwiedzi wyłącznie najbliższe placówki, a do tych dalszych wyśle oferty pocztą. Koszt znaczków i kopert też był niemały, ale taki ruch zdecydowanie wychodził taniej, nawet jeśli część ulotek bez czytania wylądowałyby w koszu na śmieci.

Powoli jako tako rozeznawała się w zasadach rządzących agroturystyką. Jedne gospodarstwa stawiały na pobyty na wsi, dojenie krów i domowe posiłki z ekoupraw, inne wyspecjalizowały się w obsłudze jednodniowych edukacyjnych wycieczek dla dzieci. Magda na upartego mogłaby prowadzić i jedno, i drugie, lecz niestety musiała poczekać, aż Adam i Wojtek wybudują na łące bazę noclegową z prawdziwego zdarzenia. Elegancki i, co tu ukrywać, drogi Nestor nijak nie pasował do agroturystycznych klimatów.



Przy założeniu, że niebawem obok powstaną domki i bungalowy, a może nawet basen, można było w przyszłości liczyć na zwiększenie zainteresowania stadnią i upragniony rozwój. Choć już teraz Magdzie zaczynało powoli brakować ludzi do pracy. Jeśli do stajni dojdą nowe konie, zatrudnienie nowego stajennego stanie się absolutną koniecznością. A jeżeli Adam zechce organizować obozy jeździeckie i wczasy w siodle, to przydałby się jeszcze jeden instruktor jazdy. Albo nawet i dwóch.

Cóż, wszystko musi poczekać, westchnęła Magda. Finanse na razie z trudem domykały się od pierwszego do pierwszego, a gdy dojdzie spłata raty kredytu, może być naprawdę cienko. Strusie ostatecznie zakończyły sezon znoszenia jaj, a to, co udało im się znieść, już dawno zostało sprzedane. Nawet i chwilową nadprodukcję, spoczywającą w hotelowej chłodni u sąsiada, Magda niemal od ręki upłynniła na Allegro. Teraz musiała jakoś doczekać do wiosny, aż wielkie ptaszyska zakończą przerwę techniczną.

– Kury też szykują się do strajku. No i trzeba kupić nowe nioski – zagaiła przy kolacji.

Wcześniej sumiennie odrobiła zadanie domowe. Ślęcząc nad fachowymi publikacjami, zgłębiła temat przydomowej hodowli drobiu.

– To te, co teraz kupisz, będą się jakoś lepiej niosły? – zdziwiła się Alicja. Na gospodarskich ssakach znała się doskonale, ale ptactwo użytkowe nie było jej domeną. – Dla mnie kura to kura.

– Nie lepiej, tylko w innym terminie. Widzisz, kury kupuje się dwa razy w roku. W kwietniu i w listopadzie. Te kupione na wiosnę będą się nieść do jesieni, a te z jesieni będą znosić jajka do wiosny. W międzyczasie oba stadka się pierzą i nabierają sił przed kolejnym sezonem.

– W sumie to mądra ta matka natura – przyznała Alicja. – W końcu nie można biednych kur zajechać na amen. W sklepie słyszałam, że podobno najlepsze jajka dają jakieś zielononózki.

– To prawda. Ale ponoć to kury wariatki, a ja urwania głowy mam dość. Wolę spokojne kurki towarówki. Zwykle karmazyny albo jakieś inne, które dużo znoszą. W przyszłym tygodniu rozeznam się w sprawie i kupię z osiem takich kilkunastotygodniowych. To nie będzie duży wydatek.

– A kogut?

– Nie ma mowy. Jeden wystarczy. I tak co rano pieje jak głupi.

– Witam miłe panie i przepraszam za spóźnienie.

W uchylone drzwi zastukał Marek. Wyglądał, jakby wrócił z wojny. Twarz

miał szarawą i ściągniętą. Magda od razu odgadła, co się stało.

– Tata?

– Tak. Wczoraj był pogrzeb. Dziękuję, że zaopiekowałyście się Ciachem. Jak on się miewa?

– Kurczę, współczuję. – Magda gestem zaprosiła gościa do stołu. – O konia się nie martw, to świetny zwierzak. Alicja nie może się go nachwalić, że taki spokojny i ułożony. Zostaniesz z nami? Zjesz coś?

– Jeśli nie sprawię wam kłopotu, to chętnie. Od przedwczoraj niewiele co jadłem. – Marek przystał skwapliwie.

Ostatnio doskwierała mu samotność, a po ostatnich wydarzeniach potrzebował towarzystwa jak nigdy.

Magda natychmiast naląła mu gorącego krupniku i zawołała pozostałych.

Kilka minut temu widok Alicji sprawił, że Marek rozpogodził się nieco, ale wraz z nadejściem Krzyśka zmarkotniał ponownie. Magda od jakiegoś czasu czuła, że Ala wpadła mężczyźnie w oko, niestety, biedak trafił niefortunnie – gorący romans tamtych dwojga rozkwitał z dnia na dzień.

Wszyscy zgodnie zasiedli do stołu, z wyjątkiem Zofii, która obrażona na cały świat nałożyła sobie jedzenie na talerz i bez słowa pomaszerowała do siebie. Po posiłku Alicja posłała Krzyśkowi porozumiewawcze spojrzenie i pod pretekstem zanieśienia porcji Zdzichowi oboje pośpiesznie opuścili kuchnię. Magda pozostała z gościem sam na sam.

– Wiesz co, Marek – powiedziała. – Odupuć. Niepotrzebnie robisz sobie nadzieję.

– Czy to aż tak widać? – zapytał zakłopotany.

– Bardzo widać. Lepiej będzie, gdy od razu sprowadzę cię na ziemię.

– A co to za jeden? – Marek już zauważył, co się dzieje, i ocenił, że konkurencję ma mocną.

– Nasz nowy nabytek. Pracował tu w lecie dorywczo, a teraz zamieszkał u nas na stałe. Jak widzisz, miłość kwitnie. – Magda uśmiechnęła się smutno, doskonale wiedząc, że jej gość pragnąłby usłyszeć coś zupełnie innego.

– Widzę, że nic tu po mnie – westchnął strapiony Marek. – I pomyśleć, że zawsze było mi dobrze samemu. A teraz? Pozmieniało się człowiekowi na stare lata.

– Współczuję. U mnie też nie najlepiej, ale daję radę. Bierzesz dziś konia?

– Tak, wrócę lasem. Dziękuję za wszystko. – Marek poklepał Magdę po ramieniu i jakby go kto gonił, pognał do stajni.

Po niemiłych przeżyciach nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dosiądzie wierzchowca i pogalopuje przed siebie.

A Magda zabrała się do zmywania. Od dawna przemyśliwała o zmywarce – przy tylu osobach przydałaby się któraś z tych większych – ale na razie ten luksus musiał pozostać w sferze marzeń. Dom wymagał nowej instalacji elektrycznej i podłączenie każdego dodatkowego sprzętu byłoby dla starych kabli zbyt dużym obciążeniem.

Zamyślona, dopiero po chwili usłyszała krzyki na zewnątrz. Nie zwiastowały niczego dobrego.

– Magda! Dzwonź po straż! – Do kuchni wparował spocony Marek. – Pali się! Szybko!

– Rany boskie, co się pali?!

– Stajnia! Szybko!

– Boże. Tylko nie to! – wyszeptała przerażona.

Ręce tak jej drżały, że z trudem wybrała numer alarmowy. Ale nie zdążyła włożyć kurtki i rozejrzeć się za gaśnicą, gdy do jej uszu dobiegło wycie syreny z remizy w Pieńkach. Nie tracąc czasu, wybiegła z domu, żeby jak najszybciej wyprowadzić konie. Po drodze capnęła gaśnicę i modląc się w duchu, by ta zadziałała, przebiegła przez krzaki.

Widok był przerażający – dach stajni płonął jak pochodnia. Lecz Magda odetchnęła, bo na szczęście nie chodziło o główną stajnię. Paliła się ta mniejsza, już prawie gotowa do użytku, ale jak na razie jeszcze niezamieszкана. Magda podbiegła do przypadkowych ratowników, skierowała wylot gaśnicy w stronę pożaru i zerknęła na instrukcję.

– Zwariowałaś? – Marek złapał ją za ramiona i osadził w miejscu. – Tym chcesz gasić? Tym to można sobie zgasić ognisko albo papierosa! Nie ruszaj się stąd! Straż już jedzie, słyszysz?

– Chryste, dlaczego ja? – wyszeptała Magda, kryjąc twarz w dłoniach.

W jej uszach dudnił głuchy pomruk ognia trawiącego dachowe belki. Nawykła po strażackich szkoleniach do podobnych widoków, dziewczyna wzięła kilka głębokich oddechów i spróbowała się opanować.

– Chodź. Nic tu nie poradzisz. – Marek mocno objął ją ramieniem i odciągnął kilka metrów dalej.

Tuż obok przerażona Alicja schroniła się w mocnych objęciach Krzyśka. Zofia pewnie śpi w swoim pokoju, pomyślała Magda. A Zdzisiek...

– Gdzie się podziewa ten cholerny Zdzisiek?! – krzyknęła. – Już raz omal nie

podpalił głównej stajni, a wciąż po kryjomu kopci papierosy! Gdzie on jest? Jak go dorwę, to go zabiję! Założę się, że to jego wina! Zabiję drania! Pewnie się schował, sukinsyn jeden! Dawać go tu! – nakręcała się coraz bardziej.

Gdyby Zdzychu był teraz pod ręką, zapewne rzuciłaby się na niego z pięściami.

– Ale czego ty od niego chcesz? – zapytał Krzysiek, zdziwiony wybuchem szefowej.

– Jak to: czego? Kiedyś nakryłam go pijanego z niedopałkiem w ręku. I to na sianie! – Magda wskazała głową na główną stajnię. – Jeśli to jego wina, to nie ręcę za siebie. Puść mnie! – warknęła wściekle, wywijając się z objęć Marka.

– Ale jego tu nie ma – powiedział spokojnie Krzysiek. – Od dwóch godzin jest na pastwisku. Dziś od samego rana robi przy koniach.

Magda poczuła się jak skończona idiotka. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. W końcu Zdzychu ma tyle zawałek na sumieniu, że miałam prawo, stwierdziła.

Akcję gaśniczą zakończono po kilku godzinach. Na szczęście przy bezwietrznej pogodzie nie było ryzyka, że zajmą się drzewa, a później las, lecz dach nad stajnią spłonął doszczętnie. Stara i sucha jak wiór konstrukcja zajęła się niczym kupka chrustu.

– No i pięknie. – Po akcji do Magdy podszedł komendant. – Jakoś ogień lubi ostatnio pani stadninę.

– Lepiej byłoby, gdyby wreszcie przestał – wykrztusiła z trudem.

Wywołana stresem dawka adrenaliny właśnie przestała działać i Magda zaczęła dygotać. Czuła, że bez względu na obecność wszystkich zaraz się rozklei, lecz Alicja nie dała jej na to czasu. Zaczęło padać, więc zaprosiła wszystkich do domu. Resztę krupniku rozdysponowała pomiędzy głodnych strażaków i postawiła na stole koszyk z górą pokrojonego pieczywa.

Mężczyźni zjedli, napili się kawy i zaczęli zbierać się do odjazdu. Pozostały jeszcze protokoły do podpisania, ale komendant ulitował się nad Magdą i obiecał przyjechać następnego dnia.

Podziękowała mu drętwo, marząc, by wszyscy już sobie poszli. Miała dość. Chciała zostać sama, skulić się w starym, stojącym w rogu jadalni fotelu, w którym dawniej zasiadała babcia Fela, wychylić kilka kieliszków nalewki i zapomnieć o otaczającym ją świecie. No właśnie. Chciała. Ale reszta świata miała wobec niej inne plany. Na zewnątrz lunęło jak z cebra, więc Alicja

zapropowała Markowi, by został na noc. Przyszykowała mu pokój na poddaszu, ale mężczyzna ani myślał iść spać. Pozostali, nabuzowani emocjami, też nie mieli zamiaru, a ze względu na obecność gościa również Magdzie nie wypadało opuścić towarzystwa. Rozluźnił ją trochę dopiero trzeci kieliszek nalewki.

– Matko, co za dzień – westchnęła i naląła sobie jeszcze trochę wiśniowego płynu. – Nie mam pojęcia, dlaczego to się zapaliło. Jeśli to nie było podpalenie, to co?

– Chłopaki ze straży mówili, że to słoma się zatliła – wtrącił Krzysiek.

– Jak to: się zatliła? Sama? Co za nonsens – prychnęła Magda pogardliwie.

– Nie słyszałaś nigdy o samozapłonie siana albo słomy? To bardzo częsta przyczyna pożarów. Zwłaszcza w lasach i na wsiach – przerwał jej Marek.

– Nie. Nie słyszałam.

– Mokre siano czy słoma potrafią się zapalić same z siebie. Jeśli są nieco wilgotne, a pomieszczenie nie ma dostatecznej wentylacji, wytwarzają się łatwopalne gazy i dochodzi do samozapłonu.

– Matko, a ja myślałam, że jak tam złożę słomę, to będzie najlepiej. Ale narobiłam. – Magda chwyciła się za głowę. – Musiała być mokra. Ech, że też sprzedają ludziom mokrą słomę. Co za dziadostwo.

– To nie wina sprzedawcy. Słoma zawsze może być trochę mokra. Po prostu takich rzeczy nie składa się w szczelnych pomieszczeniach. Stodoły są zazwyczaj ażurowe, ale nie dlatego, że gospodarze oszczędzają na deskach, ale dlatego, żeby wewnątrz był przewiew. No, głowa do góry! I tak miałaś mnóstwo szczęścia, że spalił się tylko dach – podniósł ją na duchu Marek i opróżnił kieliszek do dna.

– Prawda. Tam jest betonowy strop i dół właściwie pozostał nieruszony – pocieszyła Alicja. – Woda z sikawki się naląła, ale przecież wyschnie. Dobrze, że jest ciepło. Problem tylko, że kury zostały bez dachu nad głową. Na szczęście wszystkie były na zewnątrz, więc na razie dałam je do strusiarni. Mam nadzieję, że strusie ich nie zdeptają, dopóki nie wymyślimy czegoś lepszego na czas remontu dachu.

– Jakiego znów remontu? – zapytała Magda nieprzytomnie.

Straciła już rachubę kieliszków. A nalewka skutecznie przytępiła jej umysł.

– Przecież nie zostawimy tak tego na zimę? Zniszczy się dół i cała robota pójdzie na marne. Musimy tam zrobić jakiś dach. Choćby prowizoryczny. I dwa nowe konie mam umówione na hotel, a miejsc już nie mamy – oznajmiła

Ala.

– Taaa... – mruknęła Magda pod nosem.

– Nic się nie martw. Poza sezonem łatwo o dekarzy. No i na szczęście mamy sprawdzoną ekipę. Może chłopaki znajdą czas. – Alicja oczyma duszy zobaczyła nowy wspaniały kurnik na strychu małej stajni.

– Ekipę mamy, z kasą gorzej. – O ile to było możliwe, Magda zmarkotniała jeszcze bardziej. – Do tego potrzebna jest jeszcze ekspertyza i inne formalności w gminie.

– Przecież masz polisę. No, pomyśl. Nowy dach za friko – kusiała Ala.

– Muszę się położyć. Mam dość.

Świat zawirował jej przed oczami i gdyby nie pomoc Marka, Magda nie doszłaby do pokoju. Jak nieżywa w ubraniu padła na łóżko i natychmiast zasnęła jak kamień.

Sny miała niespokojne, pełne dziwactw i niedomówień. Na przemian to drżała z zimna, to za chwilę pociła się od uderzeń gorąca. W majakach mieszały się jej postaci męża i Staszka, tak że nie potrafiła się połapać, który jest który. Na koniec pojawili się Wojtek i Marek, a w finalnej scenie do akcji wkroczyła sama Jacqueline Deveraux. I to właśnie ją Magda zapamiętała najlepiej. Piękną i wytworną, w tej samej wiśniowej sukni, w której Magda ostatnio pojechała do teatru. Francuzka z wdziękiem wspierała się na zgliszczach spalonej stajni i uśmiechała uroczo. Coś mówiła, ale we śnie nie dawało się zrozumieć choćby ogólnego sensu jej słów. Generalnie Magda bardzo ucieszyła się, że Jacqueline jednak żyje, i nawet chciała ją uściskać, ale tamta odsunęła się, posyłając szeroki uśmiech. Zakołysała długimi kolczykami, by na koniec wyjąć je z uszu i położyć na okopconym murku.

Magdę obudziła potworna suchość w ustach i tępy ból głowy. Za oknem kogut piał jak wściekły.

Zamknij dziób, czarci pomioście!, pomyślała ze złością i trzymając się ściany, poczłapała do łazienki.

Na wejściu wystraszyło ją własne odbicie. Wytężyła wzrok, ale lustro nie kłamało. Wyglądała jak straszdyło. Przemyła twarz lodowatą wodą, umyła zęby i od razu poczuła się lepiej. W piecu musiało już całkiem wygasnąć, bo wszędzie panował przenikliwy chłód. Było jeszcze wcześniej, więc zawróciła do siebie i przebrała się w dres. Z lubością zakopała się na powrót w wygrzanej pościeli.

Obudziło ją dopiero wołanie na obiad.

Po prysznicu i w czystym ubraniu poczuła się jak nowo narodzona. Metabolizm wreszcie zneutralizował zgubne skutki nadużycia przekłętej nalewki i Magda dziarsko wkroczyła do kuchni. Chwilę potrwało, zanim do jej świadomości powróciły wydarzenia minionego dnia oraz ich skutki, z którymi będzie musiała zmierzyć się w nadchodzącym czasie. W sekundę straciła cały zapał i chęć do życia.

W opustoszałej kuchni po wieczornej nasiadówce nie został nawet ślad. Wszystko zostało umyte i posprzątane. Pomieszczenie, mimo że nędznie wyposażone, lśniło czystością. Magda wspomniała całkiem niedawne czasy, kiedy przejście przez próg było niemal równoznaczne z przyklejeniem się do podłogi, i zrobiła sobie kawę. A później włożyła kurtkę i wyszła na zewnątrz.

Wieczorna ulewa odeszła gdzieś w dal, lecz u schyłku października słońce świeciło już zdecydowanie niżej niż latem. Mimo to dzień był ciepły. W powietrzu dawało się wyczuć wyraźny swąd spalenizny.

Z kubkiem w ręku Magda przeszła na rozlatującą się drewnianą werandę. Jak zwykle z obawą, czy podłoga się pod nią nie załamie, podeszła do jedyne go ocalałego kawałka balustrady, skąd roztaczał się najlepszy widok na całą stadninę. Konie spokojnie biegały po padoku, a strusie, o dziwo, przez noc nie zdeptały kur. Teraz jak szalone biegały po wybiegu, podczas gdy dezorientowane przeprowadzką mniejsze ptactwo przemieściło się na padok w poszukiwaniu chwili spokoju. Nawet cwałujący koń nie był tak straszny w kurzych oczach jak szalony, pędzący na oślep struś. Owczarki, ku radości Magdy, całkowicie zignorowały skrzydlate towarzystwo na manerze, tylko swoim zwyczajem postanowiły zagonić je w zwarte stadko. Inwentarz prezentował się sielankowo.

Niestety, widok okopconych ścian skutecznie sprowadził Magdę na ziemię. Zdzichu, Krzysiek i jeszcze jeden mężczyzna ze wsi ostro uwijali się przy sprzątanu resztek spalonego dachu. Wszyscy byli pewni, że stadnina jest ubezpieczona, ale tylko jej właścicielka wiedziała, jak jest naprawdę. Owszem, miała wykupione ubezpieczenie – od odpowiedzialności cywilnej, która nie miała nic wspólnego z zalaniem, zawaleniem czy pożarem. Nie było nawet sensu zapraszać na miejsce rzeczoznawcy, gdyż brakowało podstaw do wypłaty odszkodowania.

Magda dopiła kawę i ze stukiem odstawiła kubek na niewielki rozhuśtany stolik. Już wiedziała, co robić. Tak jak niegdyś w szkole przed każdą klasówką, teraz chuchnęła w dłonie na szczęście i mocno zacisnęła kciuki.

– No to skarbie... Cała naprzód! – powiedziała mocnym głosem.

A później zagryzła wargi prawie do krwi.

Zawróciła do domu i do wieczora dysponowała już listą najlepszych i najbardziej wiarygodnych trójmiejskich jubilerów. Skoro zasugerowała to sama Jacqueline, nie należało sprzeciwiać się woli zmarłej. A że woli wyrażonej we śnie? Co z tego?

To nie pora na sentymenty, stwierdziła Magda twardo.



## Rozdział 9

Kluczyła już ponad kwadrans, wypatrując miejsca do zaparkowania. Przed gmachem sądu zawsze było z tym ciężko, a dziś miała wyjątkowego pecha – gdy cokolwiek się zwalniało, nadjeżdżał ktoś z prawem pierwszeństwa przejazdu i zajmował upatrzone miejsce. Przy trzecim niefarcie zmeła w ustach przekleństwo. Rozprawa miała rozpocząć się za pół godziny, a ona musiała jeszcze jakoś dojść do budynku i odszukać odpowiednią salę. Bardzo nie chciała się spóźnić na własny rozwód. Czas do wyznaczonego terminu włókł się jak zmęczone ślimaki, ale gdy przyszło co do czego, zaczęła się denerwować. Dzień wcześniej z emocji dostała biegunki i nie obeszło się bez leków, w nocy nie spała prawie wcale, choć tak bardzo zależało jej na tym, żeby dobrze wypocząć. Niewyspana zawsze do południa chodziła jak zombi, a tego dnia wskazana była szczególnie dobra kondycja.

W przeciwieństwie do męża nie potrzebowała adwokata. Uznała, że jej sprawa jest tak prosta, że przed sądem poradzi sobie sama. Ale pragnęła wyglądać jak najlepiej, żeby z czystej babskiej przekory pokazać Tomkowi, co stracił. Przed wyjazdem zatem wstała o świcie, zastosowała wszystkie znane sobie kosmetyczne triki i zrobiła się na bóstwo. Uczesała się w gładki kok i włożyła skromną garsonkę. Do tego baleriny na płaskiej podeszwie. W końcu sąd to sąd. Przed samym wyjściem zawróciła jednak po szpilki. Nie lubiła w nich prowadzić, za to zawsze mogła je włożyć już na miejscu i zrobić niezłe wejście. Kobięca próżność zwyciężyła.

Niestety, gorzej poszło z wprowadzeniem planu w życie.

Zdyszana Magda wbiegła po schodach na trzecie piętro. Nie dość, że była spóźniona, to jeszcze jak na złość w budynku zepsuła się winda. Na szczęście nie miała czasu wyjąć szpilek z bagażnika, bo pewnie połamałyby sobie nogi, gdy biegiem ruszyła w stronę sali rozpraw.

Zdążyła tuż przed zamknięciem drzwi przez protokolanta.

Wewnątrz przywitała się, sapiąc. Nie miała pojęcia, po której stronie składu

sędziowskiego usiąść, więc bezradnie rozejrzała się na boki. Sędzia, zauważywszy tę konsternację, uprzejmie wskazał Magdzie miejsce. Podziękowała, speszona własnym nieobyciem, i powiodła spojrzeniem po sali.

Naprzeciwko siedział Tomek, wyraźnie unikający jej wzroku. Towarzyszyła mu jakaś kobieta w todzie i z teczką. Zapewne jego adwokat, domyśliła się Magda.

Ku swojemu zaskoczeniu była jak wyprana z emocji. Spodziewała się silnych wzruszeń, a tymczasem miała tylko nadzieję, że druga strona niepotrzebnie nie skomplikuje i nie przedłuży sprawy. Pragnęła jak najszybciej mieć kłopot za sobą, więc pomimo lekko ściśniętego żołądka sprawnie odpowiedziała na wszystkie pytania i zgrabnie ujęła w słowa swoje oczekiwania. W sumie nie było już czego ratować ani czego dzielić, bo wszystko zostało podzielone wcześniej. Do rozstrzygnięcia pozostała wyłącznie kwestia samochodu.

I właśnie tutaj wkroczyła do akcji pani adwokat, aby wykazać, że fiesta stanowi odrębną własność jej klienta. A właściwie jego firmy. Magda nie wytrzymała. Spokojnie przypomniała obecnym na sali, że to ona niegdyś zapłaciła raty, bo Tomek nie miał na nie funduszy. A później spojrzała pani adwokat prosto w oczy.

– Pani mecenas, z całym szacunkiem, ale czy w rewanżu mam zawnioskować o orzeczenie rozwodu z winy męża? – zapytała. – W końcu to on nie dochował mi wierności. Tymczasem ja chcę wyłącznie samochodu, który zwyczajnie mi się należy. Może być równowartość. Tylko tyle. Dziękuję.

Obciągnęła spódnicę i usiadła, przekonana, że wskóra niewiele, ale – o dziwo – jej słowami zainteresował się sędzia. Zapytał o cenę rynkową. Tomek nie przestawał udawać, że nie widzi Magdy, a ona zastanawiała się, jakim cudem mogła jeszcze tak niedawno kochać człowieka, który po latach wspólnego życia nawet nie chce jej znać.

Dopiero pod koniec rozprawy dostrzegła siedzącą za nim brunetkę w zaawansowanej ciąży. Rozpoznała ją od razu i pożałowała, że nie zauważyła jej wcześniej. No tak, w takich okolicznościach Tomkowi musi zależeć na szybkim rozwodzie, pomyślała. Może nawet bardziej niż mnie.

Jakie to dziwne, ciągnęła wewnętrzny monolog, że obie ważne chwile zawarcia i rozwiązania związku w ostatecznym rozrachunku właściwie niewiele różnią się od siebie. Obie dzieją się w urzędzie i obie okupione są

potężnym stresem. W obu przypadkach zainteresowanym zależy, żeby jak najszybciej było po sprawie i żeby wszystko poszło po ich myśli. A gdy to wreszcie następuje, wybucha ogólna radość, że mają to za sobą. Jedyna różnica to fakt, że tuż po ślubie człowiek, trochę przestraszony tym, co zrobił, ma nadzieję, że życie ułoży się dobrze. Po rozwodzie ma taką samą nadzieję, tyle że już się nie boi. Bo doskonale wie, że kiedyś dobrze być musi.

Magda wyszła przed gmach sądu nieco zawiedziona, że Tomka nie było stać na rozstanie z klasą. Wprawdzie zawarta przed sądem ugoda i rozwodowy wyrok bardzo ją satysfakcjonowały, ale trochę inaczej wyobrażała sobie pożegnanie ich dwojga. A przede wszystkim nie spodziewała się, że nowa kobieta jej męża będzie obecna na sali rozpraw.

– Ożeż, cholera by to wzięła – mruknęła na widok żółtej blokady na kole.

Wcześniej tak bardzo się śpieszyła, że nie zwróciła uwagi na zakaz parkowania i postoj. Na domiar złego patrol strażnicy miejskiej miał mnóstwo interwencji, więc czekając na jeden z nich, Magda spędziła na parkingu ponad godzinę. A zanim wyruszyła w drogę, nastąpiła już pora piątkowych popołudniowych korków.

Gotując się ze złości, posuwała się w żółtym tempie w stronę peryferyjnych dzielnic. Wyjazd w stronę Olsztyna był zakorkowany jak zawsze, a Magda nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zasiądzie w przytulnej kuchni Ulki i Jakuba. Ich niespodziewana przyjaźń spełniała się ostatnio jedynie przez telefon, choć Ula nieustannie nalegała na bodaj kilkugodzinną wizytę. A gdy dowiedziała się o terminie rozprawy, natychmiast zaproponowała przyjazd na weekend. Magda odruchowo chciała zaoponować i wymówić się brakiem czasu, ale przyjaciółka nie pozwoliła wejść sobie w słowo.

– Nie bądź głupia. To trzeba uczcić – tokowała niezrażona. – W końcu człowiek nie rozwodzi się co tydzień, prawda?

– No, fakt. Ale wiesz, ile ja mam na głowie? W stadninie co rusz coś się pierniczy.

– To tym bardziej powinnaś odpocząć. Wierz mi. Przez jeden weekend stadnina nie zniknie z powierzchni ziemi. Wcale nie jesteś taka znowu niezastąpiona.

– Mówisz? – Magda zaczęła się łamać.

– Ha! Ja nie mówię, ja wiem! Pakuj dziewczyno w troki swoje cztery litery i widzimy się w piątek po południu.

Ula przerwała połączenie, nie dając szansy kolejnym protestom, i pobiegła

do spizarni sprawdzić zapas mąki. Ostatnio nauczyła się robić tartę ze szpinakiem i tak bardzo zakochała się w tym prostym daniu, że stało się ono jej popisową potrawą. Nie dziwne było więc, że na przyjazd ulubionego gościa postanowiła przyrządzić właśnie swoją specjalność.

– O matko, niebo w gębie – wymamrotała z lubością Magda, łapczywie pochłaniając kęs za kęsem.

W drodze zjadła jedynie hot doga na stacji benzynowej. Ku jej zaskoczeniu okazał się całkiem smaczny, choć równie brudzący; nie byłaby sobą, gdyby nie upaćkała się mieszanką musztardy i keczupu. Zła, cisnęła niedokończoną bułkę do pobliskiego rowu i teraz pożerała tartę z takim apetytem, że omal się nie zadławiła. Na szczęście Ula przytomnie podała jej kubek z kompotem.

– Uważaj, dziewczyno. Głupio byłoby stracić życie przy obiedzie – zażartowała i pogoniła Jakuba po wino.

– Bardzo proszę, moje drogie. Po ciężkim tygodniu należy się jakaś nagroda.  
– Jakub podał obu paniom kieliszki i od razu przystąpił do negocjacji w sprawie bryczki, wypożyczonej od Magdy w zamian za renowację.

Niedawny targ był korzystny, bo wraz z bryczką do Jakuba trafiły dwa nieujędzone siwki, które nadawały się wyłącznie do zaprzęgu, a do Pieniek pierwsza trójka strusi. Teraz zapowiadał się kolejny złoty interes, bo Jakub miał chrapkę na odnowiony powóz i ponownie zaproponował ptaki w rozliczeniu. Magda zgodziła się bez wahania. Chętnie pozbyła się bryczki, bo liczyła na agroturystyczne wycieczki, przy których potrzebowała większego pojazdu. Marzył się jej prawdziwy wóz drabiniasty, zadaszony na wzór wozów z cygańskiego taboru, ale mogła o nim pomyśleć dopiero na wiosnę. Na razie miała na głowie dach i mnóstwo innych spraw. Ponadto musiała oswoić się z myślą, że oto znów jest osobą wolną. Uczucie, mimo że wyczekiwane, wcale nie przyniosło jej ulgi. Zamiast niej pojawiło się nieustannie nękające pytanie: co dalej?

– Kochana. Żeby się podnieść, najpierw trzeba upaść – powiedziała jej Ula przed odjazdem. – Teraz wszystko w twoich rękach.

– Wiem, wiem. Co cię nie zabije, to cię wzmocni. – Magda się uśmiechnęła.

Czas u przyjaciół płynął zbyt szybko. Siłą woli starała się go spowolnić, ale jej wysiłki spełzły na niczym; przy gadatliwej Ulce i jej serdecznym mężu leciał zdecydowanie zbyt szybko. Korzystając z okazji, Magda wypytała Jakuba na przyszłość o wszystkie aspekty inkubacji strusich jaj i wylęgu piskląt. Już wiedziała, że to nie taka prosta sprawa, ponieważ ptaki w niewoli

zatraciły instynkt wysiadywania i nie było co liczyć na ich pomoc. Jaja potrzebowały inkubatora, a pisklęta, jako nadzwyczaj delikatne, w okresie odchowu wymagały ogromnej całodobowej troski. Całe strusie przedsięwzięcie wymagało oczywiście specjalnych pomieszczeń, specjalistycznego sprzętu i co najmniej dwóch osób do permanentnej opieki. O ile z pomieszczeniami nie było większego kłopotu, o tyle kolejne kwestie nastroczały niejakich problemów. Konieczne były wydatki, a budżet stadniny topniał z dnia na dzień.

W niedzielę po obiedzie Magda serdecznie uściskała przyjaciółkę na pożegnanie.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała.

– Trzymaj się ciepło i jak najszybciej przyjeżdżaj po strusie.

Z domu wybiegł Jakub i wetknął Magdzie w dłoń gazetowe zawiniątko.

– Co to takiego?

– Pstrągi wędzone na ciepło. Niebo w gębie. Sąsiad ma stawy.

– Ile...

– Nawet mnie nie denerwuj. – Jakub zatrzasnął za gościem drzwiczki fiesty i pomachał na pożegnanie.

Magda ruszyła przed siebie. Po dwudniowym pobycie czuła się absolutnie rozluźniona i szczęśliwa, co aktualnie w jej przypadku zakrawało na non-szalancję.

Przez całą drogę do Pieniek biła się z myślami. Z jednej strony chętnie zostawiłaby stadninę w diabły i zajęła się spokojną normalną egzystencją. Na przykład w Tczewie. Z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży biżuterii mogłaby śmiało kupić przytulne mieszkanie. A posiadłość wydzierżawić lub sprzedać. Z drugiej zaś, nie zdając sobie z tego sprawy, odruchowo coraz mocniej naciskała na gaz, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Nawet się nie spostrzegła, kiedy całym sercem pokochała swoje nowe miejsce na ziemi. Widok drewnianej bramy wywołał na twarzy Magdy szeroki uśmiech. Przez miniony weekend zdołała mocno zatęsknić, więc biegiem ruszyła do domu.

Domownicy siedzieli przy stole i popijając herbatę, czekali na jej powrót. Mieli wyraźnie podekscytowane miny.

– Co jest grane? – Natychmiast wyczuła, że coś jest na rzeczy.

– Nawet nie wiesz, co dziś znaleźliśmy. Dosłownie przed godziną – powiedziała zaaferowana Alicja.

– Kolejne zwłoki? Zgadłam?

– No co ty! Wczoraj zabraliśmy się do sprzątnięcia tego budynku za stajnią od strony lasu. Tego większego, murowanego. Wiesz, tam gdzie stoi traktor. I...

– A pozwolicie mi się chociaż rozebrać?

Magda była rada, że tym razem nie stało się nic złego. A nawet umierała z ciekawości, bo odkąd pamiętała, całe pomieszczenie, po sam sufit, zawalone było starymi gratami i szmatami. Żeby dostać się do starego ciągnika i wału do ubijania piachu, trzeba było pracować przez cały dzień. Poza tym, prawdę mówiąc, Magda traktowała tamte zabudowania po macoszemu. Miała na głowie inne zmartwienia.

– A co was tak wzięło, żeby tam sprzątać? – zainteresowała się.

– Ech, wiesz... – zawahała się Alicja. – Wiesz, pomyśleliśmy z Krzyśkiem, że może nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebyśmy docelowo mogli tam we dwójkę zamieszkać – dokończyła niepewnie.

Inicjatywa była rozsądna. Budynek stał dużo bliżej obu stajni niż dom babci Feli, a poza tym ulokowanie w nim pary byłoby o wiele mniej krępujące.

Magda z aprobatą skinęła głową, a Alicja wymieniła z Krzyśkiem szybkie spojrzenia.

– Siadaj, bo padniesz – powiedziała konspiracyjnym tonem. – Za stertą połamanych gratów znaleźliśmy... amerykański samochód.

– Amerykański? Co to za samochód?

– Chevrolet z lat osiemdziesiątych. Wygląda, jakby był w całkiem niezłym stanie.

– Czarny?

– Aha.

Magda nie była zdziwiona, bo doskonale pamiętała czarne płaskie auto z nieskończenie długą maską. W dzieciństwie nieraz widywała, jak hrabia szykujący się do jakiegoś wielkiego wyjścia wyprowadzał swą paradną gablotę na zewnątrz. Korzystał z niej od święta, w tamtych czasach wywołując nie lada sensację.

Chęć zobaczenia tego cuda ponownie zwyciężyła zmęczenie. Całkiem niedawno, wspominając wakacje w Pieńkach, Magda przypomniała sobie o nim, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że auto stoi spokojnie, schowane głęboko.

– Przecież ja nie wytrzymam do rana – powiedziała. – Idziemy. Wezmę tylko latarkę z fiesty.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Ala i Krzysiek jak na komendę zerwali się z miejsc i pobiegli po kurtki. Po pięciu minutach Krzysiek z tajemniczą miną, godną co najmniej Davida Copperfielda, magika wszech czasów, zaprosił Magdę do środka.

Wystarczyło kilka kroków, by snop światła omiótł drapieżną sylwetkę, którą Magda rozpoznała natychmiast – dokładnie ten sam model, jaki zapamiętała z dzieciństwa. Wtedy budził jej niekłamany zachwyt, ale i dziś, nawet w świetle latarki, pokryty wieloletnim kurzem, również prezentował się niesamowicie. Mimo zatkniętych za wycieraczki wiechci siana i odchodów domowego ptactwa na masce i dachu.

Magda westchnęła z zachwytem. Agresywna sportowa linia corvetty już na pierwszy rzut oka zdradzała nieujarzmiony charakter.

– Wspaniały, co nie? – zachwycała się Ala.

– Ciekawe, czy to jeszcze jeździ – mruknęła Magda pod nosem.

– A czemu miałoby nie jeździć? – zdziwił się Krzysiek. – Jutro podepnie się akumulator od ciągnika i się zobaczy, co i jak. Pewnie jeszcze żyje. I to całkiem dobrze.

– To ty masz do tego kluczyki? – Magda zrobiła wielkie oczy.

– Wszystko jest. I kluczyki, i dokumenty. I nawet stare polisy ubezpieczeniowe. Wszystko.

– To niebywałe. – Magda w zamyśleniu bezwiednie pogładziła pokryty wieloletnim pyłem, wystający ku górze garbaty błotnik.

Sięgnęła do przypominającej zamykaną popielniczkę klamki i nacisnęła ostrożnie. Drzwiczki ustąpiły. Spodziewała się odoru stęchlizny, ale wewnątrz dawało się wyczuć jedynie woń stanowiącą mieszankę kurzu, siana i skóry. Zapach nie zachęcał, ale też nie kojarzył się z niczym nieprzyjemnym. Magda wśliznęła się do środka i ujęła w dłonie trójramienną sportową kierownicę.

– Ale czad!

Dosunęła fotel i ustawiła lusterko wsteczne. Jako dziecko marzyła, by dostąpić zaszczytu przejażdżki tym wozem, ale nawet nie śmiała prosić babci Feli o wstawiennictwo u groźnego arystokraty.

– To co robimy? – Krzysiek sprowadził chlebobawczynię na ziemię.

– Jak to: co robimy? Postaramy się toto uruchomić i zobaczymy, co dalej.

– Ale to nie takie proste. Diabli wiedzą, ile lat on nie jeździł i w jakim stanie są oleje i płyny. A ja sobie z tym tutaj nie poradzę. Nie mam narzędzi. Tylko warsztat wchodzi w grę.

– Nie można go tam doholować? – wtrąciła Alicja.

– Nie można. To automat, więc tylko laweta.

Ech, normalnie stadnina pełna niespodzianek. Jakbym miała mało problemów, pomyślała Magda.

Nie dość, że musiała jak najszybciej sfinalizować budowę nowego dachu, to jeszcze na dodatek powinna rozejrzeć się za jakimś autem dla siebie. Po rozprawie wiedziała, że Tomek wypłaci jej równowartość rynkowej ceny fiesty, a ona z chwilą wpływu na konto będzie musiała się rozstać z ukochanym autkiem. Na szczęście w odwodzie był Krzysiek i można było liczyć, że doradzi jej coś sensownego. Pod Olsztynem czekały na transport kolejne strusie, a Magda wciąż nie miała haka holowniczego. Nie mogła wiecznie nadużywać uprzejmości Jakuba czy Adama, a transport siedmiu ptaków wymagał co najmniej dwóch kursów – podróż w ścisiku mogłaby je zdenerwować, a nawet kosztować życie. Pogłowie stada planowo miało powiększyć się dopiero wiosną, ale skoro Jakub znów zaproponował rozliczenie w barterze, nie było na co czekać.

Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić haka przy corvette, więc jeszcze przed nocą zagoniła Krzyśka do komputera, by znalazł dla niej jakiś samochód. Wiele słyszała o nieuczciwych sprzedawcach, którzy licząc na ludzką naiwność i niewiedzę, nagminnie cofali liczniki i ukrywali wypadkową przeszłość. Fiesta została kupiona w salonie, ale teraz musi jej wystarczyć używany egzemplarz. Myślała o jakimś oszczędnym kombi, ale Krzysiek miał inny pomysł.

– Co myślisz o tym? Fajny, nie? – Wskazał palcem na srebrnego pikapa.

– Taki wielki? – Magda zareagowała sceptycznie, choć auto samo w sobie wyglądało całkiem nieźle.

– Wcale nie taki wielki. Trochę osobowy, trochę ciężarowy i trochę w teren. W sam raz dla ciebie. O, ma nawet hak. I napęd cztery na cztery.

– No dobra, pomyślę – mruknęła bez entuzjazmu.

A gdy reszta domowników wylądowała w łózkach, przeczesała kilka internetowych forów dla pasjonatów amerykańskich motoryzacyjnych zabytków. Jednak jej szalony pomysł spalił na panewce już po lekturze pierwszych dwóch wpisów; piękny czarny chevrolet nijak nie nadawał się na pojazd codziennego użytku. Przy blisko sześciu litrach pojemności palił tyle, ile mu się wlało do baku. Najwięksi pesymiści przebąkiwali nawet coś o trzydziestu pięciu litrach na setkę. Dodawszy do tego problem ze zdobyciem



oryginalnych części, zapowiadało się kolejne pasmo kłopotów. O ponownym dopuszczeniu chevroleta do ruchu Magda nie chciała nawet myśleć, bo procedura była mocno skomplikowana. Rozczarowana, ponownie wyświetliła ofertę, którą wyszukał dla niej Krzysiek.

Miał rację. Masywna toyota hilux była dokładnie tym, czego potrzebowała. Należało się skłonić przede wszystkim ku rozsądkowi i względom praktycznym.

Nieco uspokojona Magda położyła się spać, ale całkowita cisza sprzyjała goniwieniu myśli. Niby wszystko pomalutku miało się niebawem wyprostować, - niby każdy pojawiający się problem miał jakieś w miarę dobre docelowe rozwiązanie, niby w kwestiach dobrosąsiedzkich i międzyludzkich też było już nieźle, a mimo to Magdy nie opuszczał dziwny niepokój. Nie pomagała wcale świadomość, że tak wiele pokonanych barier już za nią. W poprzednim życiu niechybnie by poległa, lecz teraz jakoś dawała radę i nie mając wyjścia, dzielnie stawiała wszystkiemu czoła. Czasem myślała, że robi to z głupoty, a chroni ją tylko anioł stróż, bo w trakcie analizy własnych działań post factum nie raz i nie dwa chwytala się za głowę, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę podjęła takie decyzje. Niektóre, z perspektywy czasu, dość karkołomne. Zupełnie siebie nie poznawała i nie potrafiła uwierzyć we własne szczęście. Dziś, mając większą wiedzę, zapewne postąpiłaby inaczej, ale mogła już tylko wyciągnąć wnioski na przyszłość i iść do przodu. Już wiedziała, że przez przypadek trafiła do swojego miejsca na ziemi i póki sił starczy, będzie o nie walczyć. I o siebie.

W myślach ułożyła listę bieżących spraw. Część już mogła odfajkować, część dopiero czekała na decyzje. Poza kwestiami dotyczącymi całego gospodarstwa wciąż pozostawała niezłatwiona rzecz, która ją męczyła. Magda nabrała pewności, że to właśnie przyczyna jej ciągłego niepokoju. Otóż od początku pobytu w Pieńkach jakoś nie znalazła czasu, żeby odwiedzić grób babci Feli. Myślała o tym często, ale na cmentarz było jej ciągle nie po drodze. Tak jakby podświadomie unikała tej wizyty. Jakby nie chciała do siebie dopuścić faktu, że babcia Felicja naprawdę nie żyje. Tymczasem zbliżało się Święto Zmarłych.

– Babciu, jutro posprzątam twój grób. Nie wypada, żebyś w święto spoczywała w zaniedbaniu – wyszeptała Magda w stronę jasnej plamy okna i wreszcie usnęła.

## Rozdział 10

Początek listopada upłynął tak szybko, że Magda wyhamowała i oprzytomniała nieco dopiero w Święto Niepodległości.

Tego ranka z zadowoleniem stwierdziła, że definitywnie przestały ją boleć zębra. Korzystając z niezłej pogody, osiodłała zatem równie zdrowego już Biesa i udała się na przejażdżkę do lasu. Mimo wolnego dnia chętnych na jazdy pojawiło się mniej, niż się spodziewano, więc skorzystała z tego, że potulne konisko stało beczynnym. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą telefon, sprawdzając wcześniej przezornie, czy bateria jest dostatecznie naładowana. Jej elegancki jeździecki strój niewiele ucierpiał wskutek upadku i wystarczyło porządnie go wyprać; granatowa pikowana kurteczka Burberry z charakterystyczną kratką na podpince dopełniła całości. Magda śmiała się, że jak nie miała nic, to jeździła w gumiakach i w dresie, tymczasem teraz bez żadnej opcji przejściowej od razu przeskoczyła na najwyższą europejską półkę, choć niestety po praniu z ekskluzywnych elastycznych bryczesów ze starości wylazły gumowe nitki. Ale w końcu jadę do lasu, a nie na paradę przed pałacem Buckingham, stwierdziła, rezygnując z towarzystwa Alicji, mimo że jeźdźcem wciąż nie była najlepszym. Chciała pobyć sama. Trochę się obawiała, jak pójdzie jej po dłuższej przerwie, więc przez chwilę pokłusowała po pustym manezu. Spróbowała też galopu, ale nie czuła się pewnie, więc uznała, że kłus na razie wystarczy. Bies nie potrzebował szpicruty, wystarczyło zwykłe cmoknięcie.

Magda poprawiła nierówne strzemiona, z wysiłkiem dociągnęła popręg i stępa skierowała się w stronę lasu. Jesień zaszalała z intensywnością barw, suche liście szeleściły pod kopytami. W chwilach, w których mijała położone wśród sosen kępy liściastych drzew, przystawała i pełna zachwytu uwieczniała boskie widoki na zdjęciach; wiedziała, że o tej porze roku wystarczy jeden wietrzny dzień i wszystkie konary staną się nagie. Pomna upadku, pilnowała się, by nie nastąpiła powtórka z rozrywki.

Przemawiając do konia i czule klepiąc go po szyi, ujechała ładnych paręnaście kilometrów. Żeby sprawdzić, gdzie się znalazła, uruchomiła w telefonie GPS. Okazało się, że zatoczyła wielkie koło, bo ku swemu zaskoczeniu wylądowała niedaleko cmentarza.

Zeskoczyła z siodła i przywiązała Biesa do ogrodzenia.

Podczas pierwszej wizyty w tym miejscu Zdzychu musiał jej pokazać, gdzie pochowano babcię Fełę, ale teraz bez trudu odnalazła skromną mogiłę. Na ile się dało, posprzątała nawiane przez wiatr liście i wyrzuciła przepalone skorupy zniczy, które pozostały po Zaduszkach, kiedy to odwiedziła grób babci po raz drugi. Za każdym razem czuła, że coś ciągnie ją do tego miejsca, zupełnie jakby nieboszczka chciała jej coś powiedzieć, choć twardo stąpająca po ziemi Magda wiedziała, że to irracjonalne. Zmówiła pacierz za babcią duszę, przeżegnała się i wróciła do Biesa.

Od kilku dni zaprzątała ją myśl, aby wymurować piwniczkę, dokonać ekshumacji i postawić normalny grobowiec. Tyle że skąd wziąć na to pieniądze? Robota na dachu mniejszej stajni miała się ku końcowi i nieubłaganie zbliżał się dzień zapłaty. I tak mam szczęście, że jeden z klientów zajmuje się konstrukcjami dachowymi i za symboliczne wynagrodzenie załatwił ekspertyzę i projekt nowego zadaszania, westchnęła w duchu. I jakimś cudem udało jej się umieścić chevroleta u mechanika, by ten ocenił, co wart jest ten zabytek, i spróbował go uruchomić. Choć to także wydatki, pomyślała ponuro. Wprawdzie zwrócą się z nawiązką, gdy sprzedam corvette, ale kasa potrzebna mi tu i teraz.

Na dniach Magdę czekał zakup auta do codziennego użytku, a wszystko, co wyglądało sensownie, kosztowało więcej niż wpływ od Tomka. W dodatku nabywając używany i nie najmłodszy samochód, należało zabezpieczyć pewien budżet na ewentualne naprawy, droższe niż dotychczas ubezpieczenie czy choćby zakup opon na zmianę. Mimo to perspektywa posiadania masywnej ciężarówko-terenówki kusila i Magda nie mogła doczekać się zamiany.

Jeszcze kilka dni, jeszcze tylko kilka dni, powtarzała sobie w duchu, kilka razy dziennie sprawdzając, czy aukcja wciąż jest aktualna. Wprawdzie wstępnie zarezerwowała wymarzony pojazd, ale przecież różnie bywa – mógł zgłosić się ktoś, kto zaproponował wyższą cenę, albo sprzedający się rozmyślił. A Magda nie chciała wpłacać zaliczki bez wcześniejszych oględzin. Co prawda właściciel bez problemu zgodził się na sprawdzenie auta w wybranej stacji obsługi, co dobrze świadczyło i o nim, i o samochodzie, ale

ona i tak wolała dla pewności wziąć ze sobą Krzyśka. W końcu co mechanik, to mechanik. W dodatku zaprzyjaźniony.

Mimo święta w domu wrzała robota. Zwierzęta nie miały wolnego, więc nawet Zofia krzątała się przy stajni. Również i w jej przypadku trzeba wreszcie coś postanowić, dumiała Magda, tyle że do stycznia nie ma szans, żeby przyjęto ją gdziekolwiek. Z nieznanых przyczyn we wszystkich instytucjach, które obdzwoniła, nie chciano podejmować decyzji przed końcem roku.

Magda obeszła dom dokoła i przeszła na pastwisko. Widok stadnie pasących się koni zawsze działał na nią kojąco. Również i teraz z przyjemnością patrzyła na te dostojne zwierzęta tak długo, aż żołądek przypomniiał jej, że nadchodzi pora obiadu. Przed wyjściem rozmroziła nieco nieszczęsnego gulaszu sprzed kilku tygodni, więc teraz wystarczyło tylko nastawić obrane wcześniej ziemniaki, wyjąć ze spiżarni słoik kiszonych ogórków i odgrzać mięso.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę domu.

– O nie, tylko nie to – jęknęła na widok kolejnej wyrwy w elewacji.

Dałaby sobie głowę uciąć, że jeszcze tydzień wcześniej jej nie było. Podeszła bliżej i zobaczyła leżący na ziemi wielki kawał tynku; ostatnio odpadał całymi płatami, co sprawiało, że dom wyglądał naprawdę okropnie.

Dobry nastrój prysnął bezpowrotnie. Magda do niedawna miała nadzieję, że remont elewacji będzie sprawą odległą, ale los jej nie sprzyjał. Chcąc mieć cieszącą się dobrą renomą stajnię, musiała zadbać również o otoczenie. A tu nie dość, że niektórzy właściciele hotelowych koni byli snobami, dla których liczyły się pozory, to jeszcze na dokładkę wszyscy jak jeden mąż regularnie upominali się o przeszkody na manezu. Spróchniałe resztki starych przeszkód dokonały żywota na strażackim szkoleniu, więc teraz na piachu leżało już tylko kilka okrągłych drewnianych drągów służących do ćwiczenia koordynacji długości końskich kroków w określonym tempie. Używany sprzęt był praktycznie nie do kupienia, więc Magda sprawdziła w internecie ceny nowych – pojedyncze kosztowały niewiele, ale ujeżdżalnia z jedną wyglądałaby głupio, stwierdziła. Ale przy okazji wyczytała o przeszkodach ze starych opon. Można byłoby zrobić z nich użytek, z powodzeniem zastąpić nimi profesjonalne cavaletti, zamyśliła się. Przy odpowiedniej ich liczbie i odrobinie inwencji dałoby się ciekawie zagospodarować niemal cały manez. Wystarczy na oponach ułożyć drewniane drągi i gotowe.

Zadowolona z rozwiązania od razu zatelefonowała do najbliższego wulkanizatora, a ten obiecał jej tyle opon, ile tylko będzie chciała. Pozostał problem transportu, ale ten mógł poczekać, aż w stadninie pojawi się upragniony samochód właścicielki. Pikap z otwartą przestrzenią bagażową to właśnie coś w sam raz dla mnie, podsumowała Magda i zadzwoniła jeszcze do leśniczego, którego wypytała o możliwość zakupu drewnianych drągów. Nie napotkała problemów. Miała wcześniej dać znać i po prostu odebrać drewno. Okrągłaków leżało w lesie do wyboru, do koloru.

Zadowolona, że tak dobrze jej idzie, zamówiła u dostawcy tę jedyną nową przeszkodę, imitację ceglanego muru. Po chwili wahania dorzuciła jeszcze do wirtualnego koszyka cztery stojaki do stacjonat. A po zakupach zaczęła się rozglądać za firmą budowlaną w okolicy. Wcześniej obeszła dom i drewnianym kołkiem ostukała zewnętrzne ściany; głuchy odgłos dochodził dosłownie z każdego miejsca. Dwukrotnie wetknęła kołek w nową szczelinę i podważyła lekko. Tak jak sądziła, tynk odpadał sporymi połaciami, ukazując stare cegły. Magda w myślach dokonała pobieżnych obliczeń i przerażona potencjalnym wydatkiem chwyciła się za głowę. Jakie to szczęście, że mam na stanie całkiem spory zapas paszy dla inwentarza, westchnęła w duchu, gratulując sobie zapobiegliwości. Na wszelki wypadek sprawdziła, co jest niezbędne dla przetrwania zimy, i doszła do wniosku, że poza słomą, która spłonęła w pożarze, na razie nie musi kupować niczego. Tak czy siak, dam sobie na wstrzymanie, aż zakończy się krycie dachu, postanowiła. Na miejsce w hotelu czekało już czterech nowych rezydentów, więc niedługo można było się spodziewać konkretnego, stałego zastrzyku gotówki.

Nad kartką papieru, obgryzając drewniany ołówek, kiwała się od kwadransa. Tak zastał ją Marek.

– Cześć pracy! Nie przeszkadzam? – przywitał się gromko i zmierzwił Magdzie włosy.

– A skąd, siadaj. Napijesz się czegoś gorącego?

– Pewnie. Mam dla ciebie dobre wieści.

– Rany, jakie? – Magda wylała swoją zimną herbatę do zlewu i zaparzyła nową dla obojga.

– Akurat byłem w leśniczówce, jak dzwoniłaś. Załatwiłem ci piękne drągi. Prościutkie i odpowiedniej długości. Brzozowych nie pozwoliłem okorować, bo ładnie wyglądają takie białe.

– Jesteś aniołem. – Magda uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- I jeszcze załatwiłem transport.
- Dzięki, ale nie chcę sprawiać kłopotu. Może już jutro będę miała własną półciężarówkę, to sobie poradzę. Nie wiem, jak ci się odwdzińczyć – dodała wzruszona.
- Mnie? Mnie nie musisz. Ale córka leśniczego potrzebuje kilku lekcji jazdy, bo rodzice obiecali jej konia na urodziny. Myślę, że się dogadacie. – Marek puścił oko, zatapiając zęby w sporym kawałku drożdżowej babki. – A jak kiedyś przygarniesz Ciacho na kilka dni, to też się nie pogniewam – wymamrotał z pełnymi ustami.
- Nie ma problemu – roześmiała się Magda. – Wiesz, nigdy nie przypuszczałam, że w dzisiejszych czasach można tyle rzeczy załatwić na zasadzie wymiany świadczeń. A to za jedzenie, a to za jazdy czy gościnę dla konia. Siwki i dorożkę przehandlowałam w zamian za stado strusi. Kury, kota i świnię dostałam w gratisie do Carmen. Czasem mi się wydaje, że pieniądze to przeżytek.
- W niektórych przypadkach rzeczywiście tak jest.
- Niestety, firmy od elewacji wolą brzęczącą monetę – westchnęła Magda.
- Dużo?
- Dużo. Sam widzisz, że dom wygląda jak kompletna ruina. Do wiosny odpadnie cały tynk.
- Musisz jeszcze pomyśleć o oknach. A to już gruba kasa. Współczuję.
- Jak to: o oknach? – Spojrzała zaskoczona.
- A jak sobie wyobrażasz tynkowanie ścian bez wcześniejszej wymiany okien? – odpowiedział pytaniem Marek, świadomy, że właśnie dobija i tak już zmartwioną dziewczynę.
- O matko, ty masz rację. Nie pomyślałam... – Magda podeszła do okna i przejechała palcem po obłazącej z lakieru starej ramie; szpara pomiędzy framugą a wypaczonym skrzydłem była tak duża, że widziało się przez nią trawę. Pozostałe prezentowały się nie lepiej. W grę wchodziła wyłącznie wymiana, na którą oczywiście nie było pieniędzy. – I co ja mam zrobić?
- Patrzyła na Marka błagalnie, jakby ten był lekiem na całe zło.
- Nie wiem. – Mężczyzna siorbnął głośno i wyczyścił talerzyk co do okruszka. – Ale ja bym zaczął od okien. Masz jeszcze trochę tej babki?
- Jasne. Proszę bardzo.
- Magda ocknęła się i dokroiła ciasta gościowi, choć właściwie pragnęła, żeby już sobie poszedł.

Zamyślony Marek niczego nie zauważył.

– Zaczekaj! – Poderwał się z krzesła i wybiegł na zewnątrz.

Zaintrygowana gospodyni w biegu złapała kurtkę i pobiegła w ślad za nim.

Na dworze właśnie się rozpadało. Deszcz ze śniegiem zacinał nieprzyjemnie. Marek obszedł budynek, gdzieś obmacując ściany.

– Marek, co się stało?

– Chyba znalazłem rozwiązanie. Chodźmy do domu.

– No, mówże już! – ponagliła gościa Magda.

– Jasne. Pod warunkiem, że dasz mi jeszcze tego ciasta i dorobisz herbaty, bo na sucho źle mi się myśli – zarechotał rozbawiony.

Pomysł rzeczywiście okazał się genialny. Magda w życiu by na niego nie wpadła, a tymczasem przez czysty przypadek dostała szansę, by załatwić sprawę niewielkim kosztem. Fakt faktem, rozwiązanie było tymczasowe, ale na tę chwilę nikt niczego lepszego by nie wymyślił. Pod odpadającym tynkiem znajdował się całkiem porządnie zachowany ceglany mur, więc Marek zaproponował całkowite obłupanie wierzchniej warstwy i oczyszczenie cegieł. Po tym prostym zabiegu ściany prezentowałyby się dużo lepiej niż obecnie, a Magda tym samym zyskałaby fundusze na wymianę okien. Oczywiście nie wszystkich jednocześnie, ale przy rozsądnym gospodarowaniu kasą do wiosny temat nieszczelnej stolarki powinien definitywnie się zakończyć.

– Na pierwszy rzut zrobisz te okna od frontu i drzwi wejściowe, i na co tam jeszcze znajdziesz pieniądze. A potem...

– Marek, ja cię normalnie ozłocę. – Magda kręciła głową z niedowierzaniem.

Pomysł tak się jej spodobał, że nabrała ochoty, by chwycić za młotek i od razu zabrać się do odkuwania tynku. Marek z trudem osadził ją na miejscu.

– Ależ ty jesteś w gorącej wodzie kąpana. Siadaj. Dziewczyno, spokojnie.

– Przecież siedzę.

– Poczekajmy na lepszą pogodę. Wtedy skrzyknemy się wszyscy i w jeden dzień zrobimy porządek z elewacją. Co ty na to? – zaproponował rozsądnie.

Choć nawiasem mówiąc, chodziło mu o coś zupełnie innego. Ponieważ nigdzie nie zauważył Alicji, mimo że miał nadzieję ją spotkać, pomyślał, że wspólna praca zagwarantuje mu dłuższe przebywanie w towarzystwie dziewczyny. Nieważne, czy z Krzyśkiem w pobliżu, czy bez.

– Oj, Marek, Marek. Co ja bym bez was wszystkich zrobiła? – westchnęła Magda cichutko, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zostanie sama.

Pod wieczór zaplanowała już wszystko. Przedstawiciel firmy od okien miał przyjechać nazajutrz i wykonać niezbędne pomiary, a później dokładną kalkulację. Ale nawet z jej pobieżnych obliczeń wynikało, że jest uratowana – mimo wymiany drzwi wejściowych i frontowych okien powinna jeszcze wygospodarować pewną sumę na nagrobek dla babci. Przyszedł jej do głowy pomysł, by zainteresować sprawą nagrobka również siostrę, ale po krótkiej rozmowie telefonicznej uznała, że nie ma co na nią liczyć. Sylwia jak zwykle nie widziała niczego poza czubkiem własnego nosa i nawet nie chciała słyszeć o fanaberii w postaci grobowca. Magda odpuściła natychmiast.

A ugryź się w zad, nieużyta babo!, pożyczyła Sylwii w duchu i przerwała połączenie.

Następnego dnia pogoda poprawiła się nieco, więc pomiary zakończono przed południem. Magda, zupełnie jak mała dziewczynka, niecierpliwie dreptała za fachowcem i patrzyła mu na ręce. Żeby nie przyjeżdżać do stadniny dwa razy, mężczyzna pomierzył okna w całym domu i jako że właśnie skończył się sezon na jego usługi, sam z siebie zaproponował spory rabat. Kwota obniżki w sam raz pokrywała koszt niewielkiego okienka od strony wjazdu, więc zadowolona Magda zamówiła o jedno więcej i wybrała z katalogu pasujące stylem do całości masywne drzwi wejściowe.

Miała wrażenie, że w jednej chwili wyrosły jej skrzydła. Opatrzność chyba czuwa nade mną, doszła do wniosku, bo jakimś cudem co rusz udaje mi się unikać opresji. Zupełnie jakby chronił mnie anioł stróż, w kłopotach stawiając na mojej drodze ludzi, którzy nie dość, że potrafią, to jeszcze i chcą mi pomóc.

Podczas obiadu mimowolnie poganiała Krzyśka spojrzeniem, żeby skończył i jak najszybciej pojechał z nią oglądać nowe auto. Nie mogła się doczekać, a musieli pokonać prawie czterdzieści kilometrów. Alicja, która odbębniła już swoje obowiązki, chciała się zabrać z nimi, ale źle się poczuła i postanowiła podrzemać.

– Śpij zatem dobrze i trzymaj za mnie kciuki. Bo jak nie kupimy dziś tego auta, to chyba się rozpłaczę. – Magda uściskała przyjaciółkę i wskoczyła na siedzenie pasażera. – No, chodź już, kochasiu. Pogruchacie sobie po powrocie – ponagliła Krzyśka.

Przez całą drogę trzymała kciuki zaciśnięte za powodzenie transakcji.

Samochód niemal w stu procentach odpowiadał opisowi, jeśli nie liczyć



wgniecenia na drzwiach i drobnych uszkodzeń na przednim i bocznym orurowaniu. Magda była rozczarowana.

– A myślisz, że po co są te rury? – uspokajał Krzysiek. – Dokładnie po to, żebyś nie musiała się cackać. To nic innego jak dodatkowe zderzaki. Takie wzmocnienie, jak na prawie pancerne auto przystało – roześmiał się i nacisnął klakson.

Magda aż podskoczyła na przeraźliwy dźwięk zamontowanej na dachu srebrnej trąbki.

– Masz rację, to samochód do roboty. Bierzemy? – ściszyła głos.

Do Pieniek wracali osobno.

Magda była w szampańskim humorze. Po drodze zadzwoniła do jadącego toyotą Krzyska, ale ten nie odebrał. Uznała, że nowy nabytek koniecznie trzeba oblać, więc wrzuciła kierunkowskaz i zatrzymała się przy monopolowym. Krzysiek przystanął tuż za nią.

– Coś się stało?

– Nic. Dzwoniłam. Chyba byłoby dobrze jakoś uczcić nowe autko – powiedziała, wskazując głową na sklep.

– Nie wzięłem komórki, ale z pomysłem się zgadzam.

Kupili kilka butelek wódki, sok pomarańczowy, colę, szampana i białe wino. Dorzucili też orzeszki, chipsy i jakieś inne przekąski, a w ostatniej chwili jeszcze kilka piw.

– Może weź jedno dla Zdzicha? – zaproponował Krzysiek i sięgnął po puszkę niebieskiego harnasia.

– Chyba żartujesz?

Magda nie zamierzała prowokować kolejnego alkoholowego ciągu, lecz Krzysiek obiecał, że przypilnuje stajennego osobiście.

– No dobra. Jak mamy świętować, to wszyscy. Ale masz na niego uważać – powiedziała, w żartach pogroziła mu palcem i uregulowała rachunek.

Umieściła butelki bezpiecznie za siedzeniem kierowcy i po niedługiej chwili toyota i fiesta równolegle zaparkowały pod domem.

W kuchni paliło się światło, ale przez okno nie było widać nikogo. Magda wpadła przez próg jak na skrzydłach, postawiła zakupy na stole i wykonała kilka telefonów. Zaprosiła Marka, a po namyśle zadzwoniła również do Adama i zaproponowała mu, by przyszedł na obławanie wraz z Wojtkiem. Po chwili w pomieszczeniu zaroilo się od roześmianych ludzi. Krążyły motoryzacyjne anegdoty, a gospodyni poczuła, że po raz pierwszy od dawna

jest zwyczajnie szczęśliwa.

Nagle za załomem ściany kątem oka dostrzegła ruch. Odruchowo spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła skuloną w starym fotelu babci Feli Alicję. Dziewczyna kurczowo przyciskała do piersi komórkę. Twarz miała zapuchniętą od płaczu.

– Ala? Co się stało? – zaniepokoiła się Magda. Wesoły rozgardiasz ucichł w jednej sekundzie. – Umarł ktoś? Krzysiek, chodź tu! Ala, co jest? Boże! Odezwij się!

Alicja spoglądała tępo przed siebie. Nie odezwała się słowem; wyglądało na to, że zupełnie nie kontaktuje ze światem. Magda poczuła wyraźną woń alkoholu, więc poprosiła Krzyska, żeby odprowadził dziewczynę do pokoju i ułożył w łóżku, co wcale nie było takie proste. Pijana kobieta stawiała niespodziewanie ostry opór. Skończyło się tym, że postawny narzeczony wziął ją na ręce i mimo nieparlamentarnych okrzyków protestu siłą zaniósł do sypialni.

– Przepraszam was. Nie wiem, co jej się stało. Ona prawie wcale nie pije. Nie wiem... – tłumaczyła Magda przyjaciółkę.

Od początku znajomości darzyła Alicję pełnym zaufaniem, więc teraz tym bardziej była zdziwiona jej postawą i stanem.

– Spokojnie. – Marek pogładził Magdę po ramieniu. – Wytrzeźwieje do rana. Nalać ci wina?

– Tak, poproszę. Matko, co za dzień...

Mimo dziwnego incydentu z Alą w roli głównej impreza na cześć nowego samochodu w końcu rozkręciła się na dobre. Zabawnym opowieściom nie było końca. Zawody w kategorii „motoryzacyjne dowcipy” bezspornie wygrała gospodyni swoją historyjką, jak to zniechęciła potencjalnego klienta do zakupu fiesty, tym samym wyprowadzając w pole byłego męża i teściową. Krzysiek, który nareszcie ułożył Alicję do snu, wrócił do towarzystwa i wraz z pozostałymi śmiał się do rozpuku. Po zakończeniu wieczornego obrządku przy koniach przyprowadził Zdzicha na obiecane piwo. Niedługo potem w kuchni zjawiała się również Zofia i podstawivszy dzierżącemu butelkę Wojtkowi szklankę pod nos, upomniała się o swoją porcję. Czuła się całkiem dobrze i każdemu relacjonowała postępy w ujeżdżaniu poczciwej Carmen. Ku zaskoczeniu obecnych okazało się, że krowa zdradza wrodzony talent hippiczny i tylko patrzeć, jak stanie się gwiazdą lokalnej agroturystyki.

Przeszczęśliwa Magda gościła pod swoim dachem przyjaciół, którzy

świętowali razem z nią. Gdyby nie ci wszyscy ludzie, pomyślała, nigdy nie dałabym sobie rady. A tymczasem mogła na nich liczyć. Wzruszona wzniosła toast za wszystkich ludzi życzliwych stadninie w Pieńkach.

– Wasze zdrowie, kochani! Dziękuję! – Uniosła kieliszek.

I wtedy do kuchni wparowała rozczochrana Alicja. Wyglądała okropnie. Włosy sterczały jej dęba, a zapuchnięte czerwone oczy wyglądały jak u królika.

– Ala? Co jest? – Magda podskoczyła, by podtrzymać przyjaciółkę.

Wojtek, który siedział najbliżej, szybko przejął ciężar.

Ala ledwie trzymała się na nogach.

– Dobrze się czujesz? Zrobię ci kawy, co? – zapytała Magda.

– Nie! Tak! Zrób. Gdzie ten gnój?

– Kto?

– Krzysiek – wyszeptała Alicja, ocierając łzy wierzchem dłoni.

– Wyszedł na papierosa. Zaraz wróci.

– Lepiej niech już nie wraca. Nie chcę go znać!

– Powiesz nam, co się stało? – Marek przykucnął obok.

– O, tak! – westchnęła umęczona dziewczyna i zdała relację z minionego popołudnia.

Po obiedzie miała zamiar się zdrzemnąć, ale ledwie zamknęła oczy, gdy pod poduszką rozdzwonił się telefon. Ponieważ piszczał jak wściekły, zaniepokojona Ala odebrała połączenie. Kobieta po drugiej stronie rzeczowo poprosiła o rozmowę z Krzysztofem. A gdy usłyszała, że jest chwilowo nieobecny, wpadła w szal i wylała na Bogu ducha winną Alicję wszystkie swoje żale.

– Że jak? – Magda nie wierzyła własnym uszom.

– Normalnie. Ten sukinsyn ma żonę, trójkę małych dzieci i ukrywa się u nas, żeby nie płacić alimentów! – Alicja pociągnęła nosem i rozplakała się w głoś.

– Jaki z niego, kurwa, gnój! – chlipnęła.

Parząc sobie gardło, przełknęła mocną kawę.

Wracający właśnie Krzysiek zamarł w pół kroku. W pomieszczeniu zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Magda poczuła się jak na planie przedstawienia, którego reżyser zgubił dalszą część scenariusza. Obecni oniemieli. Nawet Zofia i Zdzychu, zwykle niezainteresowani domowymi sprawami, teraz uważnie nadstawili ucha. Stajenny, zauważywszy, że nikt nie zwraca na niego uwagi, po cichutku nalał

sobie pod stołem pełen kufel wódki, po czym, jak gdyby nigdy nic, zaczął bawić się frędzlem wyszywanej serwety. Wojtek szturchnął brata, tym samym dając mu hasło do odwrotu, ale Adam siedział niewzruszony i nieśpiesznie sączył drinka. Próbował rozeznąć się w sytuacji, więc tylko sprzedał Wojtkowi pod stołem porozumiewawczego kopniaka. Marek ze wszystkich sił walczył ze sobą, żeby nie rzucić się z pięściami na Krzyśka, a Magda modliła się, żeby ten koszmar okazał się snem.

Nic z tego. Marek nie wytrzymał ciśnienia. Krzysiek nie zamierzał pozostać mu dłużny, Magda wrzasnęła, żądając opamiętania, ale na nic się to zdało, więc Zofia, dopiwszy do dna, bez słowa wkroczyła pomiędzy walczących. Pomimo podeszłego wieku jej lewy sierpowy wzbudził uznanie, a gdy powtórzyła cios, podwójnie zaskoczony Krzysiek chwycił się za nos i osunął na kolana. Marek, równie zdziwiony jak pozostali, w jednej chwili podskoczył do przeciwnika od tyłu i założył mu podwójnego nelsona. Publiczność tkwiła na swoich miejscach i jak zaczarowana obserwowała przebieg sytuacji. Adam chwycił Magdę pod ramię i nie zważając na jej opór, wyprowadził na zewnątrz.

– Idziesz spać do nas – zarządził. – Cholera wie, co im dziś strzeli do głowy.

– Nie ma mowy, to mój dom. Mnie nikt nie tknie. To raczej Krzysiek powinien się martwić, czy dożyje rana. Alicja naprawdę zaangażowała się w ten związek.

– Jesteś pewna? Magda, błagam cię, zmień zdanie!

– Dzięki, Adaś, za troskę, ale naprawdę nie trzeba, poradzę...

Nie dokończyła, bo z wnętrza dobiegło głośne trzaśnięcie drzwiami i krzyk Alicji. Krzysiek wybiegł na zewnątrz i jakby go ktoś gonił, pognął w stronę lasu.

Adam mocno objął przerażoną gospodynię. Gdy wrócili do kuchni, powitał ich następujący obrazek: Zdzichu osunął się pod stół i leżał nieprzytomny na podłodze, Marek usiłował uspokoić szlochającą Alę, a Zofia kurczowo trzymała się za serce i z trudem łapała powietrze.

– Gdzie jest mój brat? – zapytał Adam, ale Marek zignorował jego pytanie.

– Dzwon po karetkę! – wrzasnął. – Ona chyba ma zawał!

– O Boże! Zofia?!

Magda z trudem wyłuskała telefon z kieszeni i dygocząc, wybrała numer alarmowy. A później ponownie wyszła przed dom, aby zaczerpnąć powietrza.

– Tak. Szybko. Chyba zawał. Stadnina w Pieńkach. Tak. Pieńki pięćdziesiąt

jeden. Tak. Wjazd od strony hotelu. Dziękuję – wyrecytowała, rozłączyła się i jak szmaciana lalka opadła na betonowe schodki prowadzące na ganek.

– Magda? – Adam przysiadł obok. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Tak. Nie przeszkadzaj.

## Rozdział 11

Atmosfera, jaka zapanowała w stadninie, była po prostu nie do zniesienia. Magda ze wszystkich sił pragnęła być dzielna i jak dotychczas stawiać czoła przeciwnościom, ale pod naporem kłopotów wola walki uszła z niej jak powietrze z nieszczelnego dmuchanego materaca. Od feralnego wieczoru niewiele się zmieniło: Zofia leżała w szpitalu i wszystko wskazywało na to, że spędzi tam jeszcze trochę czasu, Krzysiek i Alicja chodzili naburmuszeni i udawali, że się nie widzą. Tylko Zdzychu jakimś cudem był trzeźwy, ale Magda i tak na każdym kroku pluła sobie w brodę, że go nie dopilnowała. Okazja jak zwykle czyniła złodzieja, a sytuacja wymknęła się spod kontroli i Krzysiek przy całej aferze zapomniał o swojej obietnicy. Następnego dnia Marek zaproponował wspólne skuwanie odłóżanego tynku, ale Magda wcale nie miała na to ochoty. Najchętniej pozbyłaby się ich wszystkich, tyle że było to nierealne. Nie miała wyjścia, sprawy zaszły za daleko. Nie mogła sama jak palec prowadzić domu, stadniny i jeszcze księgowości Nestora.

Właśnie skończyła z fakturami i postanowiła odetchnąć u sąsiadów.

Dokumentację dotyczącą dotacji z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego zgromadziła już dawno i powinna na dniach złożyć wnioski. Powinna również dokończyć biznesplan, ale w ostatnim czasie była tak rozbita, że na niczym nie potrafiła się skupić.

W hotelu zastała zamknięte biuro. Adama znalazła w restauracji. Siedział nad wielkim talerzem liści i chrupał ze smakiem.

- Co to za zielsko? – zapytała zaciekawiona, podając mu dokumenty.
- Nie wiesz? Liście jarmużu, prosto z piekarnika. Wystarczy położyć na blasze, lekko oprószyć przyprawami, polać odrobiną oleju, na chwilę do pieca i gotowe. Spróbuj – zachęcił i podsunął Magdzie półmisek pod nos.
- Pierwsze słyszę. – Spojrzała podejrzliwie na lekko przybrązowiony strzępiasty kawałek liścia. Nie wyglądał jakoś nadzwyczaj apetycznie, ale w smaku okazał się całkiem, całkiem.

– I jak? – zainteresował się Adam.

– Niezłe – mruknęła z uznaniem i sięgnęła po kolejny.

– To moje dietetyczne chipsy. – Adam odsłonił w uśmiechu równe zęby.

Minęło już trochę czasu, lecz Magda wciąż nie przyzwyczała się do jego nowych uszu i z dnia na dzień szczuplejszej sylwetki. Jej sąsiad wziął sobie do serca wszystko, co związane z kondycją fizyczną i odchudzaniem. Był bliski popadnięcia w dietetyczną skrajność.

– Długo jeszcze zamierzasz się tak katować? – pociągnęła temat, choć szczerze mówiąc, niewiele ją interesował.

Cokolwiek, byle nie kłopoty stadniny, pomyślała, wysłuchując najnowszych dietetycznych teorii. Zachęcony sukcesami Adam pomału zaczynał zdradzać oznaki fanatyzmu.

– Dopóki nie osiągnę celu, a do tego jeszcze daleko.

Zrobił tajemniczą minę i zaproponował latte.

Magda, która już dawno nie piła niczego lepszego od rozpuszczalnej neski, teraz z lubością zanurzyła usta w aksamitnej piance.

– Jak tam Zofia? – zainteresował się jej rozmówca.

– Marnie. Lekarze mówią, że to rozległy zawał. O konkretnych rokowaniach nie ma co gadać, bo na razie nic nie wiadomo, poza tym, że Zofia do pełni zdrowia już nie powróci. To pewne.

– Współczuję. To zawsze kłopot.

– Zwłaszcza gdy nie ma na kogo liczyć.

– Kurczę... Tamci wciąż się na siebie boczą?

– Aha. I co gorsza nic nie wskazuje na to, że cokolwiek się zmieni. Jeśli postanowią się rozstać, to ja kompletnie sobie tego nie wyobrażam. Muszę na dniach zatrudnić nowego stajennego. A najlepiej dwóch.

– Chcesz się pozbyć Krzyśka?

– A mam inne wyjście? – zdenerwowała się Magda. – Atmosfera w stadninie jest jak w rodzinnym grobowcu, a kolejna scysja dosłownie wisi w powietrzu. Alicja z nerwów nic nie je, olewa robotę i chlipie po kątach, a Krzysiek zgrywa obrażoną królową. Tylko patrzeć, jak mi się tu jeszcze zwali na kark jakaś baba z dziećmi i zostawi je tatusiowi na wychowanie.

– Nie przesadzaj. Może nie będzie tak źle? – spróbował pocieszenia Adam, ale z marnym skutkiem.

– Zakładam najczarniejszy scenariusz. Do tego muszę w końcu zarejestrować działalność gospodarczą, bo dłużej nie mogę prowadzić stadniny na kocią

łapę. Dojdzie mi dodatkowa praca, za to utrzymanie części zwierząt będę mogła wrzucić w koszty.

– Co ty powiesz? Dałoby się zaewidencjonować na przykład psa?

– No pewnie. Jako środek trwały. To zwierzę pracujące. Wprawdzie nie bardzo wiem, jak nalicza się amortyzację od kozy czy konia, ale muszę w końcu się przez to przegryźć.

– Dasz radę. Skoro prowadzisz moją księgowość, poprowadzisz i własną.

– Wątpię. To wyższa szkoła jazdy. Ktoś będzie musiał mi pomóc, przynajmniej na początku. Widziałeś kiedyś w ewidencji środków trwałych kota? – roześmiała się Magda.

Adam zakrztusił się wysuszonym jarmuzem.

– No właśnie. Mam w magazynie paszę dla całej menażerii, a myszy ostatnio się wycwaniły. Omijają pułapki szerokim łukiem.

– No bo niby po co mają jeść to, co w pułapce, skoro mają pod nosem całą górę żarcia, w której mogą się zakopać po uszy?

– Otóż to.

Spotkanie z Adamem jak zawsze poprawiło dziewczynie humor. Wcale nie miała ochoty wychodzić, ale w recepcji jeden z hotelowych gości wszczął awanturę o jakiś drobiazg i zażądał osobistej interwencji właściciela. Poza tym czas naglił. Magda dokończyła swoją kawę i niechętnie udała się w kierunku domu.

Skąd ja mam wytrzasnąć nowego stajennego?, dumiała. Dzień wcześniej zamieściła ogłoszenie w internecie, ale odzew był żaden. No i nic dziwnego – robota nie zaliczała się do lekkich, a zimą chętnych do pracy było jak na lekarstwo.

Dopadła ją refleksja, że dawno już nie odwiedzała Pieniek, więc minęła drzwi wejściowe, wsiadła do samochodu i wyjechała za bramę. Omijała miejscowość od miesięcy w obawie przed spotkaniem Staszka albo, co gorsza, jego żony. Taktyka okazała się skuteczna, od pamiętnego zajścia bowiem zaledwie raz minęła na drodze jego auto, a i to bez stuprocentowej pewności, czy był to faktycznie wóz weterynarza. Wir codziennych obowiązków i zdarzeń, a także ostatnie kłopoty skutecznie przytępiły w jej głowie męczące wspomnienia. Coraz częściej trafiały się dni, kiedy udawało jej się ani razu nie pomyśleć o Staszku, a gdy już o nim myślała, obraz był zamazany i niewyraźny. Nie miała czasu na sentymenty. Nie było wyjścia – musiała chwycić życie za rogi, jak byka na rodeo. Nie mogła pozwolić cisnąć



się w piach, zatem musiała pokazać krnąbrnemu bydlęciu, kto tu rządzi.

Po kilku minutach zaparkowała przed sklepem i pochwyciła zaciekawione spojrzenia stojących przed wejściem mężczyzn. Mimo chłodu i niepogody niezrażeni popijali piwko schowane w papierowych torebkach, nieporadnie udając trzeźwych. Magdzie przemknęła przez głowę myśl o kandydatach na stajennych, ale gdy dotarło do niej, że miałyby na karku kolejnych paru Zdzichów, natychmiast dała sobie spokój.

– A co to, szefowa? Nową furę se szefowa zanabyła? Można zobaczyć? Mariusz jestem – powiedział najbardziej trzeźwy, podchodząc.

Reszta odkleiła się od ściany i jak cienie ruszyła za prowadzonym. Z minami znawców okrążyli toyotę i mądrze kiwając głowami, komentowali fachowo stan pojazdu.

– Jasne, że można. A nie wiecie, czy ktoś we wsi nie jest chętny do pracy? Stajennego mi potrzeba. – Mimo wątpliwości trzeba było skorzystać z okazji. – Pewna robota, bo w stadninie przybyło koni. A będzie jeszcze więcej.

– Się poduma, szefowa. – Mariusz udawał, że myśli. Splunął i z namysłem poskrobał się po głowie. – Ale teraz, jak ruszyła budowa tej nowej fabryki, to łatwo o łepków do roboty nie będzie.

Faktycznie, w natłoku zdarzeń Magdzie wcześniej zupełnie umknęła przekazana mimochodem informacja, że nieopodal szykuje się jakaś poważna inwestycja. Międzynarodowa korporacja planowała budowę fabryki podzespołów elektronicznych i jak się okazało, od niedawna na pniu zatrudniano wszystkich chętnych.

Mariusz zniechęca wyciągnął telefon i zrobił sobie selfie z toyotą w tle.

Magda wcisnęła brodę w ciepły szal, żeby ukryć śmiech, i wbiegła do sklepu.

Za kasą siedziała zupełnie nowa dziewczyna, której Magda nie kojarzyła kompletnie, ale i ją poinformowała, że potrzebuje pracownika. Kupiła kilka niezbędnych rzeczy i wróciła do samochodu.

Podpici mężczyźni właśnie zażarcie kłócili się o wyższość silników Diesla nad benzynowymi i odwrotnie. Magda pomachała im na pożegnanie z nadzieją, że wiejska poczta pantoflowa zadziała; w razie niepowodzenia pozostawali zawsze proboszcz i aptekarz, pan Edward. Zdawała sobie sprawę, że znalezienie chętnego nie będzie łatwe – nie gwarantowała przecież wysokich zarobków, więc musiała liczyć na miejscowych. Najlepiej na kogoś, kto nie będzie musiał wydawać pieniędzy na dojazdy i zechce pobrudzić sobie ręce

u obcej kobiety z miasta.

Po drodze wstąpiła do wulkanizatora i uwolniła go od dwudziestu starych opon.

Zadowolona, pogwizdując wesoło, zajęła pod maneż. Zawołała Zdzicha i Krzyśka, ale żadnego nie było w pobliżu, więc wskoczyła na pakę i sturlała opony na piach. Trzej właściciele hotelowych koni od razu zaoferowali pomoc i nie oglądając się na nikogo, ustawili prowizoryczne przeszkody. Wykorzystali tymczasowo stare drągi i przystąpili do treningu. Magda planowała obrócić do wulkanizatora raz jeszcze, ale zgłodniała, więc postanowiła coś zjeść.

Weszła do ciepłej kuchni, gdzie przy stole zastała zapłakaną Alicję z zawiniątkiem ze ścierki przy twarzy.

– Co się znowu stało?

– Krzysiek... – Ala załkała spazmatycznie.

– Rany boskie, co on ci zrobił?!

Magda podbiegła i odsunęła ścierkę.

Z rozciętej wargi sączyła się strużka krwi, a w okolicy oka pysznił się krwawo-fioletowy siniec.

– Spadłaś z konia? – Magda miała nadzieję, że to nie to, co myśli, ale Alicja tylko pokręciła głową i zanosła się głośnym płaczem.

Kompletnie nie zważała na fakt, że lód w szmatce się stopił, a ona trzyma łokieć utopiony w kałuży wody.

– O nie! – wrzasnęła Magda. – Gdzie on jest?! Przecież ja go zabiję!

– Nie ma go.

– A gdzie go wymiotło? Cholera, przestań ryczeć i odpowiadaj na pytania jak człowiek! – nie wytrzymała i huknęła na przyjaciółkę.

– Odszedł. – Ala zebrała się w sobie. – Pokłóciliśmy się. Chciałam, żeby rozwiązał sprawę z żoną. Chciałam z nim porozmawiać, ale się nie udało.

– Ale dlaczego cię uderzył? Przecież to czynna napaść!

– Nie – chlipnęła Ala i głośno wysmarkała nos w mokrą ścierkę. – Najpierw ja mu dołożyłam. I drugi raz rozwaliłam mu nos, po tym jak rozwaliła mu Zofia. Oddał mi, spakował swoje bety i wyjechał.

– Matko jedyna, ja nie mogę... – Zrezygnowana Magda załamała rękę. – Przecież to jakiś dom wariatów. Carmen wydojona?

– Jeszcze nie.

– No to przestań się mazać i marsz po wiaderko! Zapomniałaś, że Zofii nie

ma?! – krzyknęła.

Trzeba tę bidułkę jakoś zmotywować, pomyślała. Bez jej pomocy nie dam sobie rady.

Wypiła kubek kompotu i wypruła do samochodu, jakby ją kto gonił. Jechała do Pieniek, modląc się, żeby mężczyźni spod sklepu nie zdążyli jeszcze upić się w sztok. Zastała ich w tym samym miejscu, co poprzednio.

Mariusz, mimo upływu czasu wciąż najtrzeźwiejszy, rozpoznał Magdę natychmiast. A ona bez owijania w bawełnę obiecała mu za załatwienie stajennego skrzynkę piwa i na potwierdzenie swoich słów zakupiła po jednym dla każdego z jego kumpli. Inicjatywa spotkała się z niekłamaną aprobatą; mężczyźni z pomrukiem zadowolenia przyjęli gratisowy poczęstunek, a Mariusz kazał do siebie mówić per Mario. Facet miał około czterdziestki i takie zdrobnienie brzmiało trochę głupio, ale Magda machnęła ręką na ten kaprys. Chwilowo nie miała innego wyjścia, jak zbratać się z miejscowymi pijaczkami.

Przed odjazdem kupiła do domu czteropak tyskiego, pozostawiając ukontentowanych lumpów w zachwycie. Jak na razie pozostawało jej tylko wierzyć w cudowną sprawczą moc skrzynki zielonego żubra.

Nie było na co czekać. Szybko przebrała się w robocze ciuchy, nasadziła na uszy wełnianą czapkę i w przelocie capnęła rękawiczki. Zrzuciła z auta kolejną dostawę opon i pobiegła do stajni. Pozbawiony pomocy Zdzichu potrzebował wsparcia, bo roboty miał tyle, że nie wiedział, w co włożyć ręce, więc zabrała się do karmienia zwierząt. Dzięki Bogu stajenny miał pojęcie, ile i czego któremu dać, bo Magda już dawno temu pogubiła się w porcjach. Obiecała sobie teraz, że następnego dnia wszystko dokładnie zanotuje i zapamięta. Oczywiście jeśli znajdzie na to czas, bo od rana rusza czyszczenie elewacji, westchnęła w duchu.

Teraz, kiedy Krzysiek dał nogę, odpadła kolejna para pracowitych rąk – po chorej Zofii, której pomoc była nieoceniona. Nowy dach był już gotowy, ekipie pozostał tylko montaż rynien. Około południa powinni przyjechać monterzy z nowymi drzwiami do wymiany, a klienci, zupełnie jak małe dzieci, bez przerwy upominali się o więcej drągów na przeszkody.

Nie było wyjścia – Magda skoro świt wskoczyła w samochód i pognęła do leśniczówki. Przy okazji poznała żonę leśniczego, z którą ustaliła kwestię lekcji jazdy konnej dla córki. W międzyczasie Marek zorganizował załadunek drewna i zadowolony z siebie zameldował wykonanie zadania.

- Jedziemy? – Wskazał brodą na toyotę.
- Tak. A co to za jedni? – zapytała Magda półgłosem na widok stojących przy samochodzie trzech rosnących mężczyzn.
- Jadą z nami. Pomoc się przyda, prawda? – roześmiał się Marek.
- Ale wiesz, że ja nie mam kasy na pomocników?
- Spokojnie, kobieto, spokojnie – powiedział uspokajająco. – To miejscowi drwale. Wczoraj nakryłem ich na nielegalnej wycince, więc nie mają wyjścia i muszą robić, co im każę.
- Jesteś niemożliwy!
- Albo pańszczyzna w stadninie, albo policja. Mają wybór. – Wzruszył ramionami. – Pasuje?
- Coś podobnego... No pewnie, że pasuje.
- Na ich miejscu też zdecydowanie wolałbym pomachać młotkiem i wygarnąć gnój ze stajni. Chłopaki sporo mają za uszami, a i na ułomków nie wyglądają. Jadą z nami i już.
- Chyba właśnie uratowałeś mi życie – powiedziała Magda. – Krzysiek wyniósł się wczoraj i jestem w kropce. Zostałam bez ludzi.
- Marka zatkało.
- Dobrze słyszysz – dodała. – Ale raczej nie rób sobie nadziei. Alicja jest teraz w strasznym stanie i trzeba dać jej trochę czasu.
- Co za idiota!
- No właśnie. Patrz tylko, jaki głupi. Gdyby rozegrał to ociupinę inaczej, miałby szansę sensownie ułożyć sobie życie po odsiadce.
- To on siedział? – zdziwił się Marek.
- A nie wiedziałaś?
- Nie. Jak by to powiedzieć, wy obie przyprawiłyście mu aureolę świętego.
- Nie da się ukryć. To było tak piękne, że aż nieprawdopodobne. Krzysiek był lekiem na całe zło, wszystko potrafił, na wszystkim się znał i aż palił się do roboty. No i miał cudowny wpływ na Alę. Ech, niech to szlag. Prędzej czy później coś musiało się spieprzyć.
- Otóż to.
- Na odchodnym jeszcze ją pobił, więc nie padnij trupem na jej widok.
- Co za sukinsyn... – Marek zacisnął pięści.
- Spokojnie. Wcześniej to ona rozkwaślała mu nos. – Magda parsknęła śmiechem.
- Dzielna dziewczyna.

– W małym ciele wielki duch. A Krzyškowi pewnie chętnie sam byś dołożył, co?

– No a jak? Jasne. Przerobiłbym mu gębę na marmoladę.

Marek aż zatarł w duchu ręce. Oto jego największy konkurent sam wyeliminował się z gry, a on w najbliższych miesiącach miał bywać w okolicy częściej niż zwykle. Od jakiegoś czasu bezskutecznie tropił grupę kłusowników i kilka dni temu otrzymał na ten cel dodatkowe fundusze; ponieważ nie chciał dłużej siedzieć leśniczemu na głowie, wynajął od niego na pół roku domek gościnny, do którego w wolnej chwili planował się wprowadzić. Aktualna afera z Krzyśkiem była niczym woda na jego młyn.

Okoliczności nie mogły ułożyć się korzystniej, pomyślał.

## Rozdział 12

Około południa frontowa ściana była gotowa.

Magda miała wrażenie, że zaraz ogłuchnie od wszechobecnego stukotu młotków. Zgodnie z prognozami, początek grudnia okazał się zaskakująco ciepły, więc robota szła jak z płatka. Drwale najwyraźniej pragnęli odpokutować winy, bo w ekspresowym tempie uporali się z pracą w stajni, a później ochoczo chwycili za narzędzia do dewastacji tynku. Zmachany Zdzychu nie nadążał z wywożeniem gruzu na taczkach.

Magda zagoniła Alicję do gotowania, a sama poszła sprawdzić, jak idą prace wykończeniowe przy rynnach.

Przerobiona na stajnię stara siodlarnia prezentowała się z nowym dachem o niebo lepiej niż poprzednio. Na stryszku chwilowo bezdomnym kurom szykowano luksusowy kurnik, więc część poddasza ocieplono porządnie; pozostała część na razie miała pozostać bez izolacji. Magda jeszcze nie wiedziała, jak docelowo zagospodaruje pozostałe zabudowania. Budynki od strony lasu również czekały na swoją kolej – mniejszy został już wcześniej wysprzątnięty przez Alę i Krzyśka, i po lekkim remoncie mógł śmiało nadawać się do zamieszkania, a stojąca obok spora stodoła jak dotąd spełniała wyłącznie funkcję graciarni z nie wiadomo czym, ale na generalne porządki musiała zaczekać do wiosny. Magda planowała jej część zaadaptować na garaż dla ciągnika i innych pojazdów, a resztę powierzchni wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem, czyli na słomę i siano, które obecnie zajmowały całkiem sporo miejsca w głównej stajni. Tym sposobem mogłaby wygospodarować kilka dodatkowych boksów dla hotelowych koni, a w ślad za tym uzyskać kolejne wpłaty na utrzymanie nowych rezydentów.

– Jak jeszcze kiedyś złapiesz w lesie jakichś złoczyńców na gorącym uczynku, to od razu, w ramach pokuty, przyślij ich do mnie – powiedziała do Marka ze śmiechem.

– Masz jeszcze coś do roboty?

- No jasne. Choćby stodołę do posprzątania.
- To niech robią od razu. Po co czekać?
- Żartujesz?
- Nie.
- No to nieźle musieli narozrabiać... Bo ja żartowałam.
- No to co?
- Nie chcę, żeby się później na mnie mścili. Wiesz, jak jest.
- Mowy nie ma. Postawię im ultimatum. Niech no tylko komuś ze stadniny spadnie włos z głowy albo strusiovi pióro z ogona. Wycofam się z dżentelmeńskiej umowy i zgłoszę sprawę do prokuratury.
- Mówisz poważnie?

Marek nie zdążył odpowiedzieć, bo pod dom właśnie zajechali monterzy od drzwi i zaczęli rozładunek. Usiłowali przekrzyczeć huk młotków i wiertarek.

Tymczasem Alicja naszykowała fasolkę po bretońsku w ilości jak dla szwadronu wojska i zawołała wszystkich na obiad. Dla kamuflażu zaczesła włosy na twarz, ale nieudolna maskarada na niewiele się zdała. Wyglądała okropnie. Magda co jakiś czas czujnie zerkała na Marka, ale jej obawy okazały się płonne; mężczyzna dzielnie trzymał fason. Udawał, że niczego nie zauważa, i robił swoje.

Było jeszcze całkiem jasno, gdy pod domem pojawił się kolejny samochód. Magda, przekonana, że po należność przyjechał szef ekipy od dachów, przełknęła ostatnią fasolkę i wyszła na zewnątrz. Czekala ją niespodzianka – zamiast majstra, którego ludzie właśnie kończyli obiad i zbierali się do odjazdu, zobaczyła byłego męża w towarzystwie ciężarnej białogłowy, której twarz zapamiętała aż nazbyt dobrze. Przywitała się sztywno i w przyпіływie nagłej złośliwości chciała zapytać, czy jej własny szlafrok dobrze służy nowej pani domu. W ostatniej chwili ugryzła się w język, bo z auta wytoczyła się Leontyna we własnej osobie.

Na widok byłej teściowej Magdzie odjęło mowę.

Jeszcze jej mi tutaj brakowało, pomyślała, ale chcąc nie chcąc, zaprosiła przybyłych do środka. Beatka, narzeczona Tomka, wparowała do kuchni jak do siebie; rozgadana i uśmiechnięta zachowywała się, jakby znała Magdę od lat. Leontyna bez zaproszenia rozsiadła się przy stole. Alicja, nie za bardzo pamiętając, z kim ma do czynienia, od razu postawiła na blacie ciasto. Wprawdzie przyjaciółka próbowała powstrzymać ją znaczącym spojrzeniem,

lecz tym razem Ala okazała się mało domyślna.

– Zaraz dam ci dokumenty. Samochód jest posprzątny. Tylko wsiąść i jechać. – Magda wręczyła byłemu mężowi zapasowe kluczyki, gdy na chwilę wyszli na zewnątrz.

– Widzę, że dobrze sobie radzisz. – Tomek machnął ręką w kierunku nowego dachu. – Dużo się tutaj zmieniło.

– Dziękuję. Robię, co mogę. Widzisz, jakie dziwne to życie?

Tomek nie odpowiedział. Ze skwaszoną miną podszedł do samochodu. Obszedł fiestę dookoła i wskazał palcem na błotnik.

– Tu jest otarcie. Wcześniej go nie było – oznajmił z nieukrywaną pretensją.

– Ale teraz jest.

Magda pomału traciła cierpliwość. Zawinęła się na pięcie i zostawiła Tomka samemu sobie.

W kuchni Beata trąkotała jak najęta, ze szczegółami opisując przebieg ciąży, a Leontyna co rusz zerknęła za okno. Sprawiała wrażenie, że zbiera się w sobie, by coś powiedzieć, ale ciężko jej przebić się przez słowotok narzeczonej syna. Tymczasem drwale właśnie skończyli przerwę na papierosa i chwycili za młotki. Na tyłach domu rozległo się ogłuszające stukanie.

– Przegląd rejestracyjny jest nieważny.

Do kuchni wszedł Tomek i podsunął byłej żonie pod nos dokumenty.

– To go sobie zrób. W Pieńkach jest stacja kontroli pojazdów. – Magda wzruszyła ramionami.

– Ale to kolejne sto złotych!

– Na litość boską! A może mam ci jeszcze zatankować do pełna i zrobić remont silnika?

– No właśnie, skoro już jesteśmy przy temacie pieniędzy – wtrąciła Leontyna. – My właśnie w tej sprawie.

– Do mnie? Można jaśniej?

– Sama wiesz, jak nam ciężko, a szczególnie teraz. Apteka poszła do likwidacji i Tomek trzy dni temu stracił pracę, więc nie wiemy, jak to będzie, kiedy niedługo urodzi się dziecko. Tomek w zamian za samochód oddał ci ostatnie pieniądze, a tobie przecież tak dobrze się powodzi.

– Nie rozumiem. – Magda miała nadzieję, że śni. – Wy chcecie ode mnie pieniędzy na wasze dziecko? Czy ja dobrze słyszę?

– Chcemy pożyczki. Tych pieniędzy, które dał ci Tomek.

– Chyba zwariowaliście. Po pierwsze ja tych pieniędzy już nie mam, bo



kupiłam samochód, a po drugie skąd pomysł, że mam i że cokolwiek wam pożyczę?

– Ja tam nie chcę nic mówić, ale rozmawiałam z prawnikiem o spadku, który dostałaś w trakcie trwania małżeństwa – oznajmiła Leontyna. – Nie mieliście rozdzielności majątkowej, więc...

– Ty na serio zwariowałaś. – Magda, zszokowana absurdalną sytuacją, nawet się nie zdenerwowała. – I chyba zapomniałaś, że jesteśmy po rozwodzie. Nic nikomu nie jestem winna. Czy to jasne? Cokolwiek tu zrobiłam i cokolwiek osiągnęłam, dokonałam tego bez waszej pomocy. A cokolwiek w moim życiu straciłam, to straciłam właśnie przez was. Lepiej będzie, jak już sobie pójdziecie. Jak widzicie, mamy dziś mnóstwo pracy.

– Ależ ty jesteś niewdzięczna! – perorowała Leontyna, jakby nie słysząc. Albo jakby nie dotarł do niej sens słów. – Już zapomniałaś, że przez tyle lat żyłaś na nasz koszt? Że mieszkałaś za darmo w moim mieszkaniu? Że jeździłaś samochodem, który kupił ci mój syn? Gdybyś urodziła mu dziecko, to...

– Dość! – Magda nie wytrzymała. – Wynoście się, ale już! – Palcem wskazała na drzwi.

– Ależ Madziu – zatchnęła się Leontyna.

– Wynocha! – krzyknęła Magda i nacisnęła na klamkę. – I to natychmiast!

Wściekła zatrzasnęła drzwi do kuchni, żeby z sieni nie wiało chłodem; te wejściowe właśnie zostały wyjęte. A potem powoli wypuściła powietrze z płuc i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Ala, powiedz mi, że śniłam – poprosiła.

– Ale jaja – mruknęła Alicja w odpowiedzi. – Czy oni są jacyś nienormalni? W życiu nie widziałam takiej akcji.

– To właśnie cała moja była teściowa. Mówię ci, ta baba to zaraza. A ta głupia Beatka nawet jeszcze nie wie, w co wdepnęła. Leontyna pewnie już wybrała dziecku imię. I kolor wózka.

– Jak ty to wytrzymywałaś przez tyle lat? – Alicja spojrzała wzrokiem pełnym podziwu.

– No właśnie nie wytrzymałam. Chociaż na początku było okej – przyznała szczerze. – Mieszkaliśmy osobno. Ale wiesz, Tomek to jedynak maminsynek. Bez rady mamusi sam sobie nawet majtek nie kupi. A ona, dopóki pracowała i miała zajęcie, za bardzo się nie wtrącała. A potem narobiła długów, straciła mieszkanie i zvaliła się nam na głowę. Oboje pracowaliśmy, więc było mi na rękę, że mam ugotowane i posprzątane. Po prostu przegapiłam moment, kiedy

to wszystko wymknęło się spod kontroli. A jeszcze później nakryłam Tomka z Beatką. Resztę znasz.

– Ale jazda. Popatrz, nawet nie minął rok, a tyle się stało. Kurczę, strach pomyśleć, co by było ze mną, gdybyś tu nie trafiła. – Alicja zerknęła na Magdę i uśmiechnęła się smutno.

Zanim nieproszeni goście opuścili stadninę, minął kwadrans z okładem, bo Beatka za nic nie potrafiła ustawić fotela i pomimo ciężkiego brzucha co chwila wsiadała i wysiadała. Magda nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie sobie pojedą. Miała nadzieję, że to koniec kłopotów i więcej byłej rodziny nie będzie musiała oglądać. Dla pewności sprawdziła dokumenty i dwa razy upewniła się, że rozwód się uprawomocnił. Tamci mogli co najwyżej pocałować się w nos.

Dzień pełen wrażeń powoli zmierzał ku końcowi. Zmęczeni mężczyźni z dumą podziwiali swoje dzieło, choć po ciemku niewiele było widać. Na następny dzień zostały im już tylko małe poprawki na ścianach i porządek w starej stodole. Nowe drzwi wejściowe ucieszyły wszystkich domowników, choć odkąd sięgnąć pamięcią nieznośne skrzypienie tych poprzednich z powodzeniem zastępowało dzwonek.

Magda wyszła na zewnątrz, by sprawdzić, czy Marek i jego zakładnicy są gotowi do odjazdu.

– Dziękuję ci z całego serca – powiedziała. – Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Jeśli pozwolisz, pojedę teraz twoim samochodem, a rano nim przyjedziemy. Po co masz wozić się w kółko? – ulitował się Marek, bo gospodyni stadniny wyglądała na kompletnie wykończoną.

Magda z wdzięcznością przystała na propozycję i zagapiła się na znikające w oddali czerwone światła toyoty. Wieczór był bezchmurny, z lekkim mroźnym wiatrem. Lśniący w świetle księżycy nowiutka blachodachówka wyraźnie odcinała się od czarnej ściany lasu.

Mocniej zacisnęła kurtkę pod szyją i oparła się o ścianę. Otarła łzy. Sama nie wiedziała, dlaczego płacze. Przecież ostatnio była taka silna, miała tylu dobrych ludzi wokół siebie. Mimo przeciwności wszystko jakoś szło do przodu. Wizyta Leontyny i Tomka tylko utwierdziła ją w tym, że miała mnóstwo szczęścia, bo wyszła z chorego układu dosłownie w ostatniej chwili. Właściwie to powinnam podziękować Beatce, pomyślała. Ech, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, westchnęła w duchu i pomaszerowała do

spizarni po piwo.

– Chodź, Ala – powiedziała, wchodząc do kuchni. – Mamy dziś kilka rzeczy do obłania.

– Ale nikogo nie zapraszamy? – upewniła się dziewczyna z wyczuwalną trwogą w głosie.

– Nie, nikogo – roześmiała się Magda, stawiając na stole dwie szklanki z bursztynowym płynem. – Twaróg już ogrzany? – Zerknęła na garnek i wyjęła z szuflady czystą pieluchę.

Ostatnio domowe mleczne przetwory stały się jej hobby. Wprawdzie denerwowało ją, że ze stosunkowo dużej ilości mleka wychodzi tak mało sera, ale przecież Carmen nie próżnowała i mleka było pod dostatkiem. Wspaniała domowa śmietana nie miała sobie równych, a własnoręcznie ubite masło było czymś tak pysznym, że dziewczyny aż podpytały Zofię, jak robi się tradycyjny wiejski chleb. Za pierwszym razem okrągły bochen wyszedł im tak wielki, że ledwie zmieścił się w piekarniku; dopiero przy drugiej próbie udało się dopracować proporcje. Wszystkie te przysmaki miały w przyszłości uzupełnić agroturystyczną ofertę i uatrakcyjnić pobyty w stadninie. Alicja ostatnio udoskonaliła nawet przepis na smalec z cebulką, majerankiem i jabłkiem, i chodziła dumna jak paw. Przez swoje miłosne perypetie znacznie schudła, więc teraz jadła ze smakiem i bez wyrzutów sumienia. Magda nie pozostała w tyle.

– Rany, co za wariacki dzień – westchnęła Ala. – A jutro też pewnie nie lepszy. Co robimy z gratami ze stodoły? Palimy czy do piachu?

– O nie! Żadnego ognia. Zakopcie, co niepotrzebne. Jak coś się nada, to na podpałkę – zdecydowała Magda i pociągnęła ze szklanki długi łyk. – Chłopaki od Marka przyjadą jutro o ósmej i od razu pomogą Zdzichowi w stajni. A Marek dokończy czyścić ściany na chałupie. Potem niech reszta idzie ogarnąć stodołę.

– A ja?

– Ty za to myśl, co z kurnikiem, bo nasze bezdomne biedaczki ciągle w gościnie u strusi. A tu następne ptaszyska czekają na transport. Przecież nie mogę umieścić ich wszystkich razem z kurami, bo zadepczą je na amen.

– Dobra. Rano nie mam żadnych jazd. Wydoję tylko Carmen i biorę się za kurnik.

– A właśnie. Co z ujeżdżaniem naszej krowiny? Zofia mówiła, że Carmen ma talent.

– Bo ma. Próbowałam kilka dni temu. Jak jej dobrze sprzedać mocną piętę, to kłusuje. Tyle że strasznie niewygodna, cholera. Ale narowista nie jest i chyba lubi ujeżdżanie. Wiesz, to pierwsza krowa, którą znam tak blisko, i nie potrafię się pozbyć wrażenia, że ona myśli. Jak wchodzę do niej, to wydaje mi się, że ona się cieszy.

– Czyli co robi? Uśmiecha się? – parsknęła Magda i ziewnęła przeciągle.

Miniony dzień naprawdę był ciężki, a kolejny zapowiadał się równie intensywnie. Wprawdzie nikt w stadninie nie spodziewał się ponownej wizyty byłych mężów i teściowych, ale w Pieńkach ostatnio działo się tak dużo, że Magda nie była pewna dnia ani godziny. Teraz, widząc tak samo ziewającą Alicję, wstała od stołu i podpięła telefon do ładowarki. I od razu położyła się do łóżka.

Nawet nie zauważyła, kiedy usnęła. Obudził ją dobrze znany stukot młotka w okolicy okna od sypialni.

– Rany! Zaspałam!

Nieprzytomna wyskoczyła z łóżka jak z procy i pobiegła do łazienki. Miała wstać przed ósmą, a właśnie dochodziła dziesiąta.

– O, śpiąca królewna. – W kuchni powitał ją rozbawiony głos Adama.

– A co ty tu robisz? – zapytała, odruchowo obciągając górę od piżamy.

– Piję sobie kawę. Nie widać? – roześmiał się. – Przyniosłem ci nowe faktury.

– Dzięki – mruknęła Magda, speszona, że dała się przyłapać w negliżu. – Zaraz wracam.

– W porządku, zaczekam. Idź, zrobię ci kawy.

– Ty?

– A myślisz, że mam dwie lewe ręce i nawet do kawy potrzebuję kucharza? – Adam parsknął śmiechem.

Magda, zła na siebie, że zasnęła, zrobiła błyskawiczną toaletę. Przebrała się w dres, włosy spięła na czubku głowy zwykłą gumką recepturką, wyszczotkowała zęby i byle jak przejechała tuszem po rzęsach. Intensywnie niebieska maskara była jej najlepszym odkryciem. Wystarczała za cały makijaż.

– Dzięki za kawę – powiedziała. – Nie ma to, jak ktoś ci coś podstawi pod nos. No i dzięki za faktury. A co tam u was?

– Po staremu – odparł wymijająco Adam.

Na razie nie miał zamiaru wtajemniczać sąsiadki w problemy z bratem, który

nie wiedzieć czemu niedawno uparł się, żeby zrezygnować z jej usług, a księgowość zlecić wyspecjalizowanej firmie. On sam nie widział takiej konieczności, zadowolony z terminowych usług, i nie rozumiał, dlaczego Wojtek woli zapłacić za nie komuś obcemu i w dodatku dwa razy więcej. Ostatnio temat powrócił, a wymiana zdań ponownie zakończyła się awanturą.

– Chciałem ci pokazać coś ekstra – dodał. – Dostałem to przed chwilą i ciekaw jestem, co o tym sądzisz. W końcu niedługo będziesz to oglądać z własnego okna.

– Co tam masz? – Magda ostrożnie sięgnęła po tablet.

– Projekt parku linowego. Wiosną montujemy.

– Sami?

– No coś ty. To wcale nie taka prosta sprawa. Przecież chodzi o bezpieczeństwo. Wymagane są normy, certyfikacje, szkolenie obsługi. Niech lepiej zrobi to ktoś, kto się na tym zna. Ja chcę spać spokojnie. Popatrz, tutaj będzie trasa dla dzieci...

Adam tak się rozkręcił, że Magda zapomniała o kawie. Projekt wyglądał bardzo profesjonalnie. Widać było fachowe podejście do tematu, a niewielki sosnowy drzewostan sąsiedniej działki wykorzystano idealnie.

– Kurczę, a ja myślałam, że to tylko trochę desek i kilka lin.

– Ja też tak myślałem. Dopiero jak rozgryżłem temat, okazało się, że to nie przelewki. W sumie inwestycja niemała, bo taki sensowny park to wydatek rządu pół miliona. A ja głupi myślałem, że to inwestycja w paintball mnie dobije.

Kwoty, jakimi operował sąsiad, były dla Magdy abstrakcją nie do wyobrażenia. Ale cieszyła się szczerze, że inwestycja za miedzą niebawem ruszy z kopyta. Bracia właśnie zaciągnęli kredyt i rozpoczęli prace przygotowawcze pod budowę domków i bungalowów. Zdążyli całkowicie uzbroić teren i wykonać wszystkie podmurówki. Wystarczy ustawić na nich prefabrykowane budyneczki i zapewnić atrakcje, pomyślała Magda.

Podobnie jak ona Adam również starał się o unijne dotacje, tyle że w znacznie większej skali. Stadnina z pewnością na tym skorzysta. Byle do wiosny, stwierdziła optymistycznie.

– Fantastyczne. – Zachwycona przeglądała kolejne wizualizacje.

– No proszę, proszę! A co to za konspiracja? – W kuchni pojawił się zaspany Marek. – Widziałaś już wszystko?

– Jeszcze nie byłam na zewnątrz. Już idę.

– Spokojnie, chałupa nie zajac i nie ucieknie. Ja chcę tylko wiedzieć, co mam zrobić z ulami.

– Jak to co? Wywalić gdzieś.

– To ty masz ule? – nieoczekiwanie zainteresował się Adam.

– A mam. Ze dwadzieścia albo i więcej. Leżą za stajnią i proszą o zmiłowanie.

– Czy mogę je zobaczyć, zanim wyrzucicie?

– Jasne. Jak chcesz, to je sobie weź. – Magda się uśmiechnęła.

Z dawnych lat pamiętała stojące w lesie kolorowe ule, podobnie jak smak świeżo zlanego miodu. Wprawdzie Alicja już jakiś czas temu wspomniała, że dobrze byłoby mieć własny, ale nikt nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Niech cię ręka boska broni, żeby je wyrzucać! – powiedział chwilę później rozentuzjasmowany Adam. – Kobieto, te ule są warte ładnych kilka tysięcy złotych.

– To ty się na tym znasz? – zdziwiła się Alicja, przystając w progu.

Dla niej, podobnie jak dla Magdy, były nic niewartą kupą zbędnych gratów.

– No masz! Też pytanie. Czy ja się znam? Przecież ja chodziłem do technikum pszczelarskiego. I gdyby nie ta cała nasza rodzinna gastronomia, pewnie dzisiaj byłbym bartnikiem pełną gębą.

– Nie miałam pojęcia.

Wyszli na zewnątrz; Magda podejrzliwie zerkała na drewniane budki. Trochę oblażyły z farby, ale wyglądały całkiem dobrze. Ktoś przytomnie ułożył je na podpórkach ze starych cegieł i chodnikowych płyt, więc nawet te na samym dole miały się nieźle.

– To jak? Chcesz mieć pasiekę? – Rozochocony Adam aż zatarł ręce z uciechy.

– Zwariowałeś? No pewnie, że nie chcę. – Magda się roześmiała. – Jeszcze tylko pasieki mi tutaj do szczęścia brakuje. Nie, nie. Za pasiekę to ja dziękuję.

– A co w takim razie powiesz na pasiekę na spółkę?

– W jakim sensie? – Czujnie nadstawiła ucha.

– Zrobimy tak: na razie wezmę do siebie kilkanaście uli, odmaluję je i kupię pszczoły. Pozostałe zostawimy u ciebie, bo niedługo też się przydadzą.

– Nie rozumiem.

Magda nie przestawała wietrzyć podstęp.

– Jak pszczołki się zdomowią u mnie, będę musiał je rozdzielić, żeby rozmnożyć i zasiedlić nimi inne ule. Ale te inne nie mogą stać zbyt blisko

rodzimej pasieki, bo przesiedlone pszczoły powrócą na stare śmieci.

– Rozumiem, że to centrum prokreacji pszczół chcesz założyć u mnie?

– Aha. Teren za stodołą nada się idealnie.

– Właściwie to czemu nie...

Pomysł brzmiał sensownie.

– To super. Ja w końcu zabiorę się za to, o czym marzę od lat, a ty w zamian za ule będziesz miała własny miód. To co? Umowa stoi?

– Stoi, wspólniku!

## Rozdział 13

Podobnie jak większość ludzi, Magda bardzo nie lubiła szpitali. Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie i wypadało w codziennej gonitwie znaleźć trochę czasu na odwiedziny u Zofii. Lekarze twierdzili, że pacjentka czuje się lepiej, i zasugerowali, by niebawem zabrać ją do domu, lecz Magda robiła, co mogła, żeby jak najdalej odwlec w czasie powrót Zofii.

W obecnej chwili trudno jej było sobie wyobrazić dalszą opiekę nad Zofią. Obie z Alicją miały pełne ręce roboty i w nadchodzących tygodniach nic nie zapowiadało zmiany. Mimo że udało się zatrudnić dwóch dodatkowych stajennych, pracy było tyle, że nikt nie próżnował. Tak jak Magda się spodziewała, obiecana skrzynka piwa miała moc magiczną – już po dwóch dniach Mario przysłał do stadniny swojego dalekiego kuzyna. Do tego jeden z drwali przydybanych w lesie przez Marka również wyraził chęć popracowania przy zwierzętach. Obaj mieszkali niedaleko i śmiało mogli dojeżdżać na rowerach. Oczywiście po zimie; do tego czasu transport obiecała zapewnić im chlebodawczyni. Po kilku dniach nowy układ personalny zaskoczył jak trzeba. Nowi pracownicy poznali swoje obowiązki i w końcu można było wszystkiego w miarę porządku dopilnować.

Nareszcie spadł pierwszy porządny śnieg i malowniczo otulił okolicę białą pierzyną. Na szczęście większości zwierząt ten fakt zupełnie nie przeszkadzał, jedynie Carmen wyglądała na obrażoną, że coś zasypało pastwisko, i na amen zaparła się w swoim boksie. Kury stadnie oblegały nowy kurnik w wersji de luxe, ale od czasu do czasu wystawiały głowy na zewnątrz. Odreagowały już wcześniejszą gościnę u strusi i teraz zaczęły się prześcigać w znoszeniu jajek. A siedem nowych strusi świetnie zniosło przeprowadzkę i błyskawicznie dogadało się z trójką dotychczasowych rezydentów. Dzień wcześniej Alicja zarządziła przeniesienie własnych koni do mniejszej stajni, tym samym awansując główną już wyłącznie do roli końskiego hotelu. Miejsce uzyskane po likwidacji składu paszy zaadaptowano na kolejne cztery hotelowe boksy.



Magda była wniebowzięta. Czego się ostatnio nie tknęła, wszystko szło jak po sznurku. A gdy tym razem podliczyła finanse stadniny, z radością odnotowała pierwszy niewielki zysk.

– Nie wierzyłam, że to zakończy się sukcesem – powiedziała do Alicji. Droga do Tczewa tym razem dłużyła się bardzo. – Niewielkim, ale jednak.

– A co z hipoteką?

– Jak pozyskamy jeszcze cztery konie do hotelu, to poradzimy sobie i z hipoteką. Uważaj! – krzyknęła Magda i zahamowała ostro. Mimo napędu na cztery koła samochodem zarzuciło niebezpiecznie. – Co za idiota!

Teatralnie popukała się w głowę. Tak, żeby przekaz dotarł do młodego chłopaka, który właśnie wymusił pierwszeństwo. Pirat przeprosił gestem i pojechał dalej.

– Kretyn! – zdenerwowana Magda zerknęła na Alę. – Co jest? Dobrze się czujesz?

– Niedobrze mi. – Alicja pozieleniała i zasłoniła dłonią usta.

Magda natychmiast zatrzymała się na poboczu. W ostatniej chwili.

– Nigdy nie mówiłaś, że masz chorobę lokomocyjną.

– Bo nie miałam okazji. Dobra, jedziemy. W Tczewie kupię sobie aviomarin.

Przy okazji odwiedzin u Zofii obie postanowiły się przebadać, bo gdy nastanie sezon, nie będzie na to czasu. Skłute i z plastrami w zgięciu łokcia zgodnie wmaszerowały na oddział.

Pacjentka wyglądała całkiem zdrowo, ale nie poznała gości. Jak gdyby nigdy nic odwróciła się plecami i ułożyła do snu.

– Chyba nic tu po nas – westchnęła zawiedziona Alicja. – Idziemy?

– Zaraz, zamienię jeszcze słówko z ordynatorem. Coś wreszcie trzeba postanowić.

Magda dała przyjaciółce kluczyki, a sama poszła poszukać lekarza. Liczyła, że rozmowa wniesie coś nowego, ale ordynator, mimo chęci, był w tej sprawie bezradny. Zasugerował ponownie kontakt z opieką społeczną.

– I co?

– I nic. Jak zwykle totalny opór materii. Znowu odesłano mnie do opieki społecznej, a tam już przecież byłam.

– Gdyby była umierająca, byłoby łatwiej.

– Ale nie jest. I pewnie jeszcze trochę pożyje. Nie łapie się na opiekę paliatywną. A zresztą wcale nie chcę jej oddawać do hospicjum.

– A może zatrudnić do niej kogoś na stałe? – zaproponowała Alicja.

– Teoretycznie to wykonalne, ale nie zapominaj, że ona przy tej swojej demencji i porywczym usposobieniu z dnia na dzień staje się coraz bardziej niebezpieczna. Zapomniałaś, jak przyłożyła Krzyskowi? Żeby zwalić z nóg takiego wielkiego chłopa, naprawdę trzeba mieć krzepę.

Alicja posmutniała.

– Do tego powinien być to ktoś wykwalifikowany. A wątpię, żeby taka osoba na stałe zamieszkała w Pieńkach. Chcesz prowadzić? – zmieniła temat Magda.

– Podobno za kierownicą się nie rzyga.

– Jasne. Dzięki.

Ala wrzuciła wsteczny bieg i wycofała ostrożnie. Jeszcze nigdy nie kierowała tak dużym samochodem, więc obawiała się, żeby czegoś nie uszkodzić.

– Jesteś pewna, że to tylko choroba lokomocyjna? – Magda badawczo zerknęła na przyjaciółkę.

– Myślisz, że jestem w ciąży? Nie no, skądże – prychnęła Ala, nonszalancko ścinając pierwszy zakręt.

– Przepraszam, tak mi przyszło do głowy. W końcu ty i Krzysiek... No, wiesz.

– Wiem. Uważaliśmy – ucięła Alicja i skoncentrowała się na jeździe.

Po południu miała umówione lekcje, więc trzeba było się pośpieszyć, tymczasem znów zaczął sypać śnieg i ruch na drodze wyraźnie się spowolnił. Magda, korzystając z tego, że ma wolne ręce, wykonała kilka telefonów, aż udało jej się dodzwonić do firmy produkującej okna i ustalić termin montażu. Przy okazji wymiany drzwi zdążyła już zapoznać się z opieszałością i beztruską fachowców, więc teraz wolała dopilnować ich osobiście; wprawdzie w domu nie było luksusów, ale przy okazji robót naprawdę nie trzeba było równać z ziemią wszystkiego dokoła. Okna były ostatnim wydatkiem, na jaki było ją stać. Odłożyła jeszcze pewną sumę z przeznaczeniem na grobowiec dla babci i dotarło do niej z całą świadomością, że oszczędności i fundusze pozyskane ze sprzedaży biżuterii właśnie się skończyły. Stadnina pomalutku zaczynała wychodzić na prostą, ale w następnych miesiącach mogło być naprawdę krucho. Od stycznia trzeba dodatkowo zabezpieczyć fundusze na regularne pensje dla nowych pracowników i wznowić spłacanie rat kredytu, pomyślała. Zgodnie z fachowymi prognozami na dotację z unijnych funduszy przyjdzie mi poczekać przynajmniej do maja, a w perspektywie mam remont zabytkowego chevroleta.

Na razie samochód stał u mechanika, któremu na szczęście właśnie urodził się pierwszy syn, więc tatuś od tygodnia pił na umór i nic nie wskazywało, by miał przestać przed Nowym Rokiem. Taka sytuacja sprzyjała, bo chwilowo dodatkowy wydatek odsuwał się w czasie. Oczywiście można było sprzedać samochód w takim stanie, w jakim znajdował się obecnie, ale z ekonomicznego i logicznego punktu widzenia było to posunięcie całkowicie pozbawione sensu. Przy stosunkowo niewielkich nakładach odnowiona corvetta znalazłaby nabywcę za dwukrotność ceny rupiecia. Problem leżał tylko w tym, że renowacja miała kosztować kilka tysięcy złotych. Taka kwota na razie stanowiła rzecz na granicy abstrakcji, więc Magda w duchu pomodliła się, aby mechanik jak najdłużej świętował narodziny męskiego potomka.

– Zawsze możemy sprzedać któregoś konia – zaproponowała Ala.

– Przecież są nam potrzebne do jazd. A jak Adam zorganizuje w wakacje obozy jeździeckie albo wczasy w siodle, wszystkie dostaną w kość. Nie, koni nie sprzedam.

– Są jeszcze dwa zaprzęgowe siwki. I możemy opylić źrebaki.

– Chcesz sprzedać Orfana? – oburzyła się Magda.

– Nie, nie chcę. Tylko podsuwam rozwiązania. No i mamy jeszcze ule, których hojną ręką nie sprezentowałaś Adamowi.

– Na razie zabrał dziesięć, przypominam. Zostało dziesięć. Rzeczywiście można je sprzedać, ale to nie będą jakieś wielkie pieniądze.

– Zawsze to coś. A jak już będziesz bogata i zechcesz rozwijać pasiekę, to sobie kupisz i tyle.

– Na razie chcę kupić wóz drabiniasty. Do wożenia dzieciaków. Więc siwki mi się przydadzą.

– Ale na co ci one? Reszta koni też potrafi chodzić w zaprzęgu. No, ja bym te siwki opchnęła w pierwszej kolejności. W końcu każdy musi być warty kilka tysięcy – nie dawała za wygraną Ala.

Po namyśle Magda przyznała przyjaciółce rację – siwki, nie licząc faktu, że ładnie wyglądały w galopie na pastwisku, nie przynosiły żadnych korzyści. Nieujeżdżone w odpowiednim wieku wałachy nie nadawały się do niczego poza zaprzęgiem. Nie były też wiele warte, ale teraz liczył się każdy grosz, więc natychmiast po powrocie do domu Magda wystawiła jednego na Allegro z opcją wyjściową półtora tysiąca złotych, z nadzieją, że znajdzie się kupiec. W ostateczności mogła sprzedać konia do rzeźni, ale jakoś nie potrafiła się przemóc. Zwierzę było w sile wieku i nie widziała powodu, żeby za parę

groszy posyłać je na śmierć.

Przed wieczorem policzyła zysk z ewentualnej sprzedaży uli. Alicja miała rację. Gdyby spieniężyć dziesięć zbędnych, budżet wzbogaciłby się niewątpliwie. Siedząc przy komputerze, Magda spróbowała poszukać części zamiennych do samochodu, ale poległa w przedbiegach. Patrzyła na listę, którą dał jej mechanik, lecz po pierwsze nie wiedziała, co dokładnie powinna kupić, a po drugie części do chevroleta były praktycznie niedostępne. Nie dość, że auto było stare, to na dodatek jeszcze amerykańskie, co stanowiło istotną komplikację, za oceanem bowiem produkowano zazwyczaj modele na rodzimy rynek i nikt nie przejmował się, że jakiś Europejczyk za trzydzieści parę lat będzie miał kłopot. Nawet w dobie internetu zdobycie czegokolwiek stanowiło problem nie lada, zwłaszcza że Magda, aby jak najwięcej zarobić, powinna jak najwięcej zachować w stanie wyjściowym bądź zrekonstruować przy użyciu oryginalnych części. Na portalach aukcyjnych, nie licząc uszczelek drzwi i słupków, nie znalazła prawie nic, ale wynotowała kontakty do hurtowni z częściami do amerykańskich wozów i adresy kilku najbliższych sklepów motoryzacyjnych.

– Chyba przesadzasz – stwierdziła Alicja. – Przecież głupie żarówki czy akumulator muszą być takie same, nie?

Orientowała się w temacie jeszcze słabiej niż Magda.

– I tu się mylisz. Te ich głupie żarówki mają lekko przesunięte bieguny w stosunku do naszych i nasze nie pasują do oprawek. Obdzwoniłam już trzy hurtownie i w żadnej takich nie mają. To znaczy mają, ale białe, a tu potrzebne są żółte, bo to od kierunkowskazów. A twój głupi akumulator ma boczne klemy, w dodatku jakieś wkręcane. Mechanik jeszcze w życiu takiego patentu nie widział. Cholera by wzięła to auto.

– A nie da się tego jakoś przerobić? Ciachnąć kabla czy coś?

– Wszystko się da. Ale wtedy to już nie będzie oryginał. A jak przyjedzie kupować jakiś fanatyk, to się od razu połapie, że coś było kombinowane. No, diabli nadali. Nawet głupie borygo kupić to problem, bo teraz to wszystko w wersji eko, eko plus albo inny superpower. A ja potrzebuję takiego najzwyczajszego, jakie produkowali, gdy nas jeszcze na świecie nie było.

– A ten magik od naprawiania to nie może nam jakoś pomóc?

– Teraz nie może, bo na okrągło chodzi na bańce. I całe szczęście, bo zanim ja znajdę te wszystkie części i resztę, to jego dziecko pójdzie do pierwszej komunii. Dobra, koniec na dziś.

Magda przetarła oczy i wstała od komputera. Ubrała się ciepło i poszła odśnieżyć podjazd.

Sypało coraz bardziej, śniegu przybywało z każdą minutą. Na pewniaka sięgnęła tam, gdzie zawsze stała łopata. Oczywiście znów ktoś ją zakosił, westchnęła z rezygnacją i pobiegła do stajni.

– Oddawać łopatę! – wrzasnęła od progu.

– Już, już! – Z boksu wyłonił się Bronek, krewniak Mariusza. – Szufla stoi przy wejściu! – krzyknął.

– Nie macie swojej? W sumie są trzy, więc niech ta czerwona stoi przy domu.

– Okej! – Bronek zasalutował. – A widziała pani, co dziś wyprawia ten młody? – zmienił temat. – Cały czas tłucze się po boksie.

– Orfan?

– Tak. Obija się o ściany jak wściekły. Może mu co dolega?

Magda podeszła bliżej. Rzeczywiście, zachowanie źrebaka nie było normalne. Miotał się od ściany do ściany, a jego sierść aż lśniła od potu.

– Jezus Maria! Co mu jest? – przeraziła się nie na żarty. – Gdzie Zdzichu? Wołaj Alicję!

– Się robi!

Nowy stajenny co sił w nogach pognał do domu, a Magda kłusem do głównej stajni poszukać Zdzicha. Gdyby Zofia była na miejscu, pewnie umiałyby postawić diagnozę, pomyślała, a tak muszę uwierzyć doświadczeniu tego ochlapusa, zirytowała się.

Niestety, Zdzichu pomógł niewiele. Takie zachowanie widział po raz pierwszy w życiu.

– Co się dzieje? – Do stajni wbiegła zasapana Alicja. – O Jezu, jaki biedny. Na bank coś go boli.

– Dzwonię po Wandę.

– Spokojnie, ja zadzwoniłam. Już jedzie.

– Dzięki Bogu. Tylko warunki na drodze tragiczne.

Magda wyszła na zewnątrz i nerwowo przestępując z nogi na nogę, co rusz zerkała w stronę wjazdu.

– No, szybciej, gdzie jesteś? – wyszeptała, jakby to zaklęcie miało przyspieszyć przyjazd wetki.

Zadymka gęstniała, wirujące białe płatki w świetle latarni wyglądały bajkowo. Magda uwielbiała ten widok od zawsze, ale teraz liczył się

wyłącznie Orfan i szybki ratunek.

Nadszedł po kwadransie.

– Nie jest dobrze – powiedziała lekarka. – To mi wygląda na skręt kiszek. Zeżarł coś ostatnio? Dzieciaki go dokarmiały?

– Nie. Dziś to co zwykle. – Zdzychu wyrecytował końskie menu z detalami.

– Kroimy. Nie ma na co czekać. – Wanda podjęła decyzję.

– Co takiego? – przeraziła się Magda. – Jak to? Tutaj?

– Nie ma czasu. No i może nie przeżyć drogi.

Do Magdy dotarła groza sytuacji. Bezsilnie zacisnęła pięści i w skupieniu patrzyła, jak stojący unieruchamiają Orfana, by Wanda mogła podać zwierzęciu znieczulenie.

– Dajcie tu jakąś folię! – komenderowała lekarka. – I przynieście z mojego auta jednorazowe fartuchy. Ja dzwonię po pomoc.

– Gdzie? – zapytała Magda, tknięta najgorszym z przeczuć.

– Po Staszka.

– Ale...

– Sama sobie nie poradzę. To nie piesek.

Ton głosu Wandy nie pozostawiał przestrzeni do dyskusji. Magda wbiła wzrok w posadzkę i nerwowo zagryzła wargi.

– Jest bardzo źle?

– Tak. Ułóżcie go brzuchem w stronę światła. Macie tu jakieś dodatkowe lampy? Dawać, za ciemno mam!

Lekarka zdążyła się już przebrać i przyszykować zestaw narzędzi chirurgicznych. Zdzychu prowizorycznie podłączył dodatkowe żarówki.

– Co jest? – Do stajni wbiegł Staszek. W biegu rzucił Magdzie kurtkę i włożył fartuch.

– Obstawiam ostry skręt kiszek. Golimy!

– Się robi!

Weterynarze wyprosilili wszystkich na zewnątrz.

– I co teraz?

Magda powiodła bezradnym wzrokiem po obecnych. Nikt nie potrafił jej pocieszyć.

– Matko, tylko nie on. – Alicja siorbnęła nosem.

Jej również stanęły przed oczami tragiczne w skutkach narodziny Orfana. Modliła się w duchu, by koń nie dołączył do matki, która po wydaniu na świat jego i jego siostry wykrawiała się na śmierć.

– Przestań! – Magdzie zaszkliły się oczy. – Może go uratują...

– Oby – westchnęła Alicja i objęła przyjaciółkę. – Chodźmy do domu. Nic tu po nas.

– Przecież taki pech to już przesada. Urodził się w piątek trzynastego, Ofelia padła, nie miał co jeść... Tyle nieprzespanych nocy...

Magda nie wytrzymała. W jednej chwili rozsłochała się jak dziecko.

– Przestań. Weź się w garść. Przecież on wciąż żyje.

– Miałam odśnieżyć – chlipnęła Magda znad chusteczki. – Przyszłam po łopatę. Patrz, ile śniegu.

– A chrzanić śnieg! To pewnie trochę potrwa. Idziemy do domu.

Minorowy nastrój był nie do zniesienia. Minuty dłużyły się złośliwie, a śniegu przybywało, więc dla zabicia czasu dziewczyny zabrały się jednak do odśnieżania. Obie odruchowo co chwila zerkały z nadzieją w stronę stajni. Dałyby wiele, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Matko jedyna, co tak długo? – wymamrotała pod nosem Magda.

– Skoro tak długo, to znaczy, że jest o co walczyć – odparła sensownie Alicja, atakując pryzmę świeżego śniegu.

– Racja.

Chwilę później na zewnątrz wyszedł Staszek i zapalił papierosa. W zakrwawionym fartuchu wyglądał jak oprawca, nie jak lekarz. Przyjaciółki jak na komendę rzuciły łopaty.

– I co? – zapytały jednocześnie, podbiegając.

– Nie wiem. Ale rozplątaliśmy wszystko.

– To rzeczywiście skręt jelit? – zapytała Alicja.

– Tak. W niektórych miejscach wyglądały tak, jakby ktoś powiązał je w supły. Wanda już kończy szycie. Za chwilę będziemy go wybudzać.

– Będzie żył? – wykrztusiła Magda przez ściśnięte gardło.

Nigdy nie przypuszczała, że można operować w takich warunkach.

– Jest duża szansa, jeśli przeżyje do rana. Musicie przy nim czuwać. W razie czego będę pod telefonem. Mam do was bliżej niż Wanda.

– Jeśli... Jak skończycie, chodźcie do domu umyć się i ogrzać. Alicja ustali dyżury ze stajennymi, potem ich zmienimy.

Sytuacja została jako tako opanowana. Orfan powoli wybudził się z narkozy, ale był bardzo słaby i nie miał ochoty wstawać. Weterynarze doprowadzili się do porządku, zjedli naprędce przyrządzoną kolację i każde pojechało w swoją stronę. Przed odjazdem Staszek jeszcze raz zajrzał do pacjenta.

– Dziękuję, że przyjechałeś. – Magda poczuła, że musi coś powiedzieć.  
– To ja dziękuję, że mnie nie wyrzuciłaś.  
– Chyba zwariowałaś – obruszyła się. – Wiesz, Wanda uparła się, żeby cię wezwać. A poza tym nie jesteś dla mnie nikim niemiłym. Ale chyba pamiętasz naszą umowę?  
– Pamiętam – uciął. – I zamierzam jej przestrzegać. Wpadnę jutro, to pogadamy. Na razie jadę do domu. A wy trzymajcie kciuki za małego, bo marnie z nim. Jestem pod telefonem. Pamiętaj.  
– Dobrze.  
Magda skinęła głową i odprowadziła wzrokiem znikający w ciemnościach samochód.



## Rozdział 14

Pomimo wysiłków i szybkiej interwencji lekarskiej Orfan nie przeżył nocy – o szóstej nad ranem Zdzychu narobił takiego rabanu, że wszyscy zerwali się na równe nogi. Magda, pełna złych przeczuc, na wszelki wypadek spała w dresie, więc od razu wybiegła z sypialni. Po minie stajennego poznała, co się stało. Pomarszczony, sterany życiem mężczyzna pociągał nosem. W pionowych brzdach przecinających zapadnięte policzki lśniły łzy.

– Żem cały czas trzymał jego głowę na moich kolanach i żem się modlił – wychrypiał wzruszony.

Speszony własną słabością odwrócił się i wybiegł z domu.

– O Boże, za co? – szepnęła Magda. Rozszłochała się i przysiadła na schodach.

Tak zastała ją Alicja. Bez słowa, tłumiąc płacz, poszła do kuchni i nastawiła wodę na kawę. Zawróciła do sieni po zapłakaną przyjaciółkę i usadziła ją przy kuchennym stole.

– Chcesz jeść? – zapytała.

– Nie. Niczego nie przełknę. Może za chwilę.

– Musimy coś jeść. Życie toczy się dalej.

– Tak, toczy się. Na cholernie kwadratowych kołach – westchnęła Magda i poszła do łazienki doprowadzić się do porządku.

W milczeniu zjadły po pajdzie chleba z własnoręcznie zrobionym twarogiem, ale Magda nawet nie poczuła jego smaku. Zupełnie jakby jadła trociny. W końcu dopiła zimną już kawę i powłócząc nogami, poszła się przebrać. Alicja rozwiozła stajennych po domach. Należał im się odpoczynek, więc dostali zasłużone wolne.

Przygnębiona Magda opadła w kuchni na babciny fotel i bezmyślnie zagapiła się na padający za oknem śnieg.

– Widzę, że przyjechałem za późno – powiedział Staszek od progu. – Kurczę, już od porodu czułem, że coś jest nie tak. Już wtedy, gdy wyciągałem jego

siostrę z brzucha Ofelii, miałem niejasne przeczucie, że nie będzie happy endu. Bliźnięta u konia to rzadkość. Prawie zawsze są słabsze i bardziej delikatne.

– Idź, zbadaj Orfetekę. Lepiej dmuchać na zimne, skoro to takie pechowe towarzystwo.

Słaby uśmiech nie wypadł najlepiej.

– Takie życie, nic nie poradzisz na pewne rzeczy. Człowiekowi często wydaje się, że wiele może, a w zderzeniu z rzeczywistością okazuje się, że niewiele. Co robimy z ciałem? – zagadnął Staszek i bez pytania nalał sobie kompotu.

– Już robię ci kawę. Przepraszam, ale kompletnie nie mogę się pozbierać. Przepraszam. Białą? Czarną?

Magda miała świadomość, że jej paplanina jest bez sensu. Przecież od dawna wiedziała, że Staszek pija wyłącznie czarną i w dodatku szatańsko mocną. Czasami miała wrażenie, że z powodzeniem można w niej ustawić łyżeczkę na sztorc.

– Magda, daj spokój. Usiądź już, sam sobie zrobię. Czy zgłosiłaś Orfana do Związku Hodowców Koni?

– Nie. Miałam czas do końca roku, a w sumie to na śmierć zapomniałam. I co teraz?

– To masz małe szczęście w nieszczęściu.

– Nie rozumiem.

– Proste. Gdybyś go zgłosiła, to teraz musiałabyś oddać ciało do obowiązkowej utylizacji. I zapłacić za to ładnych parę stówek. A tak to nikt nic nie wie, więc śmiało możecie go pochować we własnym zakresie.

– To tak można?

– Nie można, to nielegalne. Ale obiecuję, że nikt się o tym nie dowie. A ty zaoszczędzisz w ten sposób sporo pieniędzy.

– Dziękuję. A Wanda?

– Wanda będzie milczeć jak grób. To nie jej interes, żebyś ty miała kłopoty. Tylko zakopcie głęboko.

– Kurczę, ziemia jest zmarznięta.

– Tylko wierzchnia warstwa. Pogoń Zdzicha, niech kopie tam, gdzie jest najwięcej piasku – doradził Staszek i jednym haustem opróżnił filizankę. – Pójdę już. Nic tu po mnie.

– Zaczekaj! – Magda zerwała się z fotela. – Ile jestem ci winna?

– Nic. Wszystko załatwiłem już z Wandą. A nawet jakbym nie załatwił, to

i tak nic bym od ciebie nie wziął.

– Przestań! – fuknęła z irytacją.

– To ty przestań. Możemy nadal udawać, że się nie znamy i że nic między nami nie było, ale to i tak niczego nie zmieni. Bo się znamy i...

– Staszek, przestań! Ja naprawdę mam już dość wrażeń jak na jedną dobę. To, co się stało, się nie odstanie. I nigdy tego nie zapomnę. Ale ja chcę po prostu normalnie żyć.

– Wiem. Ja też próbuję. Ela jest w ciąży i miewa takie humory, że ciężko z nią wytrzymać. Dlatego potrzebuję czasem pogadać z kimś normalnym, żeby do końca nie zwariować. Poza tym nie potrafię zapomnieć tamtego. Wiesz, nie ma dnia, żebym za tobą nie tęsknił.

– O nie! – zaprotestowała ostro. – Powtórki z rozrywki nie będzie. Nie odpowiada mi status kochanki żonatego faceta. Myślisz, że to było dla mnie proste? Otóż nie! Nie było! I nie chcę więcej do tego wracać, bo zbyt wiele mnie to wszystko kosztowało. Więc jeśli nie przestaniesz do tego nawiązywać, ja nie przestanę robić, czego się da, żeby cię unikać.

– Magda, przecież ja najbardziej bym chciał, żeby między nami znów było jak dawniej.

– Myślisz, że będziemy się odwiedzać jak stare kumoszki i zapraszać na herbatkę? O nie. Ja zapłaciłam wysoką cenę i nie chcę, żeby bolało znowu. Oczywiście nie będę udawać, że cię nie znam, i nie będę już jeździć na zakupy cztery wsie dalej, ale na bliższe relacje nie masz co liczyć. Na grilla raczej do was nie wpadnę.

– W porządku. Ale nie wiń mnie, że niczego nie żałuję. W każdej chwili zrobiłbym to samo jeszcze raz.

– Co? Nawet teraz, gdy twoja żona spodziewa się dziecka?

– Nawet teraz.

– Cóż, człowiek popełnia błędy. Jeden potrafi się z nich łatwo rozgrzeszyć, a inny nie robi tego nigdy.

– Ale ja wcale nie uważam, że popełniłem błąd. Spełnianie marzeń nie jest błędem. Nie rozumiesz, że pragnąłem tego przez całe życie? I że wciąż pragnę?

Staszek ani myślał dać za wygraną, ale tego było dla Magdy zbyt wiele.

– Idź już, proszę – powiedziała. – I przestań już mieszać mi w głowie. I bez tego mam dosyć kłopotów.

Z ulgą zamknęła za gościem drzwi do sieni.

– Jeszcze czego – mruknęła do siebie.

– Przepraszam, ale co nieco słyszałam z przedpokoju. – Do kuchni wkroczyła Alicja. – Naprawdę nie miałam zamiaru podsłuchiwać, ale mówiliście tak głośno, że nie dało się nie słyszeć.

– No to teraz już wiesz – odparła Magda ze smutkiem.

– W sumie to od dawna się domyślałam, że coś jest na rzeczy. W końcu nie rezygnuje się z usług stałego i w dodatku najlepszego w okolicy weterynarza bez poważnego powodu.

– Dajmy już temu spokój. Mam dość. Odwiozłaś chłopaków?

– Odwiozłam, byli wykończeni. Wszyscy z nosami na kwintę. Ale Broniek mi zeznał, że w okolicy jest kucyk do oddania. Wiesz, nietrafiony prezent komunijny. Chcemy?

– W sumie możemy chcieć. – Magda rozejrzała się za czystą szklanką. W kuchni panował straszliwy bałagan, brudne naczynia piętrzyły się w zlewie.

– Trzeba tu posprzątać. Bierzemy się do roboty – powiedziała, by również sobie dodać chęci do pracy.

Wspólna robota poszła sprawnie i do południa wszystko aż lśniło. Na zewnątrz znów zaczął padać śnieg, więc od razu chwyciły za łopaty; przybywało go z każdą minutą. Po obiedzie czekała je praca przy zwierzętach, bo trzeba było pomóc Zdzichowi. Alicja tego dnia nie miała żadnych lekcji, więc we trójkę powinni ze wszystkim wyrobić się o czasie.

– Matko, to robota głupiego – stwierdziła Magda. – Muszę kiedyś kupić jakiś używany pług do ciągnika, bo jak tak dalej pójdzie, to nam ręce odpadną.

– O, w końcu mądrze gadasz. – Alicja strzepnęła śnieg z czapki. – To co? Kopniemy się zobaczyć tego kuca?

– Dzisiaj?

– A czemu nie? Może chociaż to poprawi nam humor. Mamy tu tak siedzieć jak te smutne sieroty?

Magda nie dała się prosić dwa razy.

– Dobra. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie wiem, ale zaraz się dowiem. Mam nadzieję, że nie obudzę Bronka.

– Ech, co za baba utrapiona.

Magda uśmiechnęła się słabo i poszła po kluczyki od toyoty.

Właściwie to nie miała wielkiej ochoty ruszać się z domu. Chciała w spokoju pomyśleć i w samotności rozprawić się ze smutkiem po stracie Orfana. Na szczęście Zdzichu zdążył się już uporać z pochowaniem truchła, bo

ona sama nawet nie chciała na to patrzeć. Do tego jeszcze Staszek i jego bezsensowne wyznania, które na nowo zburzyły względny spokój. Ale z jednego była zadowolona – że zamiast tęsknoty i czarnej rozpacz, że nie może z nim być, czuje wyłącznie złość, że oto znów zamieszał w jej poukładanym życiu.

Nie miały daleko, ale przy mocno zaśnieżonej drodze zeszło im dwa razy więcej czasu niż normalnie. Po raz kolejny Magda doceniła napęd na cztery koła. Nigdy nie przypuszczała, że to taki komfort, ale wolała nie wspominać o Krzyśku i jego dobrej radzie przy wyborze samochodu. Alicja wprowadzić na jego temat nie mówiła, ale gołym okiem widać było, że bardzo cierpi. Niewątpliwie cała ta burzliwa historia wytrąciła ją z równowagi. Pomijała temat milczeniem, co przy wrodzonym gadulstwie było rzeczą niepojętą, ale Magda zdążyła już poznać Alę wystarczająco, by wiedzieć, że dziewczyna najpierw musi przetrwać wszystko sama. Wiedziała również, że kiedy przyjdzie pora emocjonalnej wiwisekcji, przyjaciółka zamęczy ją na śmierć szczegółami nieszczęsnej znajomości.

Jej też należy się trochę szczęścia, pomyślała. Sparzyła się dwa razy z rzędu, więc teraz musi minąć trochę czasu, zanim znów komuś zaufa. Magda z własnego doświadczenia wiedziała, że to niełatwe. No i miała na uwadze również dobro Marka, który nie tracił nadziei i cierpliwie czekał na swoją szansę. Niedawno awansował do roli przyjaciela domu i coraz częściej bywał w stadninie. Jego pomoc przydawała się niebywale, nieraz wybawiał Magdę z opresji. Postronny obserwator zapewne dałby głowę, że smali cholewki do gospodyni, tymczasem on wodził wzrokiem za energiczną czarnowłosą instruktorką jazdy konnej. I tylko szukał pretekstów, by pojawiać się w Pieńkach.

– Magda! Mówi się! Tu Ziemia do Magdy. Hellou!

– Co się stało?

– Gadam, gadam, a ty nic. Jakbym gadała do ściany – pozaliła się Alicja.

– Sorki, zamyśliłam się. Daleko jeszcze?

– Nie, tuż za zakrętem. O, ta zielona brama. Skręcamy.

Czarny kucyk z białą strzałką na czole, o wdzięcznym imieniu Szwarcenegr, dosłownie powalił przyjaciółki na kolana.

– Matko, jaki on śliczny! Dlaczego pan go nie chce? – zapytała Magda, zachwycona jak mała kiedyś.

Ogromne poczciwe czarne oczy zwierzaka bystro spoglądały spod

nastroszonej grzywki.

– Moja córka ma alergię. Długo nie wiedzieliśmy, co jej dolega, a przyczyną okazał się, niestety, kucyk – odparł ze smutkiem mężczyzna, w zakłopotaniu drapiąc się po wygolonej łysinie. – Mój brat uratował go rok temu przed rzeźnią. Poprzedni właściciele uznali, że nikt go nie pokocha. Bo nogi ma krzywe jak sierpy.

– Zwariowali? – Alicja podeszła szerokim łukiem i spojrzała na kuca od tyłu. – O kurczę, faktycznie, krzywe jak diabli. Jest pan pewien, że nic mu nie dolega?

– Jest zdrowy i nic go nie boli. Naprawdę. Ja też mam krzywe nogi, a jakoś z tym żyję – roześmiał się łysy. Z uczuciem pogłodził konika po chrapach. – Oddam go za darmo, ale wyłącznie w dobre ręce. Nie chcę, żeby ktoś go wyrzucił. Albo żeby stał sam.

– Bez obaw. Mam całą stadninę w Pieńkach. W lepsze ręce trafić nie może – zapewniła Magda z mocą.

– W Pieńkach? To pani jest właścicielką? – ucieszył się mężczyzna. – A będziemy go mogli odwiedzać?

– No pewnie. Kiedy tylko pan zechce.

– Świetnie. Moja Ania się ucieszy, bo płacze już od tygodnia. Jak się dowie, że to po sąsiedzku, będzie jej lżej.

– W takim razie zapraszamy. Mamy całą menażerię, choć nie wiem, czy alergiczka...

– Macie coś więcej niż konie? – zainteresował się mężczyzna.

– Kury, krowę, strusie, konie, kozy, psy i kota – wyrecytowała Magda. – A niedługo jeszcze i pszczoły. Jeszcze tylko kucyk i owce, i prawdziwe minizoo gotowe.

– Nie miałem pojęcia. Widzą panie, jestem wicedyrektorem tutejszej podstawówki i często się zastanawiam, gdzie by tanim kosztem zabrać dzieciaki. A można u was kupić strusie jaja?

– Można, ale dopiero w sezonie. Zapraszamy po nie od kwietnia. – Magda odruchowo sięgnęła do kieszeni. Właśnie na taką okoliczność wypadałoby mieć wizytówki, pomyślała, tyle że jeszcze nie zdążyłam ich zrobić. – Przepraszam, nie mam przy sobie namiarów, ale wydaje mi się, że wysyłałam do was ofertę.

– Nic nie szkodzi, wiem, gdzie jest stadnina. Podjadę za jakiś czas odwiedzić Szwarcenegera, to wtedy się dogadamy. Kiedy chcecie go zabrać?

- Nie wiem, ale myślę, że...
- Dzisiaj. Bierzemy go dzisiaj – wtrąciła się Alicja.
- Jak? Nie mamy przyczepy.
- Och, daj spokój. Przecież on jest tak mały, że zmieści się na tylnym siedzeniu.
- Chyba ci odbiło. – Magda popatrzyła na przyjaciółkę jak na wariatkę.
- Nie, wcale nie. W internecie widziałam niedawno zdjęcia, jak goście wieźli podrośniętego żrebaka w volkswagene golfie. Tego malucha bez problemu zapakujemy do toyoty. Jak chcesz, będę siedzieć z tyłu i go pilnować. Tylko coś podścielimy, żeby przypadkiem nie narobił.
- Ala rzuciła właścicielowi kuca pytające spojrzenie. Ten w lot załapał, o co chodzi, i zdjął z regału brezentową płachtę.
- Służę. Odbiorę przy okazji. Zaraz przyniosę dokumenty.
- No dobrze.
- Magda nie była przekonana do wariackiego pomysłu, ale zobaczywszy, że nie dziwi on mężczyznę, wyraziła zgodę.
- Po wymianie pożegnalnych uprzejmości przesunęła przednie siedzenie do przodu i otworzyła na oścież tylne drzwi. Początkowo kucyk nie wiedział, czego chcą od niego ludzie, ale szybko się zorientował i rączo wskoczył na tył. Wsparł zad na kanapie i po chwili wyglądał, jakby podróżowanie samochodem było dla niego najbardziej naturalną czynnością pod słońcem.
- Ty, a jak nas złapie policja? – zaniepokoiła się Magda.
- Śniegu napadało jeszcze więcej i toyota poruszała się w żółtym tempie.
- A widziałas kiedyś policjantów w takiej śnieżycy? Przecież to nie idioci i życie im miłe.
- W sumie racja. Odkąd tu mieszkam, to jeszcze drogówki nie widziałam.
- Spokojnie – powiedziała Alicja. – W razie czego powiemy im, że to kłaczka i że wieziemy ją do porodu. Każdy facet wymięknie na taki tekst.
- A jak sprawdzą?
- Co sprawdzą? Czy kuc ma jajka? No, dajże spokój. Patrz przed siebie i jedź, bo ten mały skubaniec zaraz zeżre mi szalik.
- O ile z zapakowaniem kuca poszło gładko, o tyle z rozładunkiem było już o wiele gorzej. Mały zapałł się jak osioł i ani myślał wysiadać. Na widok kuczka w samochodzie Zdzychu rozdziawił usta. Zakrzywiony pet poleciał w dół i z sykiem zgasł na śniegu.
- Chwila. Ja marchewek przyniosę – zaproponował. – Jak długo żyję, to

jeszcze żem konia w aucie nie widział. – Pokręcił głową.

Pochylnia ze starych desek i smakołyk zadziałały. Alicja, widząc wahanie kucyka, mocno chwyciła za kantar i pomogła w podjęciu decyzji.

– No już, mały! Wsiadka!

Szwarceneger już bez ociągania pozwolił zaprowadzić się do stajni, gdzie zajął miejsce po Orfanie. Od razu wetknął łeb między pręty i zawarł bliższą znajomość z Orfetką.

– No popatrzcie, już się dogadali! – ucieszyła się Alicja.

Właśnie dlatego tak bardzo od razu chciała przywieźć kuca do stadniny. Żeby nie oglądać pustego boksu po Orfanie. Śmierć ulubieńca wiele kosztowała domowników, a Szwarceneger narobił pozytywnego zamieszania.

– Umarł król, niech żyje król – westchnęła smutno Magda, ale manewry małego sprawiły, że na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Ciekawe, czy da się skrzyżować konia z kucem? – myślała na głos.

– A po co?

– Nie wiem. Tak pytam. To w ogóle możliwe?

– Technicznie? No pewnie, że możliwe. Wystarczy wykopać kłaczy dołek i jak kuc odpowiednio jurny, to całkiem niezłe mieszanki z takich związków wychodzą. A co? Chcesz się zabawić w hodowlę?

– Nie no, skąd. Cały czas się uczę. Niedawno odkryłam, czym się różni osłomuł od muła i...

– Że co się różni? Osłomuł? Na litość boską, a co to jest osłomuł? – Alicja parsknęła śmiechem.

– To ty nie wiesz? – Magda zdziwiła się szczerze i też się roześmiała. – Całe życie przy koniach i nie wiesz?

– Muł to dziecko końskiej kłaczy i oślego ogiera. Ale sorry, w życiu nie słyszałam o osłomule.

– To to samo, tylko odwrotnie. To znaczy rodzice odwrotnie, czyli samica osła, a tatuś koń.

– Pierwsze słyszę. A zwykłego osła przypadkiem nie chcemy? – Alicja ze śmiechem umknęła w ostatniej chwili przed lecącym w jej stronę słomianym wiechciem. – No dobra, już dobra. Przestań, bo mały dziwnie na nas patrzy.

Magda nie miała nic przeciwko posiadaniu osła, ale nie była to najlepsza chwila na powiększanie inwentarza. Oczywiście wyżywienie większej liczby zwierząt wyraźnie obniżało koszt jednostkowy, ale jeśli podsumowało się



wszystko razem, całość wymagała sporych comiesięcznych nakładów. A Magdy nie było stać na ryzyko finansowe. Z obawą myślała o nadchodzącym roku; czas do wiosny, kiedy to wreszcie ruszą szkolne wycieczki, zapowiadał się dosyć chudo. A przecież i domownicy mieli swoje potrzeby, nie licząc niezbędnych remontów i inwestycji.

No i nazajutrz miała odebrać Zofię ze szpitala. Początkowo zupełnie nie brała tego pod uwagę, ale nieoczekiwanie pojawiła się szansa na umieszczenie staruszki na stałe w domu opieki.

– To twoja decyzja. – Alicja uchylła się od głosu.

– Wiem, że moja. Ale w końcu to Boże Narodzenie i nie mogę jej zostawić w szpitalu. To byłoby po prostu nieludzkie.

– Racja. Te dwa tygodnie może jeszcze z nami pomieszkać. – Ala rozejrzała się za wiaderkiem na mleko. – Jak będzie przytomna, to wypytam ją o pracę z Carmen. Teraz, w śniegu, krowina za dużo nie poćwiczy. A na razie to ja idę doić.

– Zaczekaj. Idę z tobą.

Magda poderwała się z krzesła i zdjęła z oparcia kurtkę.

– Chcesz asystować?

– Aha. Kozy umiem już doić, krowy jeszcze nie.

– To umyj ręce i zapraszam.

## Rozdział 15

Ostatnie dni przed Bożym Narodzeniem upłynęły pracowicie. Dzieciaki w szkole miały już wolne, więc tłumnie przybyły do stadniny. Alicja chwilami nie wiedziała, w co ręce włożyć, ale przed świętami chciała zarobić jak najwięcej. Z przemęczenia nie dawała już rady, więc za namową jednej z klientek zatrudniła do pomocy dziewczynę z sąsiedztwa.

Gosia miała własnego konia i praktycznie wychowała się w stajni. Niedawno ukończyła kurs instruktora jazdy konnej, ale jeszcze nigdy nie korzystała z uprawnień. Teraz dostała okazję, by nadrobić zaległości i jeszcze dodatkowo podszkolić się w nauczaniu. Magda w zamian za pomoc obiecała jej niewielkie wynagrodzenie, a dziewczyna aż podskoczyła z radości. Alicja ostro zagoniła pomocnicę do pracy, czego efektem było podwojenie z dnia na dzień zarówno liczby jazd, jak i zarobków. Ale samopoczucie miała fatalne; każdego ranka budziła się zmęczona i czuła, że słabnie. Z obawą czekała na wyniki badań. Wcześniej upoważniła Magdę do ich odbioru, a sama cała w nerwach liczyła godziny, aż przyjaciółka powróci z Zofią z Tczewa.

Magda wysadziła Zofię na podjeździe i zaczęła wyciągać zakupy. Rozpromieniona staruszka ochoczo chwyciła za najcięższe torby, rozejrzała się wokół i żwawo pomaszerowała do kuchni. Musiała zostać na chwilę sama, bo właścicielka stadniny natychmiast poszła sprawdzić, co w stajni. Zofia nawet nie zdjęła butów, a od razu wzięła się do siekania kruchego ciasta.

W domu nie było zbyt wielu choinkowych ozdób, więc Magda w mieście kupiła foremki w kształcie gwiazdek, które w tym kontekście okazały się jak znalazł. Zwyczajnie nie mogła się doczekać strojenia drzewka, po raz pierwszy od dawna żywego i pachnącego lasem. Jej były mąż, w przeciwieństwie do niej, preferował sztuczne, więc popierany przez matkę, tłumacząc się względami ekonomicznymi, już w pierwsze wspólne święta przeforsował plastikowego drapaką nieudolnie udającego zagranicznego iglaka. Za to teraz nie było gadania. Rankiem Broniek wyruszył z siekierą do

lasu i powrócił, wlokąc za sobą dwumetrowy świerk.

– Najładniejszy, jaki znalazłem – oznajmił zadowolony z siebie i zaraz zabrał się do osadzania drzewa na stojaku.

Smakowite zapachy wydobywające się z piekarnika mogły przyprawić o zawrót głowy – oprócz kruchych ciasteczek do pieca trafiły również pierniczki, na które ciasto przygotowała Alicja już miesiąc wcześniej. Ponieważ nikt nie miał czasu gotować, Magda przezornie przywiozła z miasta gotowy zestaw sushi. Rzecz jasna, sytuacja finansowa nie bardzo pozwalała na takie fanaberie, ale przecież nadchodziły święta.

Zofia krzywo zerkała na kolorowe kąski. Nigdy wcześniej nie jadła nic podobnego i dopiero za namową Ali skusiła się na różowitką krewetkę przytwierdzoną do kostki ryżu ciemnym paseczkiem glonów nori. O dziwo przełknęła smakołyk i sięgnęła po kolejny. Alicja natomiast po pierwszym kąsie pozieleniała na twarzy i biegiem rzuciła się do toalety.

– Matko, nie wiem, co się dzieje – stwierdziła po powrocie. – Słaba jestem jak mucha. Nie mogę jeść, bo jedzenie staje mi kołkiem w gardle.

– Twoje wyniki mam w torebce. Weź sobie. Biała koperta na wierzchu.

– Dzięki. A ty jak?

– W porządku. Mam lekką anemię, ale to nic wielkiego. Więcej wątróbki, czerwonego wina i powinno być dobrze.

Magda z obawą przyglądała się przyjaciółce. W ostatnim czasie Alicja dosłownie marniała w oczach.

– Jezus Maria, co ci jest?

Alicja, o ile to możliwe, pobladła jeszcze bardziej. Gdyby nie podłokietniki przy krześle, zapewne osunęłaby się na podłogę. Z przerażeniem wpatrywała się w zadrukowaną kartkę.

– Jesteś chora? – Magda zdenerwowała się nie na żarty.

– Nie jestem chora – wykrztusiła dziewczyna. – Jestem w ciąży.

– Co takiego?!

– Ja nie wiem. Ja naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać.

– Wiesz, tylko jeden sposób przychodzi mi do głowy, więc nie udawaj, że nie wiesz.

– O Boże, to niemożliwe. Ten jeden jedyny raz... Byłam pewna, że to bezpieczne dni!

– Jak widać, takie nie były.

– I co ja teraz zrobię? Niech to szlag! – W głosie Alicji brzmiało

przerażenie. Zrozpaczona ukryła twarz w dłoniach. – Boże, spraw, żeby to był tylko zły sen. Żebym zaraz się obudziła i żeby to nie była prawda. Błagam!

W pierwszym odruchu Magda chciała powiedzieć coś o odpowiedzialności i bezpiecznym seksie, ale w porę ugryzła się w język. Sama miała co nieco na sumieniu i daleko jej było do hipokryzji.

– Trudno. Jakoś sobie z tym poradzimy.

– Ale ja nie chcę! Ja nie chcę nawet o tym słyszeć! – chlipnęła Alicja znad kartki.

Mrugała, ale feralne informacje nie chciały z niej zniknąć. Teraz już wiedziała, dlaczego schudła tak drastycznie i dlaczego tak fatalnie się czuła. Zapewne miliony kobiet na jej miejscu skakałyby z radości, ale jej daleko było do euforii. Potomstwo Krzyśka nie mieściło się w jej planach.

– Nie wygłupiaj się. Damy radę. Niewiele brakowało, a sama byłabym w ciąży. W dodatku nie wiadomo z kim. I co? Dziecko to nie koniec świata.

– Ale praca. Ja przecież muszę pracować.

– A co to przeszkadza w pracy? Nie musisz jeździć. Na lonży konia poprowadzisz. I tak przez większość czasu tylko siedzisz i krzyczysz. Siodłać niech każdy siodła sobie sam. Ty tylko sprawdzisz.

– Tak, ale maluchy nie dosięgną.

– To Bronek ci pomoże. Jest jeszcze Gosia. Chętna do pracy, aż się kurzy. Podszkoli się trochę i śmiało może jeździć z większą grupą w teren. No i przecież jestem jeszcze ja. Może nie jeżdżę zbyt dobrze, ale oprowadzanki z dziećmiakami zrobię. W stajni też pomogę.

– Mówisz tak, jakby problemu nie było – zachnęła się Alicja, zła, że przyjaciółka jej nie rozumie. – Dobrze ci się gada.

– Gada, nie gada. Trzeba mieć plan B. Poza tym jest jeszcze Marek. W razie wielkiej draki też może pomóc. Jeździ doskonale i na pewno nie odmówi pomocy.

– Czy ktoś mnie wzywał? – Zza uchylonych drzwi rozbrzmiał tubalny głos.

– O wilku mowa, a wilk tu – mruknęła Alicja, wyraźnie niezadowolona z nagłego najścia.

Marek starannie otrzepał buty ze śniegu i podniósł z podłogi coś ciężkiego.

– Proszę, to dla was. Na święta. – Położył na kuchennym blacie cztery zające. – Sezon polowań w pełni, więc leśniczy dał. Jest tak zadowolony z postępów córki, że nie może się nachwalić Alicji... – urwał, zauważywszy minorowe miny obu kobiet.

– Coś się stało? Umarł ktoś? Kolejny koń? – zapytał, powoli rozpinając kurtkę.

Magda próbowała naprędce wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, lecz Alicja ubiegła ją niespodziewanie.

– Nikt nie umarł. Wręcz przeciwnie – powiedziała smutno.

– Nie rozumiem?

Marek nie pojął aluzji. Bezradnie popatrywał to na jedną, to na drugą.

– Trudno – westchnęła ciężko Alicja. – Prędzej czy później i tak się dowiesz. Jestem w ciąży.

Mężczyzna drgnął, jakby ktoś go uderzył. Na jego twarzy najpierw odmalowało się niedowierzenie, a potem kolejno bezsilność, rozczarowanie i złość. Odruchowo zacisnął pięści.

– A co na to ojciec dziecka? – wykrztusił, siląc się na obojętny ton.

– Krzysiek o niczym nie wie. I pewnie się nie dowie, bo odjechał w siną dal. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał z nim kontakt – podsumowała Magda. – Przyjdiesz do nas w Wigilię? – zmieniła temat. – Byłoby nam miło.

– Chętnie. Dziękuję za zaproszenie.

Marek wciąż wyglądał na oszołomionego wiadomością. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego. Alicja spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, tymczasem niespodziewanie pojawił się jakiś drań i tak ją omotał, że straciła rozum. A potem wziął nogi za pas i ustąpił pola, pozostawiając po sobie pamiątkę w postaci ciężowego brzucha. Marek był o krok od delikatnego uderzenia w konkury, gdy ten cały zakichany Krzysiek ponownie pokrzyżował mu szyki. Wiedział, że ma w Magdzie poplecznika, ale wiedział też, że na uczucia nie ma rady. Nikogo nie można zmusić do miłości.

– Chętnie przyjdę, ale teraz nic tu po mnie – dodał. – Gdybyście czegoś potrzebowały, jestem do dyspozycji.

– Nie pojechałbyś przypadkiem jutro w teren z dwiema zaawansowanymi grupkami? – wystąpiła z nieoczekiwaną propozycją Alicja. – Ja nie mogę, sam rozumiesz, a Gosia dopiero się uczy i potrzebuje wsparcia kogoś doświadczonego.

– A to nie problem? Mam wszystkie jeździeckie odznaki, ale nie mam uprawnień instruktora.

– Nie ma problemu. Gosia ma. To wystarczy. To żadna filozofia, ona w sumie wie, co robić, ale pewniejsza będzie, gdy kilka razy ktoś ją wesprze. Ja na razie muszę pożegnać się z terenem.

Marek zgodził się ochoczo, bo propozycja właściwie spadła mu jak z nieba. Po pierwsze dostał okazję, by przysłużyć się Alicji, a ona zapewne o tym nie zapomni, a po drugie uwielbiał jeździć konno.

Na koniec zaproponował, że przywiezie jeszcze karpie, ale Magda odmówiła uprzejmie, bo już wcześniej umówiła się z Adamem, że razem pojedą do pobliskiej hodowli. Sąsiad zaprosił dziewczyny na obiad w pierwszy dzień świąt. Wojtek wyjeżdżał na Boże Narodzenie do rodziców do Gdańska, by tam spędzić kilka dni z synami, a ktoś musiał w tym czasie pozostać w Nestorze na posterunku i na miejscu przypilnować interesu. Zwłaszcza że wszystkie pokoje zostały zarezerwowane.

– Cześć. Czy twój kucharz potrafi zrobić cokolwiek z zająca? – Magda strzepnęła z włosów śnieg i wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

Adam siedział w swoim biurze, jak zwykle zakopany po uszy w papierach.

– Z jakiego znowu zająca? – zapytał nieprzytomnie.

– Z normalnego. Właśnie dostałam cztery sztuki i wypadałoby coś z nich zrobić. Tyle że ja nigdy w życiu nie robiłam niczego z zająca. Nigdy nawet nie widziałam z bliska królika, a co dopiero mówić o szaraku.

– Pasztet umie na pewno. A co do reszty, to zaraz ustalimy.

Adam sięgnął do interkomu i połączył się z kuchnią. Jego mina świadczyła, że nie będzie problemu.

– Umie?

– Oczywiście. Robert wszystko umie. A teraz sobie wymyśl, co chcesz. Pasztet, zając na dziko, w śmietanie, po myśliwsku, po burgundzku? A może potrawka?

– Matko, nie wiem, co chcieć. Zdaję się na was, niech kucharz decyduje. Mam te zające na pace, więc niech lepiej ktoś je zabierze, bo za chwilę nie będzie z czego gotować. Takie sztuki to niezły rarytas.

Podręczny biurowy ekspres do kawy był wyłączony, więc Magda poszła do kawiarni.

– Dogadaliście się jakoś? – zapytała po powrocie do biura.

– Tak, będzie pasztet i niespodzianka. Dwa kucharz tylko wybebeszy i zamrozi. Sezon na zające trwa tylko do stycznia, więc przydadzą się nam na Wielkanoc. Masz je od Marka?

– Bardziej od leśniczego – odparła, upijając łyk kawy. – W zamian za drewno na przeszkody uczymy jego córkę jazdy. Dziewczyna to wyjątkowe beztalencie, ale straszliwie ambitna. Zaparła się, że się nauczy, i ćwiczy

ze łzami w oczach. Aż mi jej szkoda.

– Naprawdę tak źle? Przecież to chyba nic trudnego – powiedział Adam, który nigdy nie jeździł konno, choć przez okno nieraz widywał ćwiczących.

– No źle, bo dopiero przy nastęej lekcji mniej więcej załapała, o co chodzi z anglezowaniem, i przestała trzymać się siodła. Ale była taka szczęśliwa, że tatuś aż przysłał w rewanżu zające. To miłe, zwłaszcza kiedy wszystko wokół idzie pod górkę. Non stop jakieś kłopoty.

– Potrzebujesz pomocy?

Adam nie tracił słów. Od razu proponował wsparcie.

– Nie wiem. – Magda spuściła głowę. – Alicja spodziewa się dziecka, więc trochę mi się komplikuje sytuacja kadrowa.

– Ależ to wspaniała wiadomość! Złóż im ode mnie gratulacje. Może teraz jakoś się dogadają.

– To ty nic nie wiesz?

– Czego nie wiem? – Adam uniósł brew.

– Przecież Krzyśka już nie ma. Kilka dni po tamtej awanturze spakował manatki i tyle go widzieliśmy. Ala jest załamana. Co innego, gdyby nosiła dziecko kogoś, kogo kocha i kto kocha ją, a tu nic z tego. Jest ogromnie nieszczęśliwa.

– O choroba, nie miałem pojęcia. Co za gnojek. Nie dość, że ukrywa się przed żoną i dziećmi, to jeszcze zostawia tę biedną dziewczynę z brzuchem. Sukinsyn jakich mało.

– On nic nie wie o ciąży. Nie zdążył się dowiedzieć, bo dał nogę wcześniej. Na odchodnym jeszcze pobił Alę i przepadł. Jego telefon jest wyłączony.

– Biedna dziewczyna. Jak ona to znosi?

– Na razie jest w szoku. To świeża wiadomość, dosłownie sprzed chwili. Do tego okropnie się czuje i wygląda jak zdjęta z krzyża. Ledwie łązi. Naprawdę potrzebuję nowego instruktora do czasu, aż urodzi.

– A ta młoda dziewczyna? Przecież byłaś z niej zadowolona.

– Jest w porządku, bardzo sumienna i nieźle daje sobie radę, ale w maju zdaje maturę, więc nie będzie z niej wielkiego pożytku. Zofię od stycznia przenosimy do domu opieki, zatem i jej pomoc odpadnie. Ech, dobrze, że chociaż idą święta i człowiek może się skupić na czymś przyjemnym.

Magda wróciła do siebie w nieco lepszym nastroju. Ponieważ nie natknęła się na żadnego z domowników, nie zwlekając zamieściła na branżowym portalu ogłoszenie o zatrudnieniu instruktora. Jeszcze jednak nie zdążyła

nacisnąć „wyślij”, gdy pod domem zaparkowała ciężarówka z nowymi oknami, a z szoferki wypakowali się ludzie w granatowych drelichach.

– Przecież mieliście przyjechać piątego stycznia – powiedziała zaskoczona Magda.

– Nic nam na ten temat nie wiadomo. Tu mam zlecenie roboty na dziś. – Szef ekipy podsunął jej pod nos papier.

– Ale ja dzwoniłam do was i ustaliłam inną datę. Kobieta, która odebrała telefon, powiedziała, że zapisała wszystko – tłumaczyła się Magda bezradnie, czując przez skórę, że całkiem niespodziewanie do wieczora będzie miała nowe okna.

– Aaa, taaa... Nie, ona już u nas nie pracuje. Szef ją wywalił. Głupia była, więc pewnie przyjęła zlecenie, ale coś pomyliła. To co robimy? – zniecierpliwili się mężczyźni.

Nie było na co czekać – skoro okna były na miejscu, a ekipa gotowa do pracy, Magda machnęła ręką na przedświątecznie wysprzątane pokoje. Prezent pod choinkę dobry jak każdy inny, pomyślała, a co? Problemem były jedynie pieniądze, ponieważ do tej pory wpłaciła tylko zaliczkę, a w domu nie miała gotówki. Zaproponowała przelew, ale stanowisko drugiej strony okazało się nieugięte. Zero przelewów.

– Matko, przy panu zrobię przelew i wyślę mejlem potwierdzenie. To mało?

– Nic z tego. Bez gotówki na koncie nie możemy robić. Szef by mnie obdarł ze skóry, a ja dopiero co zacząłem pracę.

Magdzie nie chciało się dłużej tłumaczyć, że potwierdzenie przelewu jest właśnie po to, żeby szef nie musiał bawić się w oprawcę. Wzięła kluczyki i pojechała do Pieniek, do bankomatu. Oczywiście nie działa, stwierdziła i zniechęcona wróciła do domu. W odwodzie pozostał jej Nestor. W tak dużym hotelu ktoś musiał płacić gotówką.

Nie myliła się.

– Od czego są sąsiedzi? – Adam z uśmiechem wręczył jej plik banknotów.

– Oddam jutro, jak tylko znajdę gdzieś w okolicy jakiś działający bankomat. Albo jeszcze dziś zrobię przelew.

– Rób, jak ci wygodnie. Aha, i pamiętaj, że jutro jedziemy po karpie.

Adam serdecznie uściskał Magdę i odprowadził ją wzrokiem.

Od dawna podziwiał upór i determinację tej niepozornej kobiety. Niejeden na jej miejscu poddałby się już dawno, a ona nieustannie parła naprzód, ryzykując wiele.



Jeżeli nie uda jej się dotrzeć do letniego sezonu, może być naprawdę źle, pomyślał. Przedsięwzięcie od dawna wisi na włosku, a na dodatek bez przerwy pojawiają się nieprzewidziane przeszkody i utrudnienia. Na szczęście pensjonat dla koni cieszy się wzięciem i daje poczucie skromnej stabilizacji, bo inaczej Magda mogłaby złożyć broń i odpuścić sobie rozwój stadniny. A teraz jeszcze ta ciąża Alicji. Nie można jej przecież zostawić na lodzie – z dzieckiem, bez pracy, bez środków do życia i na dokładkę z sercem pogruchotanym na kawałki.

W domu Magda zastała zapłakaną Alicję. Przyjaciółka siedziała przy kuchennym stole i chlipała nad talerzem płatków owsianych.

– Nie rycz. Szkoda oczu.

– Takaś mądra? To nie ciebie facet wystawił rufą do wiatru.

– Ale niewiele brakowało, żeby było jeszcze gorzej. Więc sobie daruj i przestań się mazać.

– Taaa, jasne – pisnęła Ala i głośno wysmarkała nos.

– Dziecko to jeszcze nie koniec świata. Nie żyjemy w średniowieczu i nikt cię za to nie pośle na stos. Dziś panna z dzieckiem to nic wielkiego, nawet na wsi. Damy radę, zobaczysz. – Magda przysunęła sobie taboret i ramieniem objęła zrozpaczoną dziewczynę. – Nie płacz, pomyśl o oczach. Tylko spuchną i rano będziesz wyglądała jak sterany życiem żółw. Nie warto.

– Ale ja go nie chcę! – Alicja poderwała się z krzesła.

– Przestań, bo przykro cię słuchać. Za rok nie będziesz potrafiła sobie wyobrazić życia bez tego dziecka, więc nie chrzań mi tu głupot i idź spać! Zrozumiano?

– Ja go nienawidzę, tak jak jego ojca!

– A ja ci mówię, że jeszcze wspomnisz moje słowa. Mogę się nawet założyć.

– Nie chcę! – Ala rozmazała na twarzy czarną maskarę.

– Na razie to się uspokój.

– Ale ci goście od okien napaprali wszędzie i trzeba posprzątać.

Alicja najwyraźniej szukała zajęcia dla rąk. Wzięła się za zmywanie.

– Idź się umyj i do spania – zakomenderowała Magda stanowczo. – Posprzątam jutro. A ty ochłoń przez kilka dni, prześpij się z tym. Pomyśl – tłumaczyła cierpliwie, choć sama potrzebowała dystansu i spokoju myśli.

Cała ta sytuacja skutecznie wytrąciła ją z równowagi. Zupełnie jakbym miała mało własnych problemów, westchnęła, wzięła wiaderko na mleko i poszła do

stajni. Miała nadzieję, że wcześniejsza nauka nie poszła w las i że przy tak monotonnej czynności jak dojenie będzie mogła przez chwilę podumać w ciszy. Minęła wszystkie boksy z końmi, poczochnęła kuca po grzywie, niestety zamiast Carmen zastała pusty boks. Odstawiła wiadro i pełna złych przeczuć wypadła na zewnątrz. Obiegła stajnię i jak wryta stanęła w pół kroku.

– O matko święta... – szepnęła.

A później parsknęła niepohamowanym śmiechem.

Jej oczom ukazał się widok niespotykany – truchtająca rączo po zaśniewanym maneużu łaciata krowa. Zofia pewnie trzymała się w siodle i tylko od czasu do czasu pokrzykiwała jak kowboj, żeby zachęcić Carmen do współpracy.

– Yeah! No, dawaj! Yeah! Wio!

Była w swoim żywiole.

– Daj już spokój, Zofio! Trzeba ją wydoić! – zawołała Magda, prawie turlając się ze śmiechu.

Staruszka wstrzymała wodze i wprawnie wyhamowała. Krowa przeszła z kłusa w stępa i dostojnym krokiem posłusznie zawróciła do stajni.

– Nieźle, nieźle – mruknęła Zofia.

Jak na swoje lata zgrabnie zeskoczyła z siodła.

– Wspaniale – pochwaliła ją Magda. – Tylko pamiętaj, żeby ją przed każdą jazdą wydoić porządnie. Żeby jej się wymiona za bardzo nie majtały. Dobrze?

Zofia kiwnęła głową, odprowadziła krowę do boksu i przystawiła sobie stołeczek.

## Rozdział 16

Dzień przed wigilią świąteczne przygotowania weszły w fazę krytyczną. Zewsząd, dosłownie z każdego kąta domu, wypełzały aromatyczne wonie. A Magda co rusz zagłębiała się w coraz to nowe przepisy. Nigdy wcześniej samodzielnie nie szykowała świąt, więc teraz za wszelką cenę chciała się wykazać. Już po raz drugi zmieliła mak w staromodnej maszynie i rozmasowała obolałą rękę. Oprócz klusek z makiem zamarzyły jej się jeszcze własnoręcznie zrobione makowce, ale że Zofia właśnie zapomniała o bożym świecie i ponownie cofnęła się w czasie w ostatnie półwiecze, pozostawała wyłącznie książka kucharska. Na pomoc Alicji nie za bardzo można było liczyć, bo załamana dziewczyna tylko szukała okazji, żeby zaszyć się w swoim pokoju i w ciszy lizać rany. Zamiast pomalutku akceptować sytuację, z dnia na dzień złościła się coraz bardziej, rozbudzając w sobie jeszcze większą nienawiść do Krzysztofa i do dziecka. Chwilami Magda obawiała się, że Ala zrobi coś głupiego, ale ta uparcie odmawiała rozmowy. Dopiero gdy padł pomysł oddania dziecka do adopcji, ożywiła się nieco. Podstępna inicjatywa Magdy spotkała się z zaskakująco dobrym przyjęciem, a dziewczyna doszła do wniosku, że jeszcze nie wszystko stracone i że taki plan całkiem jej się podoba. Pozbycie się dziecka bez usuwania ciąży, przy jednoczesnym uszczęśliwieniu bezdzietnej nieszczęśliwej pary, okazało się salomonowym rozwiązaniem. Alicja z godziny na godzinę odzyskiwała chęć życia, choć czuła się źle, a wszechobecne zapachy były dla niej nie do zniesienia. Ostatnio żywiła się wyłącznie kiszonymi ogórkami i chrzanem, więc Magda wyszła naprzeciw tym potrzebom i postanowiła przyrządzić na święta chrzan według rodzinnego przepisu.

Jako że miał on sam w sobie właściwości konserwujące i nawet w przerobionej formie trzymał się długo, od razu kupiła większą ilość. Tym razem darowała sobie własnoręczne tarcie chrzanowych korzeni i nabyła główny składnik w słoikach. Korzystając z tego, że Alicja właśnie weszła do

kuchni, wręczyła jej spore sitko o gęstych oczkach i kazała wyłożyć na nie zawartość. Według przepisu chrzan trzeba było porządnie odcisnąć, więc Ala namęczyła się trochę, zanim udało jej się utoczyć prawie pół litra zbędnego płynu. Co chwila wybiegała na zewnątrz, żeby przewietrzyć zażawione oczy.

– Co dalej? – zapytała, zadowolona, że wreszcie może się przydać.

– Trzeba rozdrobnić jajka na twardo. Weź sześć sztuk. Reszty na razie nie ruszaj, bo to do sałatki i sosu tatarskiego – zarządziła Magda, podsuwając garnek z ostudzonymi jajkami. – Obierz wszystkie.

– Wszystkie? Przecież jest ich tutaj ze trzydzieści!

– A zamierzasz je wcinać ze skorupką? Wszystkie. To łatwa robota, więc nie wydziwiaj. A chrzan przełóż do miski. Dodaj trochę cukru i odrobinę soli. Jak dodasz jajka, to na koniec jeszcze śmietana. I to wszystko.

– Matko, jak ja nie lubię kroić jajek. Nigdy równo nie wychodzi i zawsze mi się to przekłete żółtko rozleci.

– To załatw je tłuczkiem – skwitowała Magda wzruszeniem ramion.

– Do mięsa?

Wystarczyło, że dziewczyny wyobraziły sobie kuchnię po potraktowaniu jajek tłuczkiem do mięsa, a obie jednocześnie ryknęły śmiechem. Magda przez łzy wykrztusiła, że chodziło jej o tłuczek do ziemniaków, i wyszła z kuchni, żeby uspokoić rozedrganą przeponę. Ala nie przestawała się śmiać. Należy to chyba potraktować jak dobry znak, stwierdziła Magda. W końcu nieraz w Boże Narodzenie ludziom przytrafiają się cuda...

Do wieczora chrzan był gotowy, podobnie jak jarzyny ugotowane na tradycyjną sałatkę. Owa sałatka, wyłącznie polski wynalazek, była daniem obowiązkowym w każde święta, w absolutnie każdym polskim domu. To nic, że każdy przyrządzał ją inaczej i można było iść o zakład, że jak kraj długi i szeroki nie ma dwóch identycznych. Bez sałatki po prostu nie było świąt.

– Niezły patent z tym tłuczkiem do ziemniaków. Sama to wymyśliłaś? – zapytała Alicja z uznaniem, gdy w minutę idealnie rozdrobniła ponad dwadzieścia jaj.

– Sama. Kiedy w dzieciństwie pomagałam przy sałatce, to mama i babcia zawsze mi mówiły, że siekam za grubo. No to kiedyś się wściekałam i postanowiłam, że w następne święta oszczędzę lakier na paznokciach i potraktuję te przekłete jajka sposobem. No i się udało. Ogórki też źle mi wychodziły, więc po kryjomu używałam rozdrabniacza. Teraz sprzętu nie mamy, więc trzeba tradycyjnie.

Alicja dodała do chrzanu wszystkie składniki i wymieszała dokładnie.

– Taki ma być? – Wyciągnęła w stronę Magdy pełną łyżkę.

– Chyba tak. Zostaw to w spokoju, niech się przegryzie. A teraz, jeśli dasz radę, bierz się za kiszone ogórki do sałatki.

Magda poszła do spizarni, przyniosła kilka sztuk niezastąpionej szarej renety i zabrała się za śledzia w sałatce. Niespecjalnie przepadała za śledziami, ale też nie wyobrażała sobie bez nich wigilii. Niestety, nie mogła tu liczyć na przyjaciółkę, bo ta już na sam widok słoika pobiegła do toalety.

Magda przez nowiutkie okno rzuciła okiem na zewnątrz, na grupkę jeźdźców, którzy pod wodzą Marka i Gosi właśnie wrócili z terenu. Rozradowane miny świadczyły, że wypad się udał i wszystko poszło bez zgrzytów. Roześmiani pasjonaci konnej jazdy wkrótce zniknęli w stajni i dopiero gdy wszyscy rozsiodłali i wyczyścili konie, Marek pożegnał się z napuszoną jak paw Gosią. Druga wyprawa w teren, którą poprowadziła właściwie samodzielnie, napawała dumą świeżo upieczoną instruktorkę, więc pochwała od uczestników, w tym od kogoś tak doświadczonego jak Marek, była dla niej bezcenna. Dziewczyna złożyła wszystkim świąteczne życzenia i pojechała do domu.

Marek tym razem nie chciał wchodzić, tylko przez próg zameldował, że wszystko przebiegło gładko, po czym również odjechał w swoją stronę. Jutrzejsza wigilia w stadninie była przewidziana na siedemnastą, więc teraz śpieszył się do miasta, żeby kupić domownikom coś pod choinkę. Z Magdą nie miał problemu, bo tu wystarczyła wizyta w sklepie jeździeckim, gdzie nabył elegancką szpicrutę i ładne jeździeckie rękawiczki. Ten sam zestaw pragnął sprezentować Alicji, ale ona miała już wszystkie jeździeckie akcesoria, więc udał się do perfumerii, gdzie od progu zwyczajnie zgłupiał od nadmiaru woni, kolorów i rodzajów tego czegoś, o czym nie miał pojęcia, do czego służy. Już miał się wycofać z zatłoczonego sklepu, gdy wpadł w szpony profesjonalnej ekspedientki, która wybrała odpowiednie perfumy. Zadowolony z zakupów wstąpił jeszcze do księgarni po książki dla Zofii i Adama, i zmęczony z radością wycofał auto z zapchanego parkingu. Odkąd na stałe zamieszkał w lesie, wizyty w takich miejscach jak centra handlowe męczyły go niezmiernie, więc nie wiedzieć kiedy zaczął omijać je szerokim łukiem. Przez myśl przeszło mu wprawdzie, żeby dodatkowo sprezentować Zdzychowi na święta czteropak piwa, ale rozmyślił się natychmiast. Bez sensu kusić los i jeszcze narażać się na złość Magdy, stwierdził.

– Czy wszystko już mamy? – Zmęczona Alicja opadła na krzesło.

Aromat bulgocącego w garnku cebulowego wywaru do karpia po żydowsku na szczęście przestał jej przeszkadzać i mogła spokojnie zająć się obieraniem ze skórki zblanszowanych migdałów. Dodane na samym końcu, wraz z parzonymi rodzynkami, do słodkawej galarety z karpem niesamowicie podnosiły smak całości.

– Wygląda na to, że tak. Na jutro została mi już tylko ryba. Możesz się pomodlić, żeby galareta na karpie dobrze się zsiadła. Nigdy nie robiłam tego samodzielnie, ale widziałam w akcji moją mamę. Zawsze miała z tym problem, bo albo jej wychodziła za rzadka, albo tak sztywna, że stado kotów mogłoby się przespacerować.

– Wyprasowałam już ten duży biały obrus – zameldowała Ala. – Kiedy ubieramy choinkę? Dziś czy jutro?

– Jeżeli starczy mi sił, to dziś wieczorem. A jak nie, to jutro. Na razie mam z naszą choinką mały dylemacik, bo nie wiem, gdzie ją postawić.

Teoretycznie wypadałoby umieścić drzewko w salonie i tam urządzić wigilijną wieczerzę, ale Magda nie lubiła tego pokoju od samego początku. Ciemne i ciężkie rustykalne meble działały na nią przygnębiająco, a okna wychodzące na północ i dodatkowo zacienione przez drzewa sprawiały, że zawsze było w nim ciemno. Na szczęście salon oddzielała od kuchni jedynie cienka ścianka działowa, więc dość szybko powstał plan docelowego połączenia tych dwóch pomieszczeń w jedno, zwłaszcza że jak dotąd nikt nie korzystał z ponurego pokoju, za to wszyscy zawsze chętnie zbierali się w wielkiej kuchni. Oczami wyobraźni Magda widziała całość po remoncie, ale na razie musiała przesunąć wizję przebudowy na nieokreślony bliżej czas.

Wigilia miała jednak swoje prawa i powinna odbyć się w możliwie najbardziej uroczystych okolicznościach. Samą wieczerzę w odpychającym salonie od biedy można byłoby przeżyć, ale Magdzie zrobiło się żal choinki, z której w tamtym miejscu nie byłoby żadnego pożytku. Odłożyła na chwilę nóż i sprawdziła, czy okazały drewniany stół przejdzie przez drzwi. Po krótkich oględzinach uznała, że powinno się udać, i podjęła decyzję.

– Słuchaj, leć do stajni i powiedz Bronkowi, żeby przyniósł choinkę ze stodoły – powiedziała do Ali. – Przy okazji niech weźmie trochę siana na stół. Sprawdź też, co robi Zofia. I niech tu przyjdzie Zdzichu.

Chciała jeszcze zagonić przyjaciółkę do kurnika, ale stwierdziła, że chodzenie po drabinie w jej stanie nie jest dobrym pomysłem. Postanowiła, że

później sama odbierze kurom jajka. Na razie ważniejsze były choinka i stół. Wyglądało na to, że wszystko spokojnie zmieści się w kuchni, pod warunkiem że na tę okoliczność wyniesie się stary podręczny stół. W końcu to właśnie kuchnia była sercem tego domu i Magda nie widziała powodu, żeby dla bliżej nieokreślonej idei w tak radosnym dniu męczyć się w salonie.

– Bronek! Nie tam! Tutaj wnieście! – dyrygowała.

Stajennym ledwie udało się wycelować ciężkim dębowym stołem w drzwi do kuchni. Zanosił się na to, że zaraz się zaklinują i utkną w nich na zawsze, ale wszystko przeszło o włos. Kilka centymetrów mniej, a cała akcja zakończyłaby się niepowodzeniem. Spoceni mężczyźni ustawili wszystko zgodnie z zaleceniami gospodyni i nawet oni uznali, że to dobry pomysł.

– Niech się pani nie gniewa, ale tamten pokój wygląda jak jakaś trupiarnia. Za to tutaj jest git! – podsumował Bronek i zaproponował, że przyniesie z lasu kilka świerkowych gałązek, żeby zamaskować brak parapetu i udekorować kuchnię.

Pomysł był świetny, bo tanim kosztem udało się przykryć mankamenty i jeszcze bardziej zaakcentować świąteczną atmosferę. Choinka bez problemu zmieściła się w kącie i nie zawadzając nikomu, mogła sobie sterczeć tam spokojnie aż do Matki Boskiej Gromnicznej. Dębowy stół stanął pośrodku, a zaradny stajenny przyniósł jeszcze sześć krzeseł do kompletu. Wybiegł na zewnątrz i powrócił z ogromną zieloną jemiolą.

– To dla was, do całowania. – Mrugnął figlarnie i zabrał się do wieszania zdobyczy.

– Taaa, ciekawe, z kim? – burknęła Alicja i poszła do siebie.

– No i gra! – Chłopak, kompletnie nieobeznany z sytuacją i międzyludzkimi relacjami, cieszył się jak dziecko. Jemiola dumnie zawisała nad drzwiami. – Dla mnie bomba!

– Wspaniale. – Magda z satysfakcją obrzuciła wzrokiem kuchnię w nowym wydaniu. – No, dobra robota. Dziękuję. Jutro po pracy zapraszam na... – urwała w pół zdania i pacnęła się dłonią w czoło. – Jezus Maria! Ja nie mam opłatka! Na śmierć zapomniałam. Skąd się tutaj bierze opłatki? – zwróciła się do Bronka.

Do tej pory ta kwestia nigdy jej nie zajmowała, należała bowiem do obowiązków handlującej dewocjonaliami Leontyny.

– No, z kościoła się bierze. Proboszcz pewnie jeszcze ma. Może pani do niego pojechać.

– Dobra. Skończyliście już? Odwiozę was do Pieniek i wstąpię na plebanię. Może mnie proboszcz nie prześwięci za niechodzenie do kościoła.

Zbliżała się dopiero osiemnasta, więc nie było jeszcze zbyt późno na to, żeby zawracać księdzu głowę. Proboszcza wprawdzie nie było, na szczęście otworzył wikary. Magda wysupłała z portfela dwadzieścia złotych, ale spotkała się z odmową przyjęcia pieniędzy, więc zwinęła banknot w rulonik i wsunęła go do kieszeni, a po drodze wstąpiła do kościoła i wrzuciła pieniądze do znajdującej się w kruchcie skarbonki. Przez ramię zerknęła w stronę ołtarza.

W głównej nawie panowały nastrojowe ciemności. Odruchowo pchnęła wahadłowe drzwi, weszła do środka i od progu poczuła nieco zwietrzały aromat palonych kadzideł, przemieszany z zapachem stęchlizny i świeżej żywicy. Wewnątrz niczym niezmacona cisza aż dzwoniła w uszach. Magda słyszała bicie własnego serca. Miała wrażenie, że jej oddech i kroki stłumione na dywanowym chodniku wywołują spotęgowane przestrzenią echo. Mrok rozświetlało jedynie światełko Najświętszego Sakramentu i kilkanaście słabych żarówek zamontowanych pod dachem dopiero co ustawionej szopki.

Oczarowana pięknem i atmosferą symbolicznej dekoracji, Magda podeszła bliżej i przykłękała na starym klęczniku. Jeszcze nigdy nie widziała czegoś podobnego – drewniane figury naturalnych rozmiarów zostały oddane z zadziwiającą maestrią; ich autor musiał być nadzwyczaj utalentowany. Nie dość, że idealnie udało mu się odwzorować cechy charakterystyczne poszczególnych postaci, to jeszcze po mistrzowsku uchwycił ich ruch i gesty. Tak dynamicznie, że postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, iż królowie za chwilę pokłonią się i złożą Dzieciątku dary, a zwierzęta ożyją i zaintrygowane podejną do żłobu.

Z przyjemnością chłoneła specyficzną magię miejsca. W końcu znalazła azyl, w którym mogła się skupić i po swojemu porozmawiać z Bogiem. Wiedziała, że zaniedbuje chrześcijańskie obowiązki, ale też, pomna niedawnej rozmowy z księdzem, czuła się rozgrzeszona – pomimo kłopotów i przeciwności losu starała się być dobrym człowiekiem, choć nie pamiętała już, kiedy spokojnie usnęła z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. A może zawiesiłam poprzeczkę zbyt wysoko?, pomyślała. Do tej pory nie brała tego pod uwagę, ale też nie miała nikogo, z kim mogłaby o tym szczerze porozmawiać.

Odwróciła głowę i zerknęła w stronę konfesjonałów. Oba były puste, a ona



nie chciała zawracać głowy wikaremu. Pewnie w adwencie dość już nasłuchał się ludzkich grzechów, stwierdziła. Tknięta impulsem podeszła do konfesjonału i dotknęła zwisającej stuły. Sama nie wiedziała, kiedy uklękła. Cytując formułkę, skutecznie zakutą do pierwszej komunii, zrobiła rachunek sumienia, a później osobiście zadała sobie odpowiednią pokutę. Na koniec zastukała w drewnianą azurową ściankę, podniosła się z kolan i ucałowała stułę.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen – wyrecytowała z przejęciem i ruszyła do wyjścia.

Czuła coś graniczącego z uniesieniem. Spłynął na nią błogi spokój i w jednej chwili zrobiło się jej lekko na duszy. Nie mogła się doczekać, kiedy dokończy świąteczne przygotowania. Pomimo że w mijającym roku straciła całe swoje dotychczasowe życie, jakimś cudem zyskała nowe. Być może sto razy lepsze. Następnego dnia miała gościć u siebie wyłącznie przyjaciół. Przy wigilijnym stole nie spodziewała się dobrze znanego sobie sztwywniactwa, hipokryzji i zakłamania. Wszystko wskazywało, że tego dnia będzie uczestniczką najpiękniejszej wigilii w swoim życiu.

– Co jest?!

Magda niemal uderzyła czołem o zamknięte drzwi.

Raz jeszcze szarpnęła za ogromną rzeźbioną klamkę znajdującą się na wysokości jej brody i napała na masywne kościelne wrota. Nic. Ciężkie drzwi ani drgnęły. Najwyraźniej ktoś zamknął kościół na noc, więc teraz mogła ile wlezie mocować się z oporną materią. Na szczęście wymacała w kieszeni kurtki telefon. Jestem uratowana, pomyślała.

Odblokowała dotykowy ekran i zastanowiła się, co dalej. Do kogo zadzwonić? Nie miała numeru na plebanię, Alicja nie miała jak dojechać, a kontakt do Marka znikł z komórki w tajemniczy sposób, mimo że Magda dałaby sobie rękę uciąć, że zapisywała go w pamięci. W końcu postanowiła zadzwonić do Adama. Było jej trochę głupio, że niepokoi go ponownie, ale nie miała innego wyjścia. Mogła albo poprosić o wybawienie, albo spędzić przedświąteczną noc w ciemnej, nieogrzewanej świątyni.

Wybrała numer, ale połączenie się nie powiodło. W kościele nie było zasięgu; grube, stare mury skutecznie uniemożliwiały łączność ze światem. Magda spróbowała w każdym kącie kościoła, ale nie zanotowała sukcesu. Z uwagi na miejsce i wcześniejszą „spowiedź” w ostatniej chwili powstrzymała cisnące się na usta soczyste przekleństwa – wyglądało na to, że

chyba jednak ziści się opcja przymusowego noclegu.

Gdybym jeszcze zaparkowała przed kościołem albo przynajmniej przed plebanią, możliwe, że ktoś wpadłby na pomysł poszukania mnie tutaj, pomyślała. Jednak na własne nieszczęście zostawiła samochód przed sklepem, bo miała jeszcze w planach drobne zakupy. Krzyków i walenia w drzwi i tak nikt by nie usłyszał, więc Magda postanowiła zrobić coś, co przykuje uwagę kogokolwiek na zewnątrz.

Przyświecając sobie komórką, poszła do zakrystii, gdzie odkryła zapas wina i opłatków, ale za nic nie mogła natrafić na główny wyłącznik światła. Chciała oświetlić świątynię jak bożonarodzeniową choinkę, lecz nic z tego nie wyszło. Ostatnie wyjście awaryjne, czyli gra na kilkusetletnich organach, którą usłyszano by dwie wsie dalej, również odpadło. Nie dość, że wycieczka stromymi schodkami na chór omal nie zakończyła się upadkiem, to jeszcze Magda nie potrafiłaby ich obsłużyć.

– No i co ja mam teraz zrobić? – powiedziała do siebie.

Westchnęła z rezygnacją i przysiadła w ławce. Zadarła głowę do góry – w witrażach pod sufitem od czasu do czasu błąkały się słabe błyski światła przejeżdżających samochodów, ale do środka nie przedostawał się żaden dźwięk. Żołądek z nerwów miała zwinięty w supeł. W świątyni nic jej nie groziło, lecz była pewna, że mniej więcej za godzinę Alicja odkryje jej przedłużającą się nieobecność i zacznie się niepokoić. Nie będzie mogła się dodzwonić i do północy narobi rabanu na całą gminę.

Scenariusz wydarzeń wydawał się oczywisty: odnalezienie pikapa, którego ciężko raczej nie zauważyć, następnie uruchomienie Bronka, być może wizyta u księdza. A potem rozpęta się piekło, dopóki rano kościelny nie przyjdzie dokończyć dekorowania choinki przy ołtarzu.

Na zewnątrz panował mróz, wychłodzone kościelne mury nie dawały wiele ciepła. Tyle że w środku nie wiało. W nieogrzewanej świątyni panował przenikliwy chłód, więc Magda po samą brodę zasunęła suwak w puchowym płaszczyku i włożyła rękawiczki. Nie mając wyjścia, postanowiła poszukać jakiegoś miejsca, które nadawałoby się do snu. A że w całym kościele nie znalazła niczego, czym mogłaby dodatkowo się przykryć, wybór padł na szopkę; ułożono tam całkiem sporo siana, które od biedy mogło posłużyć za poślanie. Zawsze to lepsze niż twarda drewniana ławka, pomyślała Magda.

Nikłe światełko dawało złudne poczucie ciepła. Nieco speszona weszła do szopki.

– No dobra, kochani – powiedziała. – Na dzisiejszą noc macie dodatkowego pastuszka. – Puściła oko do świętego Józefa i wygodnie umościła się na sianie.

Raz jeszcze sprawdziła zasięg i wybrała numer do Adama. Bezskutecznie.

Minuty spędzone w kościelnej ciszy dłużyły się nadzwyczajnie. Magda natychmiast zamknęła oczy, świadoma, że gdy bardziej zmarznie, nie zaśnie na pewno. Legowisko na sianie było wprawdzie o wiele bardziej komfortowe niż choćby karimata, ale zdenerwowanie nie pozwalało nawet na drzemkę. Zaciskała oczy, ale mimo wysiłków sen nie nadchodził. A na domiar złego zachciało się jej pić. Przed oczami natychmiast stanął jej widok mszalnego wina w zakrystii, więc otrzepała się z siana i truchcikiem pobiegła gdzie trzeba.

Uznała, że uszczerbek w postaci jednej butelki nie uczyni problemu. Następnego dnia odkupię i będzie po sprawie, stwierdziła. Komórka zapiszczała, sygnalizując, że wyczerpuje się bateria, więc Magda wyłączyła energożerną latarkę i niemal na oślep poszukała korkociągu; na szczęście leżał w pierwszej z brzegu szufladzie. Z lekkim pyknięciem odkorkowała butelkę i powróciła do szopki. Przemknęło jej jeszcze przez głowę, żeby wziąć z zakrystii jakiś ornat do przykrycia, ale po krótkim namyśle odrzuciła tę myśl, uznając, że byłoby to nadużycie.

– To jakiś koniec świata. Przecież takie rzeczy nie przytrafiają się normalnym ludziom – wymamrotała pod nosem i skosztowała wina.

Dotąd była pewna, że wino mszalne jest jakieś specjalne i wyjątkowe, tymczasem okazało się jak najbardziej zwyczajnym półwytrawnym białym winem. Magda nie przepadała za takim, ale na bezrybiu i rak ryba, doszła do wniosku. Za wszelką cenę pragnęła uspokoić się i usnąć jak najszybciej, choć z drugiej strony nie chciała za dużo pić, bo w starym kościele nie było toalety. Jakoś musiała dotrzeć do chwili, aż ktoś ją odnajdzie. Miała tylko nadzieję, że nie stanie się to dopiero przy okazji pasterki. Tyle to żaden człowiek nie wytrzyma o samym białym winie i opłatkach, pomyślała ponuro.

– O Panienko Przenajświętsza! Co pani tu robi, tak się nie godzi!

Kościelny przecierał oczy ze zdumienia. Żył na tym świecie już siedemdziesiąt lat, ale czegoś podobnego jeszcze nie widział. W szopce, obok żłóbka, obudzona przez niego kobieta rozglądała się nieprzytomnie.

– Że jak? Co się... Co pan...? – wybąkała Magda, zanim ponownie dotarło do niej, gdzie jest i co się stało. – Ekhm – odchrząknęła. – Dzień dobry. Czy to

pan mnie zamknął wczoraj wieczorem?

– O Matko Jezusowa! Jak to się mogło stać? – Przejęty mężczyzna chwycił się za serce.

– Normalnie. Przyszłam się pomodlić. Byłam na plebanii po opłatki. – Magda głową wskazała na pustą folię i kolorową papierową banderolę. – A teraz muszę iść po następne – oznajmiła.

Wstała i otrzepawszy się z siana, sięgnęła po napoczętą butelkę z winem.

– Proszę się nie martwić, odkupię – dodała.

Wybiegła na zewnątrz, pozostawiając kościelnego w całkowitym osłupieniu.

Po pierwsze zastukała do drzwi plebanii, żeby wyjaśnić wszystko księdzu, rozliczyć się za wino i skorzystać z toalety. Wikary omal nie pękł ze śmiechu, pobłogosławił ją na do widzenia i wręczył gratisowo kolejne opłatki.

Magda darowała sobie zakupy i od razu pojechała do domu, przekonana, że Alicja odchodzi od zmysłów.

– Rany boskie! – Przed dom wybiegł wzburzony do granic Adam. – Gdzieś ty była przez całą noc?! Zwariowałaś?! – wrzasnął.

– Byłam w kościele – odparła spokojnie, zgodnie z prawdą.

– Robisz sobie jaja czy jak? My tu od wczoraj poruszamy niebo i ziemię!

– Mówię prawdę.

– Matko, jak dobrze, że żyjesz! – Wzruszona Ala zawisła cudownie ocalonej na szyi.

– Wczoraj wieczorem weszłam do kościoła, a kościelny mnie zamknął i dopiero dziś rano wypuścił – wyjaśniła Magda.

– Mogłaś przynajmniej zadzwonić – ofuknął ją Marek.

Na okoliczność zaginięcia przyjaciółki Alicja postawiła wszystkich na równe nogi.

– Oczywiście, geniuszu. Gdybym tylko miała zasięg. Myślisz, że miło nocuje się w szopce, w zimnym kościele? O mszalnym winie i opłatkach?

– Zakosiłaś księdzu wino? – Adam spojrział z niedowierzaniem i sięgnął po telefon.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu? Gdzie dzwonicz?

– Na policję. Muszę ich odwołać. Wszyscy myśleliśmy, że zostałaś porwana. Twoje auto zaparkowane pod sklepem namierzaliśmy w kwadrans. Ciekawe, jak ty byś wytłumaczyła takie zniknięcie?

– No, fakt – przyznała Magda niechętnie. – Dziękuję wam. Naprawdę,

jesteście kochani. Nigdy w życiu nie miałam takich przyjaciół – wykrztusiła przez ściśnięte gardło i uściskała każdego z osobna.

– A co z chłopakami ze stajni? Nie trzeba po nich jechać? – zapytała w drodze do łazienki.

Mimo wszystko w nocy trochę zmarzła i teraz marzyła o gorącej kąpieli.

– Nie, nie trzeba. Marek ich przywiózł – powiedział Adam, który nareszcie dodzwonił się na policję. Z ulgą odwołał zgłoszenie. – Zaczekaj, masz siano we włosach.

– Tak to bywa, gdy się sypia w szopkach. Nawet nie wiesz, jak wymarłam – roześmiała się Magda.

– Cóż, na własnej skórze poczułaś magię mroźnych świąt.

– Co ty powiesz? – Dziewczynie na dobre wrócił dobry humor. – Nie wiedziałam, że oni tam w Jerozolimie miewają mrozy – podsumowała wesoło i poszła wziąć długą, gorącą kąpiel.

## Rozdział 17

Masz szczęście, że to ja pojechałam do sklepu.

Alicja postawiła na kuchennym blacie siatkę z ostatnimi świątecznymi zakupami.

– A co? – zdziwiła się Magda. Właśnie kończyła ubieranie choinki. Nie dysponowała wieloma ozdobami, więc puste miejsca uzupełniła kokardami z szerokiej wstążki do włosów, którą znalazła w szafie babci Feli. – Kupiłaś pomarańcze? – zainteresowała się.

– Kupiłam. Ale ja nie o tym. Nie uwierzysz. Cała wieś aż huczy, że masz romans z wikarym.

– Kurde, co? – Magdę przytknęło.

– No a co ty sobie myślisz? Samochód całą noc stał pod sklepem, a sklepowa widziała, jak wieczorem szłaś do księdza. A na dodatek rano widziała, gdy jak szalona wybiegłaś z plebanii. Proboszcza tej nocy nie było, bo pojechał na święta do rodziny, a gosposia miała wolne. Logiczne – noc spędziłaś z wikarym. Nieźle, co?

– Mam nadzieję, że wyjaśniłaś, że ostatniej nocy osobiście obcowałam ze Świętą Rodziną i razem celebrowaliśmy narodziny małego Jezuska?

– Spoko, wyjaśniłam wszystko. Ale żebyś widziała minę Zygmuntovej. Oj, jaka ta rajfura ze sklepu była niepoczyszona. Tej pindzie wydawało się, że skoro was nakryła, to jej towarzyskie notowania wzrosną. A tu zwyczajny głupi zbieg okoliczności.

– Ciekawe, że tej wścibskiej babie jakoś umknęły wasze poszukiwania.

– Prawda. Ale wtedy miała zamknięte i słodko spała. Zresztą tym romanssem już nie musisz się martwić. Teraz dla odmiany cała wieś się z ciebie śmieje, bo sklepowa opowiada o tobie każdemu, kto przychodzi po zakupy.

Magda w milczeniu wywróciła oczami. Z dwojga złego wolała przez chwilę rolę lokalnego pośmiewiska niż posądzenie o spółkowanie z duchownym.

– Cholerna wiocha – mruknęła pod nosem i zabrała się do krojenia

pomarańczy na plasterki.

Planowała podsuszyć je w piekarniku i później zawiesić na choince. Aromatyczne i rumiane plastry w nadchodzących dniach miały spełnić dwojaką funkcję: z jednej strony dekoracji z powodzeniem zastępującej drogie ozdoby, z drugiej skutecznego odstraszacza kota. Pręgowane kocisko, przygarnięte w pakiecie wraz z Carmen, zwykle spędzało czas na zewnątrz, w pobliżu stajni, ale podczas ostatnich mrozów coraz częściej przychodziło do domu, gdzie wykazywało niebywałe zainteresowanie choinką. Wrodzona niechęć kociego rodu do zapachu cytrusów miała szansę sprawić, że drzewko przetrwa w stanie nienaruszonym.

Magda cofnęła się o kilka kroków i z satysfakcją spojrzała na własne dzieło. Jeszcze tylko zapakować upominki i do zakończenia przygotowań pozostaje jedynie usmażenie karpia, stwierdziła. Rybie dzwonka już leżały nasolone i czekały na obtoczenie w chrupiącej panierce.

W lodówce zabrakło jajek, więc Magda wzięła zamykany wiklinowy koszyk i pobiegła do kurnika. Wspięła się po drabinie i weszła do kurzego świata.

Kwoki dostojnie siedziały w swoich gniazdach i wysiadywały z namaszczeniem. Gospodynię powitały gdakaniem i całkiem łatwo dały przepłoszyć się z grzęd. Magda ostrożnie zebrała jajka, sypnęła ptakom nieco ziarna, ostrożnie opuściła na sznurze koszyk, a sama zeszła po drabinie.

W drodze powrotnej spotkała Bronka, więc zaprosiła stajennych na skromny poczęstunek, z racji postu serwując śledzia w sałatce. Na koniec wszyscy podzielili się opłatkiem i złożyli sobie życzenia, a zaraz potem Magda odwiozła mężczyzn do domów.

Wróciła i zabrała się do smażenia ryby. Wcześniej sprawdziła konsystencję galarety na karpriu po żydowsku, a później, zadowolona, przyszykowała strój na wieczór. Wyjęła z szafy wiśniową suknię Jacqueline i starannie doprowadziła do porządku czarne szpilki. Z dawno już spieniężonej biżuterii pozostawiła sobie wyłącznie złote kolczyki ze szmaragdami i bransoletkę. Całość, prosta w formie, stanowiła komplet i idealnie pasowała do kreacji ze złotymi lamówkami.

Magda starannie umalowała się i włożywszy elegancką suknię, przejrzała się w lustrze. Planowała rozpuścić włosy, ale zdecydowała się na luźny kok. Prezentowała się bardzo wytwornie, więc nie chcąc popsuć całości wizerunku, wyszperała w szafce długi kuchenny fartuszek.

Alicja, która też jakby nieco odżyła i pogodziła się z losem, w tym dniu

baczniej niż zwykle spojrzała w lustro. Włożyła ładną sukienkę i ułożyła włosy. Naturalny, nienachalny makijaż wydobył jej walory.

– Wyglądasz przepięknie – skomplementowała Magda przyjaciółkę, w duchu współczując Markowi.

Biedak, nigdy jeszcze nie widział Alicji w tak eleganckim wcieleniu. Tego wieczoru niejedynemu mężczyźnie padłby trupem z zachwyty na jej widok i zakochał się na amen.

– Ty też. Pomogłam Zofii zakręcić włosy na wałki. Może choć dziś ta przeklęta skleroza odpuści i pozwoli nam normalnie spędzić wigilię. Co jeszcze robimy? – zapytała Alicja, ukradkiem kładąc pod choinką kilka niewielkich pakunków.

– Właściwie to nic. Wszystko gotowe. W sieni stoi worek z sianem, pora nakrywać do stołu.

Na wspomnienie spędzonych w szopce chwil Magda uśmiechnęła się szeroko. Była pewna, że teraz już na zawsze zapach siana będzie kojarzył się jej z tamtą wyjątkową nocą.

– Na ile osób nakryć?

– Jak to: na ile? Na tyle, ile nas jest. I jedno dodatkowe nakrycie dla zbłąkanego wędrowca.

– Czyli siedem.

– Sześć – poprawiła ją przyjaciółka, zaglądając do piekarnika.

– Siedem.

– No jak? My trzy plus Marek i Adam. To pięć.

– A Zdzichu? – zapytała skonsternowana Ala.

– O matko, kompletnie o nim zapomniałam! W sumie był z innymi chłopakami na opłatku, ale przecież to się nie godzi, żeby w taki wieczór sam siedział w tej swojej kanciapie. Bierzemy Zdzicha. Dawaj jedno nakrycie więcej.

– To może dam mu znać, że po opłatku pójdziemy wszyscy do stajni poczęstować zwierzęta. I wtedy go zgarniemy?

– Mam lepszy pomysł – oznajmiła Magda.

– Jaki?

– Opłatkami podzielimy się wszyscy. W stajni. W końcu to dzięki niej tutaj razem jesteśmy. Zmień buty i leć do Zdzicha. Niech się przygotuje.

Jak na zamówienie niebo się rozchmurzyło i przestał sypać śnieg, więc Magda, zupełnie jak mała dziewczynka, wyszła przed dom wypatrywać



pierwszej gwiazdki. Adam i Marek przyjechali niemal jednocześnie i z chęcią przystali na stajenno-opłatkowe rozwiązanie, Alicja wzięła zatem ze spiżarni torbę czerstwego chleba dla koni. Obie z Magdą zamieniły wysokie obcasy na śniegowce, zawołały Zofię.

Zwierzęta jakby czuły, że dzieje się coś niezwykłego, bo wszystkie wystawiły głowy z boksów i uważnie obserwowały przebieg wydarzenia.

– Jeszcze nigdy w moim życiu składanie życzeń nie było tak podniosłe – powiedział Adam, dzieląc się opłatkiem z Carmen i Szwarcenegerem. – I jak długo nosi mnie święta ziemia, jeszcze nigdy nie łamałem się opłatkiem z krową.

W stajni zapanowała ogólna wesołość. Wszystkie zwierzęta wygłaskano i zawrócono do domu. Ponieważ znów zaczął padać śnieg, Zdzichu odruchowo rozejrzał się za szuflą, ale Alicja szybko ukróciła jego zapędy, twierdząc, że odśnieżanie może spokojnie poczekać do rana. Że teraz nastał czas wigilijnej wieczerzy i świętowania.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Zdzichu ku zaskoczeniu wszystkich zacytował nad stołem z pamięci fragment Ewangelii według świętego Łukasza o narodzeniu Chrystusa. Całe towarzystwo skłoniło głowy, nawet Alicja, która pilnowała, żeby nie zagotował się barszcz. W jego przygotowanie włożyła sporo trudu, więc teraz nie chciała, żeby przez chwilę nieuwagi świąteczna zupa straciła piękny, głęboki wiśniowy kolor.

Usmażony wcześniej karp czekał w piekarniku na swoją kolej, bo wcześniej zaplanowano inne potrawy. Ryba po żydowsku zrobiła furorę, a chrzan z przepisu Magdy okrzyknięto hitem wieczoru. Adam od razu wypytał ją w tej kwestii i żeby nie uronić ani słowa, zanotował przepis w smartfonie.

– To normalnie poezja – powiedział. – Od dziecka żyję w świecie smaków, ale czegoś takiego jeszcze nie jadłem. – Pokiwał głową z uznaniem i sięgnął po dokładkę. – Normalnie niebo w gębie.

– Faktycznie, świetny. – Marek nie pozostawał w tyle.

Obaj na okoliczność wigilii przywdziali eleganckie garnitury; ten prosty zabieg totalnie odmienił ich codzienny zawodowy wizerunek. Casualowy styl Adama tak wrył się wszystkim w podświadomość, że w krawacie właściciel Nestora jawił się obecnym niemal jako kosmita. Podobnie Marek – na co dzień w khaki i moro wcale nie wyglądał jak ktoś, kto ma w szafie granatowy garnitur z kamizelką i śnieżnobiałą koszulę. Zofia włożyła wytworną czarną sukienkę, a przy szyi spięła koronkowy kołnierzyk broszką z artystycznie

oprawioną w srebro kameą. Atmosfera przy stole sprzyjała dowcipom, więc śmiechom nie było końca.

Magda sądziła, że miejsce pod choinką będzie świeciło pustkami, tymczasem każdy zrobił prezent każdemu, więc uzbierał się całkiem spory stosik podarków. A że w ostatniej chwili przypomniała sobie o nowiutkich rękawiczkach z polaru, które idealnie nadawały się do odśnieżania, nie został uszkodzony również i Zdychu. Jej zachwyty wywołał kaszmirowy szal od Adama, trafiony idealnie, w intensywnym odcieniu błękitu. Pozostali również cieszyli się jak dzieci – kolorowy papier dosłownie fruwał na wszystkie strony – jednak największe wzruszenie przeżyli dzięki Alicji. Dziewczyna, nie dysponując znacznym funduszem, w tajemnicy przed wszystkimi własnoręcznie przyrządziła wykwintną konfiturę z pomarańczy, włożyła do słoiczków, które ozdobiła czapeczkami z misternej koronki. Przewiązane kolorowymi wstążeczkami prezentowały się po prostu uroczo.

– Mistrzostwo świata. – Adam nie potrafił się oprzeć. Mimo pełnego brzucha od razu dobrał się do zawartości słoika. – Oto kolejne wyborne delicje w moim życiu – oznajmił. – Gratulacje!

Alicja aż pokraśniała z zadowolenia i podziękowała, skromnie spuszczać oczy.

– Wy nie chwalcie zawartości, tylko opakowanie – bąknęła nieśmiało.

– To ty sama zrobiłaś te koronki? – Magda omal nie zakrzuszyła się kompotem z suszu.

– Aha. Nie powiem, trochę mi to zajęło, bo wyszłam z wprawy, ale chyba mi się udały, prawda?

– Niesamowite. – Marek ostrożnie obracał w dłoniach słoiczek. – Ależ precyzja.

– Masz ogromny talent – roześmiała się Magda. – W razie czego z głodu nie zginiemy.

Miło znów było widzieć Alę rozpromienioną i radosną. Ciężki czas przygnębienia chyba mijał bezpowrotnie. Tego dnia po raz pierwszy od dawna czuła się dobrze i odzyskała odrobinę wigoru. Ostatnimi czasy widok zdruzgotanej przyjaciółki sprawiał, że Magdzie pękało serce. Bardzo pragnęła jej pomóc, ale z własnego doświadczenia wiedziała, że po takich przejściach musi upłynąć trochę wody, zanim człowiek nabierze dystansu i zacznie wokół siebie dostrzegać pozytywy.

Dochodziła już niemal dwudziesta druga, gdy goście zaczęli zbierać się do

wyjścia.

– Przyjdźcie jutro do mnie na obiad – ponowił zaproszenie Adam.

Magda, która tymczasem wpadła na inny pomysł, wyłuszczyła go sąsiadowi dyskretnie.

– Dziękuję, ale jeśli się nie pogniewasz, przyjdę sama. Już zaprosiłam do nas Marka na jutro, niech pobędą sobie z Alą sami. Wiesz, jak jest. – Uśmiechnęła się chytrze. – Świąteczna atmosfera sprzyja powstawaniu więzi międzyludzkich.

– To oni mają się ku sobie? – Adam konspiracyjnie ściszył głos.

– Raczej wyłącznie Marek – wyszeptała Magda. – Ale moim zdaniem zasługują na szansę. Poza tym lodówka jest pełna smakołyków. Ktoś musi je zjeść.

– Nie zapominaj o zajęciach. Będą gotowe na jutro.

– Pamiętam, pamiętam. Już nie mogę się doczekać. Będą na świętego Szczepana.

Magda pożegnała gości, zręcznie wmanewrowawszy Marka w dotrzymanie nazajutrz towarzystwa Alicji. On, oczywiście, przystał na to z wielką ochotą. Przez ramię puścił oko do gospodyni.

– Kurczę, sorki, że tak to wyszło – powiedziała skruszona Magda. – Ale pomyślałam sobie, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Nie mogłam odmówić Adamowi, wiesz, został na święta całkiem sam.

– Nie no, spoko. Marek mi nie przeszkadza. Równy z niego gość. A jaki chętny do zmywania naczyń. – Alą parsknęła śmiechem.

– Też racja. – Magda powstrzymała uśmiech.

Zebrała obrus i na zewnątrz wytrzepała z niego okruszki.

– Idealnie pasujecie do siebie – wypaliła Alicja zniecka. – Aż dziwne, że się do siebie nie przystawia.

– No jakoś nie. Ale niespecjalnie nad tym ubolewam, bo nie mam ochoty na żadne damsko-męskie gierki. Ostatnio temat związków skutecznie wyszedł mi bokiem i dziękuję Bogu, że już jest po wszystkim. – Magda zdjęła szpilki i rozmasowała stopy. Ziewnęła jak smok. – A w ogóle to idę spać. Poprzedniego noclegu nie mogę zaliczyć do najbardziej komfortowych.

– Ale narobiłaś nam strachu.

– A myślisz, że sama się nie bałam?

Boże Narodzenie świat powitał ostrymi promieniami słońca.

Świeżutki śnieg skrzył się bajkowo, więc Magda, pomna, ile zjadła wieczorem, postanowiła wytrzepać kalorie na koniu. Tym razem nie chciała jednak ryzykować samotnej wycieczki do lasu, w zamian zdecydowała, że pojeździ na maneżu.

Do tej pory Alicja jakoś nie znalazła czasu, żeby prawidłowo porozstawić wszystkie przeszkody, więc na razie całość prezentowała się nieco chaotycznie. W stodole wciąż leżał niezmontowany nowiutki mur, który dostarczono już grubo przed świętami. Działo się tyle, że Magda jedynie odnotowała w pamięci fakt dostawy i natychmiast zapomniała o niej na śmierć; nowe stojaki do stajoniat już dawno służyły jeźdźcom, a mur spokojnie czekał na swoją kolej. Teraz odfajkowała w głowie ustawienie go, jako kolejny podpunkt na liście na „po świętach”, i osiodłała Biesa.

Spokojne konisko chętnie wyszło na zewnątrz i nawet nie trzeba go było zachęcać do kłusa. Wręcz przeciwnie, Magda co rusz musiała wstrzymywać wodze, żeby nie rozpędzało się za bardzo.

– Ładnie! – usłyszała głos Alicji. – Zrób woltę i naprowadź go na drągi! A potem go przez chwilę występuj!

– Dobra! Jak skończę, to jedziemy do kościoła. Pasuje?

– Jasne! Plecy prosto i ręce niżej!

Zadowolona z jazdy Magda szybko przebrała się w odświętne ubranie. Ponieważ chęć uczestnictwa w wycieczce wyraziła również Zofia, więc wszystkie trzy wsiadły do toyoty i udały się do Pieniek. Celowo ominęły sumę o dziesiątej, licząc, że w południe będzie mniej ludzi. Istotnie, tak właśnie było, ale Magda i tak nie uniknęła znaczącego spojrzenia wikarego. Ksiądz uśmiechnął się półgębkiem, a podczas kazania nawiązał do bliskości ze Świętą Rodziną.

– Co jest, do diaska?

Po powrocie Magda zastała na komórce informację o pięciu nieodebranych połączeniach. Zaskoczona sprawdziła natychmiast.

Już jakiś czas temu miała usunąć z pamięci numer do byłej teściowej, ale jakoś jej to umknęło. Za to teraz zaintrygowana wpatrywała się w wyświetlacz i gorączkowo myślała, co zrobić. Oddzwonić? Nie oddzwonić? Zignorować? Zareagować? Z doświadczenia wiedziała, że jeśli Leontyna ma kaprys dodzwonić się do kogokolwiek, z pewnością dopnie swego. Choćby nawet miała kogoś w tym celu wynająć i mu zapłacić.

Magda zaparzyła kawę i wyszła z kubkiem na zewnątrz – kilka hotelowych koni właśnie zaliczało świąteczną przejażdżkę i próby na przeszkodach. Śnieg tłumiał wszystkie dźwięki, a cudowny widok napawał spokojem. Ale nie Magdę, w której duszy kotłowały się emocje. Wściekła, że była teściowa w takim dniu wytrąca ją z równowagi, miała ochotę z zamachem posłać komórkę w stronę lasu i tuż po świętach zmienić numer telefonu. Ale z drugiej strony wiedziała, że Leontyna nie wydzwaniaby do niej bez powodu.

Muszę się z nią skontaktować, bo ciekawość nie da mi spokoju, zdecydowała.

– Co za babsztyl! – warknęła, niechętnie stukając w klawiaturę.

Po drugiej stronie odebrano natychmiast.

Leontyna była bliska hysterii. W wigilijny ranek do mieszkania w Sopcie wpadła policja i zatrzymała Tomka.

– Ale za co?

Mimo że sprawa jej nie dotyczyła, Magda poczuła nerwowy skurcz w żołądku.

– Za te narkotyki.

– Matko, ja nic nie wiem o żadnych narkotykach!

– Nie opowiadaj głupot! Nie pamiętasz włamania do apteki i tego, że zginęła cała morfina i jeszcze jakieś inne rzeczy? – W słuchawce rozległ się szloch.

– Ale przecież Tomek tam tylko pracował. Już dawno temu przesłuchiowano go w tej sprawie.

Magda nie miała pojęcia, dlaczego stara się uspokoić roztrzęsioną kobietę. Włamanie i kradzież kompletnie nie powinny jej interesować. Kłopoty byłego męża, który za jej plecami ułożył sobie życie z kimś innym, nie obchodziły jej już od dawna.

– Tak, ale śledztwo wykazało jakieś nieprawidłowości. Tomaszewski postawiono poważne zarzuty.

– W takim razie współczuję. Nie rozumiem tylko, po co dzwonisz do mnie w święta, skoro to nie mój interes?

– Ależ jak najbardziej twój. Byłaś wtedy jego żoną, często odwiedzałaś go w aptecce. No, sama przyznasz, że tak było. Przecież nie kłamałabym policji w tak ważnej sprawie.

– Czy ja dobrze rozumiem? Celowo rzuciłaś na mnie podejrzenie, żeby ratować tyłek swojego nieudacznego synalka?

– Ja wcale nie chciałam. Ja tylko powiedziałam prawdę – tłumaczyła

pokrętnie Leontyna.

– To jakiś absurd! – Magda nie wytrzymała. – Weź nie zawracaj mi głowy i idź spieprzyć święta Beatce!

– Ale ona już...

– Gównu mnie obchodzi, co ona już! Zaraz po świętach zablokuję połączenia z waszych telefonów. A jeśli jeszcze raz którekolwiek z was spróbuje mnie niepokoić, zawiadomię policję o nękanii i wystąpię do prokuratury o zakaz zbliżania się!

– Ależ Madziu, tak nie można...

– Owszem, można! Do widzenia!

Gotująca się ze złości Magda cisnęła w wysoką zaspę kubkiem z wystygłą już kawą. Na śniegu pojawiła się brunatna plama.

– Chrzanić kubek. Wiosną się znajdzie – sapnęła i klnąc pod nosem, zawróciła do sieni.

Gdyby nie fakt, że drzwi wejściowe jeszcze pachniały nowością, z przyjemnością trzasnęłyby nimi z całej siły.

## Rozdział 18

Pieczony ze słoniną pasztet oraz potrawka z zająca stanowiły istne arcydzieła sztuki kulinarnej.

Magda włożyła do ust ostatni kęs i ciężko westchnęła z przejedzenia. Na szczęście miała na sobie spodnie z elastyczną wstawką, więc nie musiała się przejmować mało dyskretnym popuszczaniem paska.

– Niebo w gębie. Chyba poproszę Roberta o przepis.

– Zapomnij. Nie poda ci go, choćbyś go przypiekała na rożnie. W świecie kucharzy autorskie receptury są na wagę złota i stanowią najpilniej strzeżoną tajemnicę. Chcąc zdobyć dobry przepis, szefowie kuchni potrafią posunąć się do morderstwa – roześmiał się Adam.

– Nie wiedziałam, że twój kucharz gra w pierwszej lidze. – Magda otarła usta chusteczką.

– W pierwszej to może nie, ale nie ma się czego wstydzić. Dwukrotnie był uczestnikiem kulinarnego reality show i w obu przypadkach zaszedł bardzo daleko. Wiele się też ostatnio nauczył. Całkiem niedawno wysłałem go na doszkalający kurs z kuchni francuskiej.

– I co?

– A myślisz, że dlaczego cały czas się odchudzam? – zapytał Adam. – Zwłaszcza że po zatrudnieniu nowego sosjera mogłem zapomnieć o diecie.

– Wszystko było przepyszne. Dziękuję.

Magda sądziła, że to już koniec uczyty, ale okazało się, że jest w błędzie. Gospodarz wykonał telefon do kuchni i zamówił jakiś tajemniczy deser.

Zdążyła zaprotestować w ostatniej chwili.

– Nie, błagam cię, zróbmy przerwę.

– Jak sobie zyczysz. Na szczęście przygotowanie śliwkowego crumble zajmuje nieco czasu. Tymczasem możemy napić się kawy.

– Wolałabym się przejść – odparła zgodnie z prawdą Magda. – Czuję, że zaraz pęknię i nic ze mnie nie zostanie.

Adam chętnie przystał na tę propozycję. Przez permanentną dietę skurczył mu się żołądek i teraz nie mógł objadać się jak dawniej. Tego dnia wyjątkowo nie biesiadowali w hotelowej restauracji, a w prywatnym apartamencie na poddaszu Nestora, tak więc bez protestów wstał i podał Magdzie płaszcz. Sam również włożył grube palto. Magda zamotała kaszmirowy szal wokół głowy i szyi; nigdy nie lubiła czapek, dlatego prezent od Adama tak bardzo ją cieszył. Sprawdziła w lustrze, jak wygląda, pochwyciła zadowolony wzrok swojego towarzysza. Wyraźnie podobał mu się fakt, że sąsiadce przypadł do gustu gwiazdkowy upominek.

Nie minęła jeszcze szesnasta, ale na dworze było już kompletnie ciemno. Ruch na lokalnej drodze ustał prawie całkowicie i tylko wszechobecna biel sprawiała, że było widać cokolwiek.

Magda, w kozakach na wysokim obcasie, na ubitym śniegu czuła się w miarę pewnie, ale i tak, na wszelki wypadek, ujęła Adama pod ramię. Ponieważ zawsze dobrze jej się z nim rozmawiało, korzystając z okazji, poradziła się go w sprawie Tomka i Leontyny.

Nie potrafił uwierzyć w obcesowość i bezczelność obojga.

– To nie do wiary. Nawet moja była żona nie byłaby aż tak bezwzględna – podsumował.

– Oj, nie znasz mojej teściowej. Ta baba to najbardziej bezczelna osoba pod słońcem. W dodatku świętojebliwa zakłamana hipokrytka, robiąca wszystko niby w imię Boże. A Tomek to bezwolny palant. Sama nie wiem, gdzie ja miałam oczy przez te wszystkie lata. A już myślałam, że mam ich z głowy. Niech ich piekło pochłonie. I tak miałam mnóstwo szczęścia, że odzyskałam kasę za samochód.

– Magda, nie denerwuj się. – Adam odwrócił ją twarzą do siebie. – Posłuchaj, oni są tam, a ty tutaj. Niczego nie mogą ci odebrać.

– Owszem. Nie mogą. Niczego poza świętym spokojem – westchnęła. – Niech ich diabli porwą. Aaa! – W ostatniej chwili przytrzymała się męskiego ramienia. Przypadkiem natrafiła na fragment lodu i rozjechały się jej nogi. – O matko, przepraszam!

Gadając jedno przez drugie, dotarli aż do cmentarza parafialnego w Pieńkach. Dwukrotnie obeszlą murek odgradzający go od drogi i zmarznięci wrócili do Nestora na podwieczorek. Tymczasem mróz przybrał na sile; na hotelowym termometrze, przyczepionym do budki portiera przy parkingu, widniało minus dwanaście stopni.



– Może to głupio zabrzmieć, ale zgłodniałam. – Magda wprost nie mogła doczekać się kawy i deseru. Przykucnęła przy kominku i wyciągnęła zimne dłonie w stronę buzującego ognia. – Kurczę, na śmierć zapomniałam!

– O czym?

Adam w drzwiach właśnie przejął od kelnera wózek z jedzeniem.

– O pieniądzach – powiedziała i wyjęła z torebki białą kopertę. – Proszę.

– Naprawdę nie musiałaś się śpieszyć.

– Musiałam. Babcia zawsze mówiła, że nie wolno mieć długów na święta, bo później człowiek przez cały rok się z nich nie wygrzebie.

– To chyba jakiś wasz rodzinny przesąd, bo u mnie mówiło się to samo o sylwestrze – roześmiał się Adam i ustawił na stole ceramiczne miseczki.

Tajemnicze crumble okazało się pomysłowym sposobem na eleganckie zaserwowanie gorących owoców. Aromatyczne śliwki zapieczone pod najzwyklejszą w świecie maślaną kruszonką smakowały wprost nieziemsko, a ich sposób podania – w towarzystwie gładkich waniliowych lodów, w których gdzieś można było dostrzec ciemne drobinki aromatycznych ziarenek – był wyjątkowo wykwintny. Znakomita kawa sprawiła, że ukontentowana Magda z błogim uśmiechem rozparła się w fotelu.

Prywatny apartament Adama niewiele różnił się od tych hotelowych. Na pierwszy rzut oka było widać, że wewnątrz zaprojektowano z myślą o właścicielu, lecz uczyniono to na tyle sprytnie, aby w razie czego można było w łatwy sposób zaadaptować lokum na potrzeby dodatkowych gości. Brakowało kuchni, którą zastępował ukryty w szafie niewielki aneks, na wypadek gdyby komuś zachciało się jeść lub pić w porze zamknięcia hotelowej restauracji.

– To jakie plany na jutro? – zainteresował się Adam.

Nalał sąsiadce trochę wina i odstawił butelkę. Ponieważ alkohol nie sprzyja odchudzaniu, sam zaledwie zamoczył usta w kieliszku. W towarzystwie Magdy spędził całe popołudnie w tak miłym nastroju, że nie miałby nic przeciwko powtórce następnego dnia.

– Zasadniczo jutro siedzimy w domu – powiedziała. – Rzecz jasna, praca nas nie ominie, bo dałam wolne stajennym. Może trochę sobie pojeżdżę. Szkoda, że bez Ali. Ale za to po obiedzie pójdziemy razem na cmentarz, jak pogoda dopisze. Złożymy świąteczną wizytę babci Feli. – Uśmiechnęła się ciepło. – Dziękuję ci za pyszny poczęstunek, ale będę się zbierać.

– Już? – zapytał Adam. W jego głosie zabrzmiała nutka rozczarowania.

– Tak, już. Nie wolno mi nadużywać twojej gościnności i tak ewidentnie wykorzystywać Marka – roześmiała się Magda, sięgając po torebkę.

– Zaczekaj! Zające! Musisz je zabrać.

– No jasne, przecież jutro wypas z dziczyzną. Mam przynieść pojemniki?

– Chyba żartujesz – prychnął Adam i przez interkom połączył się z kuchnią. – Wszystko ci zapakujemy, a pojemniki oddasz przy okazji. Pasuje?

– Jasne. Dzięki, przyjacielu.

Pomimo że we dwójkę zjedli całkiem sporo pasztetu i potrawki, naczynia ważyły swoje, więc Adam zdecydował, że odprowadzi gościa.

W stadninie było ponadto tyle jedzenia, że w nadchodzących dniach Magda nie musiała martwić się o posiłki. Pozostałe zające czekały w hotelowej zamrażarce na kolejne świąteczne okoliczności, a Adam przypomniał dodatkowo o zmagazynowanym u niego schabie i wieprzowej półtuszy. Dodawszy do tego resztki gulaszu i całe mnóstwo jabłek, którymi wcześniej obdzieliła połowę gminy, oraz kilkadziesiąt słoików przetworów, do wiosny głód domownikom nie groził.

Drugi dzień świąt również przyniósł słoneczną aurę. Mróz zelżał, więc po obfitym śniadaniu Magda z przyjemnością wskoczyła na konia. Tym razem wybrała się w teren, choć jeszcze nie czuła się wystarczająco pewnie, by nie odmeldować się u pozostałych albo przynajmniej nie określić kierunku, w jakim planuje pojechać. Już od jakiegoś czasu takie zachowanie, jako że ze wszech miar rozsądne, stało się w stadninie praktyką.

Wypad udał się znakomicie i mimo że Magda chętnie wypuściłaby się gdzieś dalej, zawróciła, by zdążyć do kościoła. Dowcipkowała nawet, że w ostatnich dniach wyrabia zaległą normę liczby godzin spędzanych w świątyni, podobnie jak na cmentarzu.

Po mszy obie z Alą wróciły do domu po znicze i świąteczny stroik. Marek już na nie czekał.

– Jedziesz z nami? – zaproponowała Magda.

– Jasne. Załatwiłaś już sprawę grobu z proboszczem?

– Jeszcze nie, ale mam pewne dane. Najpierw wymurowanie, kilka tysięcy złotych. Na szczęście dzierzawa miejsca jest opłacona jeszcze przez siedem lat, więc przynajmniej to mam z głowy. Jeszcze nie wiem, jak to zrobię, ale skądś wytrzasnę kasę na nagrobek. Może w końcu uda się sprzedać tego nieszczęsnego chevroleta.

– A co powiedzieli w warsztacie? Dowiedziałaś się czegoś? –

zainteresował się Marek.

– Niczego dobrego. W aktualnym stanie nie dostanę dobrej ceny, a naprawa to inwestycja, na którą nie bardzo mnie stać.

– A nie da się auta rozebrać i sprzedać na części? Skoro taki kłopot z częściami, to sprzedasz je na pniu.

– Tak byłoby najlepiej, tyle że ja sama nie umiem i nie mam gdzie. A jak komuś za to zapłacę, to guzik zarobię. Do tego dochodzi jeszcze problem z rejestracją. Jeżeli zarejestruję chevroleta jako zabytek, to mi go wpiszą do krajowego rejestru i mogę zapomnieć o sprzedaży za granicę, gdzie jest najlepszy rynek na takie wynalazki.

– Nawet do Unii?

– Dokładnie tak. Nawet sprzedając na terenie Polski, muszę powiadomić o tym konserwatora zabytków. A jak chcę zarejestrować normalnie, to nie dość, że każda pierdółka ma być sprawna, to jeszcze muszę przerobić całe oświetlenie na europejskie – westchnęła Magda. – Normalnie niech szlag trafi tę całą Amerykę! Nie miałam pojęcia, że w Stanach światła świecą na wprost.

– Jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz ekspertem. – Marek stłumił śmiech i zerknął na zaróżowione policzki Alicji.

Dziewczyna wyglądała bardzo ładnie. Z dnia na dzień czuła się coraz lepiej i coraz bardziej akceptowała swój stan. Odzyskała dawny wigor. A teraz energicznie ponaglała Zofię, żeby ta szybciej wsiadła do samochodu.

Na cmentarzu panował całkiem spory ruch, mimo dość późnej pory. Ludzie krzatali się przy grobach albo korzystając z przypadkowych lub wyczekiwanych spotkań z dawno niewidzianymi krewnymi, prowadzili ożywione dyskusje, nie bacząc na powagę miejsca. Niektórzy bez skrępowania rozmawiali przez telefony. Zdarzył się nawet mężczyzna, który nie widział niczego złego w paleniu papierosa, stojąc na głównej alejce.

– Co to się dzieje z tymi ludźmi – burknęła Zofia na tyle głośno, że została usłyszana.

Mężczyzna od razu upuścił papierosa w śnieg i udając, że komentarz go nie dotyczy, rozejrzał się dokoła z miną niewiniątka.

– Co za burak! Za moich czasów takiej poruty na cmentarzach nie bywało – bulwersowała się Zofia.

– Pewnie nie – zgodziła się Magda. – Choć daję głowę, że babcia Fela nie miałaby nic przeciwko temu, żeby przy jej grobie urządzić radosną biesiadę.

– To była zacna kobieta. – Zofia starała się mówić cicho, ale jej tubalny głos

usłyszało co najmniej kilka postronnych osób.

– Racja. Szkoda, że nie żyje. W sumie nie była jeszcze taka stara. To straszne, ale rak nie wybiera.

– Ale przecież ona wcale nie umarła na raka – oznajmiła niespodziewanie Alicja.

– Jak to? O czym ty mówisz? – Zaskoczona Magda przystanęła w pół kroku i przykucnęła, by poprawić sznurowadło.

– Normalnie. Przecież mówię. Twoja babcia wcale nie umarła na raka.

– A na co? W listach do mnie wyraźnie pisała, że choruje.

– Bo to była prawda, ale rak nie miał z jej śmiercią nic wspólnego. Twoja babcia spadła ze schodów.

– I co?

– I skrzyła sobie kark. Myślałam, że wiesz. Nie było mnie przy tym, ale Zofia...

– Co?! Tak samo jak tamte dwie? – Magda zastygła w osłupieniu.

– To one też? Nic mi nie mówiłaś. O mój Boże! – wyszeptała przerażona Alicja, patrząc na pobladłą twarz przyjaciółki.

Magda zamarła. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i tężeje w żyłach. Fakty i obrazy jak żywe przewijały się przed jej oczami. Marcysia... O Matko Święta! Mózg w ułamkach sekund kojarzył i łączył informacje. Jacqueline, jej ubrania, biżuteria...

Magda odwróciła głowę i uniosła wzrok ku górze. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzała na Zofię. To, co zobaczyła w oczach staruszki, potwierdziło, że się nie myli.

– O Boże...

Na całym ciele miała gęsią skórę. Włosy stanęły jej dęba.

Potężny kopniak powalił ją na kolana. Zofia z zaskakującą werwą podskoczyła i całym ciężarem przygwoździła Magdę do ziemi.

– Zabiję cię, ty szmato! – wrzasnęła. – Wiedziałam, że się doigrasz! On jest mój! Mój! Mój! Rozumiesz, wywołoko?! Rozumiesz?!

– Tttak – wykrztusiła z trudem Magda.

– Wszystkie jesteście takie same! Wszystkie! Pozabijam jak suki! – Zofia darła się jak opętana.

Wokół zebrali się ludzie.

– Przestań! Co ty robisz?! Pomocy! – wołała przerażona Alicja, ale nikt nie zareagował.

Jak na złość Marek właśnie opuścił cmentarz, żeby oddzwonić, więc nie miała wyjścia i nie oglądając się na czyjąkolwiek pomoc, sama rzuciła się na oszalałą Zofię. Na oślep okładała ją pięściami, ale krewka kobieta odepchnęła ją z całej siły – Alicja poleciała do tyłu jak bezwładna kukła i z impetem wyrzuciła głowę o narożnik sąsiedniego nagrobka. Magda, przerażona sytuacją, próbowała jak najszybciej wygramolić się ze śniegu. Oszołomiona patrzyła na bezmyślny ludzki tłum.

– No i co się tak gapiacie?! – krzyknęła. – Łapcie ją! Szybko, niech ktoś ją złapie! Marek! Łap ją!

Zanim nieświadomy zajścia mężczyzna zorientował się w sytuacji, Zofia wysyczała stek obelg i na oślep rzuciła się przed siebie. Nikt nawet nie drgnął, zatem Magda wrzasnęła tylko, żeby wezwano pogotowie, i ruszyła w pościg cmentarnymi alejkami. Niestety, uciekająca miała nad nią sporą przewagę.

– Leć do Alicji, ja złapię Zofię. – Marek w biegu pochwycił Magdę za ramię.

– Nieee! Stój! – zawołał, w chwili gdy staruszka wbiegła pomiędzy zaparkowane wzdłuż drogi samochody.

Już prawie ją miał, ale nie zdążył zareagować, kiedy wywinęła mu się i w ostatniej chwili wyskoczyła na drogę. Kierowca nie miał nawet cienia szansy, żeby zahamować.

Koszmar rozegrał się w ułamku sekundy, a złowrogi głuchy odgłos zapadł w pamięć wszystkim świadkom zdarzenia. Ciało odbiło się od blachy, koła przetoczyły się po nim miękko, a niesione poślizgiem auto zatrzymało się dopiero kilkanaście metrów dalej. Przechodzący w pobliżu ludzie zamarli z przerażenia. Zszokowany kierowca wysiadł i zaczął krzyczeć wniebogłosy.

– Ożeż cholera jasna!

Marek nie miał pojęcia, za co się łąpać. Naraz wydarzyło się tyle, że nie sposób było tego ogarnąć. Przerażony podbiegł do leżącego na jezdni ciała i rutynowo sprawdził puls. Miałem rację, stwierdził i zakomenderował, aby niczego nie ruszać i zabezpieczyć miejsce wypadku trójkątem ostrzegawczym.

– Wezwać policję! – rozkazał. – Szybko! I pogotowie!

Zawrócił w stronę grobu. Pal licho Zofię, myślał spanikowany, jej nikt już nie może pomóc. Teraz najważniejsza jest Alicja.

– Co z nią?! – Zdyszany dopadł klęczącej nad przyjaciółką Magdy.

Roztrzęsiona dziewczyna trzymała głowę Ali na kolanach.

– Spokojnie, żyje. Już wezwałam karetkę. Złapałeś ją czy uciekła?

– Uciekła, prosto na tamten świat. Wybiegła wprost na ulicę i wpadła pod samochód.

– Jezus Maria!

Magda miała wrażenie, że śni. Ostatnie kilka minut dostarczyło jej takiej dawki emocji, jakiej nie doświadczyła w całym swoim dotychczasowym życiu.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ja wiedziałam, ja cały czas czułam, że coś w stadninie nie gra – wykrztusiła i pochyliła się nad Alicją.

Ogłuszona dziewczyna pomału odzyskiwała przytomność.

– Co się stało? – wyszeptała z trudem.

– Nie ruszaj się. Leż spokojnie – napomniał ją Marek. – Karetka już jedzie. Wszystko będzie dobrze, maleńka.

Zwalisty mężczyzna, który sprawiał wrażenie, że może przenosić góry, teraz wyglądał jak skurczona połowa samego siebie. Jego ogorzałą twarz w przypiływie bólu ściągnął srogi grymas. Gdybym mógł, własnymi rękami zabiłbym tę babę jeszcze raz, pomyślał ponuro.

Nie miał pojęcia, dlaczego stało się to, co się stało, ale napotkawszy zrozpaczone spojrzenie Magdy, uznał, że to nie pora na zadawanie pytań. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później. Teraz najważniejsze było oddanie Alicji pod fachową opiekę lekarzy i ustalenie, czy nie stało jej się nic złego. Lewa strona czapki mocno nasiąkała krwią, ale pomny szkoleń z pierwszej pomocy Marek obawiał się ją zdjąć. Ostrożnie zamknął dłoń dziewczyny w swojej dłoni.

– Już jadą. – Magda bez pardonu trąciła go w ramię.

Pomyślała, żeby wyjść przed cmentarz i wskazać ratownikom drogę, ale tłumek zaskoczonych gapiów zdążył już nieco ochłonąć i ktoś ją wyręczył. Praktycznie w jednej chwili wraz z karetką nadjechał radiowóz i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Policjanci zabezpieczyli miejsce wypadku, ratownicy wbiegli z noszami na cmentarz i przetransportowali ofiarę do ambulansu. Marek w ostatniej chwili odszukał Magdę wzrokiem i gestem dał jej znać, że jedzie do szpitala.

Personel medyczny drugiej karetki formalnie potwierdził zgon Zofii, ale ze względu na okres świąteczny trzeba było dłużej niż zwykle poczekać na przyjazd prokuratora. Otepiała Magda patrzyła, jak ciało staruszki znika w czarnym worku. Miała wrażenie, że jej mózg działa niezależnie od reszty

organizmu. Nawet nie zauważyła, że przemarzła. Ocknęła się, dopiero gdy podszedł do niej wysoki mężczyzna.

– Dzień dobry. Czy wszystko w porządku? – zapytał.

Znam go, pomyślała Magda nieprzytomnie, ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć skąd.

– Nie pamięta mnie pani? Wzięła pani do siebie naszego kuca. Córka bardzo chciałaby go odwiedzić.

– Oczywiście – odparła i jak na zawołanie zaczęła szczekać zębami. – Możecie przyjść, kiedy macie ochotę, byle nie dziś.

– Rozumiem, że to ktoś bliski – domyślił się mężczyzna. – W takim razie nie niepokoję.

– Dziękuję i zapraszam. – Magda ciaśniej omotała szyję szalikiem.

Marzyła, żeby wreszcie znaleźć się w domu, ale musiała jeszcze porozmawiać z prokuratorem i policją. Nie potrafiła uwierzyć w to, co się stało. To zwyczajnie nie mieści się w głowie, myślała chaotycznie. Nie wzięła ze sobą telefonu, więc nie mogła ustalić, co z Alą. Jej upadek wyglądał bardzo groźnie. To cud, że w ogóle przeżyła, choć na radość było stanowczo zbyt wcześnie.

Szok trzymał długo. Magda wróciła do domu jak gdyby nigdy nic, ze stoickim spokojem zadzwoniła do Marka i rozkleiła się, dopiero gdy usłyszała, że wszystko będzie dobrze, bo poza lekkim wstrząśnieniem mózgu i płytkim rozcięciem na głowie jej przyjaciółce nie dolega nic poważnego. Podobnie jak dziecku. Skończyło się na kilku szwach.

Magda poczuła, że uchodzi z niej cała energia.

Pod piecem zgasł ogień i zrobiło się zimno, więc ponownie napaliła pod blachą. Na rozgrzewkę naląła sobie podwójną porcję koniaku i owinęła się grubym kocem. zaproponowała Markowi, że pojedzie po niego do szpitala, ale odmówił; planował pozostać na noc w przyszpitalnym hotelu dla rodzin i nazajutrz zdecydować, co dalej. Alicję zatrzymano na obserwacji przynajmniej do rana.

Sącąc bezmyślnie aromatyczny alkohol, Magda tępo zagapiła się w okno. Nie miała siły myśleć. Ocknęła się dopiero na widok parkującego na podjeździe samochodu.

Adam zahamował ostro, z rozmachem zatrzasnął drzwiczki i wpadł do domu jak burza.

– Jesteś! – powiedział z ulgą w głosie. – Przepraszam, że tak bez

zaproszenia, ale właśnie się dowiedziałem. Już wcześniej doszły mnie słuchy o jakichś dantejskich scenach na cmentarzu, ale nie przypuszczałem, że chodzi o was. Przed chwilą przyszedł do pracy nasz kuchcik. Widział wszystko na własne oczy. Tym pechowym kierowcą jest znany biznesmen, który zatrzymał się u mnie na święta – wyjaśnił.

– Wielu widziało.

– Ale co się właściwie stało? Poza tym, że Zofia najpierw was pobiła, a potem wpadła pod samochód?

– Siadaj. – Magda brodą wskazała miejsce przy stole. – Chcesz koniaku, to sobie nalej, bo ja nie mam siły.

– Ale dlaczego ona na was napadła?

– Bo ją zdemaskowałam. Przypadkiem skojarzyłam fakty. Do tej pory byłam przekonana, że babcia Fela umarła na raka, a to nieprawda. Alicja uświadomiła mi dziś przy grobie, że babcia zginęła na skutek nieszczęśliwego upadku ze schodów. Po prostu skręciła sobie kark.

– Jezus Maria! Skręciła kark?! – Adam aż pobladł. – Zupełnie jak tamte dwie kobiety?

– W rzeczy samej. I jeszcze Zofia była świadkiem tego upadku. Słyszała, co mówi Ala, więc wystarczyło, że na nią spojrzałam. Zorientowała się, że się połapałam. Rzuciła się na mnie z okrzykiem: „On jest mój”, i omal mnie nie zabiła. Alicją, która jako jedyna stanęła w mojej obronie, cisnęła jak szmacianą lalką, pozbawiając ją przytomności. A potem dała nogę. Pognał za nią Marek, ale nie zdążył jej złapać. Wybiegła na drogę, wpadła pod koła. I tyle. Zginęła na miejscu.

– Jezu Chryste... – Adam złapał się za głowę. Zauważył, że Magda wygląda naprawdę marnie. – Powiedziałaś o tym policji?

– A co to da, skoro Zofia nie żyje, a dochodzenie zamknięto już jakiś czas temu? Ani Marcysi, ani Jacqueline nikt nigdy nie szukał. Zresztą jedyne, co mam, to niepotwierdzone przypuszczenia. Przecież pamiętasz, że ona jakiś czas temu bez powodu rzuciła się na mnie w korytarzu i o mały włos, a byłaby mnie udusiła. Jak przez mgłę przypominam sobie, że coś wtedy wrzeszczała o francuskich lafiryndach. Teraz rozumiem jej reakcję na mój widok w sukni Jacqueline. Zachowała się bardzo wrogo, ale przez jej zmienne stany świadomości nie skojarzyłam faktów i uznałam, że znów doszła do głosu skleroza.

– Czyżby była zakochana w hrabim i eliminowała konkurencję? – Adam



wreszcie nalał sobie koniaku.

– Tak myślę. To bardzo prawdopodobne. Ponoć przed laty przez jakiś czas była jego kochanką. Mogła być zazdrosna. Jeżeli założyć, że Jacqueline przyjechała w gości, a tak było prawie na sto procent, a Marcysia pracowała u niego jako służąca, chory umysł Zofii mógł je potraktować jak rywalki, choć nie sądzę, żeby ten nadęty hrabia pospolitował się z opóźnioną umysłowo dziewczką ze wsi. Tak samo Zofia traktowała zapewne moją babcię, przy czym jakoś nie wydaje mi się, by ta leciała na starego arystokratę. Nie wiem, jak Jacqueline.

Magda pociągnęła z kieliszka długi łyk i skrzywiła się z niesmakiem. Nigdy nie przepadała za koniakiem, ale teraz za wszelką cenę pragnęła się rozgrzać i choć odrobinę rozluźnić.

– Kurczę, aż strach pomyśleć, że przez tyle czasu mieszkałaś pod jednym dachem z chorą psychicznie morderczynią.

– Nawet mi nie mów. – Przerazona Magda wstała od stołu, żeby dorzucić do pieca.

Nie zauważyła, że Adam wstał również. Podeszedł od tyłu i delikatnie objął ją w pasie.

– Nie darowałbym sobie, gdyby coś ci się stało – wyszeptał, odwracając ją do siebie.

– Chyba tylko cudem uszłam z życiem – odparła, nieco zdziwiona zachowaniem sąsiada.

Owszem, czasami zdarzało mu się mnie uściskać po przyjacielsku, ale nigdy wcześniej nie obejmował mnie w taki sposób, pomyślała.

– I właśnie dlatego chcę ci powiedzieć coś, z czym i tak zbyt długo czekałem. – Adam pochylił się i nieoczekiwanie pocałował Magdę w usta.

Tego się właśnie obawiała. A jeszcze bardziej tego, co usłyszy za chwilę.

Pocałunek sam w sobie nie był jej niemiły i zapewne w innych okolicznościach nie miałaby nic przeciwko niemu. Ale nie teraz. I wcale nie dlatego, że chwilowo była w psychicznej rozsypce.

– Nie chcę, żebyś mówił cokolwiek, czego możesz później żałować. – Rozpaczliwie próbowała ratować sytuację, ale było za późno.

– Kocham cię. I właśnie zdałem sobie sprawę, że nie wiem, jak dotąd mogłem bez ciebie żyć. Jak mogłem wstawać co rano bez widoku twojej twarzy. Nie wiem, jak zasypiałem, nie wyobrażając sobie, że leżysz w moich objęciach. Magda, nie musisz mnie kochać. Powiedz tylko, że dasz nam szansę.

Myślisz, że dlaczego tak się o ciebie troszczę?

– Adam. Proszę cię. Nie posuwaj się za daleko. Błagam. Ja chcę, żeby było jak dotychczas. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, sąsiadem, powiernikiem. To dla mnie bardzo cenne.

– A myślisz, że dla kogo to wszystko? Niby dla kogo schudłem i zoperowałem uszy? To wszystko dla ciebie.

– Ale to nie jest problem twoich uszu! – Zdenerwowana Magda dolała sobie koniaku. – Jak się kogoś kocha naprawdę, nie widzi się takich rzeczy. Ludzie nie są ze sobą dla uszu.

– Co nie zmienia faktu, że bardzo cię kocham. I że musiałem ci w końcu o tym powiedzieć. Nie darowałbym sobie, gdybyś dziś zginęła, nie wiedząc, że masz dla kogo żyć.

Adam nie wypuszczał jej z ramion, spoglądając błagalnie. A ona miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce.

– Posłuchaj – powiedziała. – Nie myśl sobie, że to dla mnie nic nie znaczy. Znaczy wiele. Ale stawiasz mnie w straszliwie głupiej sytuacji. Ja nie mam w planie żadnych związków. Dość miałam przygód ostatnio.

– Naprawdę nic do mnie nie czujesz? – Adam wytoczył najcięższe działo.

– To nie jest sprawa uczuć. Jesteś dla mnie kimś ogromnie ważnym. Bardzo cię cenię i lubię. Może nawet odrobinę za bardzo. Ale nie wyobrażam sobie przyszłości nas obojga, gdyby nam nie wyszło.

– Ależ... Jeśli tylko zechcesz, sprzedam to wszystko w diabły i wyniosę się na koniec świata. Dyktuj warunki. Spełnię wszystkie.

– Nie! Nawet nie próbuj przekupstwa. I...

– I co? – przerwał.

– I lepiej już idź.

## Rozdział 19

Nie, nie tak wyobrażałam sobie drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, pomyślała Magda. One, w przeciwieństwie do minionych, naznaczonych kłopotami miesięcy, miały być wesołe i najpiękniejsze w życiu. Spokojne, spędzone wśród przyjaciół dni miały wnieść odrobinę wytchnienia i stanowić cichy przystanek na wyboistej drodze nowego życia.

Tymczasem czuła się tak, jakby ktoś ją przepuścił przez wyżymaczkę. Prawda o Zofii wstrząsnęła nią mocno, a obawa o Alicję, mimo uspokajających zapewnień Marka, również nie dawała jej spokoju. Gdy dołożyło się do tego zaskakujące wyznania Adama, Magda poczuła, że ma dość. Jej żołądek z nerwów zwinął się w supeł, w stresie obgryzła wszystkie paznokcie. Jakiegokolwiek wspomnienie o Zofii przyprawiało ją o dreszcze.

Ze snu wyrwał ją silny ból.

Alicja czuła, że rytmiczne pulsowanie zaraz rozsadzi jej głowę. Z jękiem przekręciła obolałe ciało na szpitalnym łóżku.

Przez okno wpadały ostre promienie słońca.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała, zdumiona widokiem Marka przy łóżku.

– Pilnuję cię. – Uśmiechnął się szeroko.

Jak przez mgłę pamiętała, że jechał razem z nią w karetce. Pamiętała jeszcze przyjęcie do szpitala, a potem urwał jej się film. Słońce za oknem świadczyło, że nastał kolejny dzień. Wyglądało na to, że Marek, niewyspany i nieogolony, również spędził tę noc w szpitalu.

– Jak się czujesz?

– Tragicznie. Wszystko mnie boli. Ale to chyba dobrze, bo oznacza, że żyję. Kurczę, to stało się tak niespodziewanie. – Alicja uśmiechnęła się słabo.

– A co właściwie stało się przy grobie? – zapytał. – Odszedłem na chwilę, a jak wróciłem, ty leżałaś nieprzytomna, Magda krzyczała, a Zofia pędziła przed siebie na oślep. Prawie ją złapałem, ale mi się wyrwała i wpadła pod auto.

- Czy ona żyje?
- Nie. Wbiegła wprost pod koła.
- O Boże. To jakaś makabra. Ja naprawdę nie miałam pojęcia, że to ona stała za całym tym koszmarem sprzed lat. Poza tym byłam pewna, że Magda zna przyczynę śmierci własnej babki.
- Nie rozumiem – powiedział Marek. – To ona nie wiedziała, na co umarła jej babcia?
- Nie. Była pewna, że babcia Fela zmarła na raka. Tyle że to nie rak był bezpośrednią przyczyną śmierci, tylko skręcenie karku. Tak samo jak tamtych dwóch zamordowanych kobiet, których szkielety znaleźli strażacy. O tym z kolei nie wiedziałam ja, bo już dawno skojarzyłam fakty. Magda pewnie też. To Zofia je zamordowała. Upozorowała też upadek babci Feli ze schodów. Niewiele brakowało, a zabiłaby Magdę i mnie.
- Nieprawdopodobne. – Marek z niedowierzaniem pokręcił głową. – Nie do wiary, że obie znajdowałyście się tak blisko prawdy, a jednocześnie tak daleko.
- No widzisz? Najciemniej jest pod latarnią. A wystarczyło połączyć za sobą dwa fakty. Brrr... – wzdygnęła się Alicja i z jękiem obróciła na wznak.
- Podczas obchodu Marek wyszedł z sali i zatelefonował do Magdy. Miniona doba była ciężka dla wszystkich, zatem nie chciał zawracać jej głowy i sprawiać kłopotu, ale nie miał wyjścia. Alicja po badaniach miała zostać wypisana do domu, więc potrzebny był transport do Pieniek. Zasugerował pomoc Adama, lecz spotkał się z kategorycznym protestem; Magda stwierdziła, że przyjedzie do szpitala osobiście.
- Rozmowa z Adamem na jakikolwiek temat była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Wystarczyło jej rozmyślanie przez pół nocy nad jego słowami. Dzięki niemu sensacyjne rozwiązanie tajemnicy sprzed lat zeszło na dalszy plan. Teraz głowę Magdy zajmował problem, jak ułożyć sobie stosunki z sąsiadem i czy nadal dla niego pracować. Była zła, więc nieplanowaną wyprawę do Tczewa potraktowała jak odskocznię od kłopotów. Spadła jej jak z nieba.
- Marek, uspokojony dobrym stanem Alicji, kupił w automacie dwie kawy i wrócił na krzesło.
- I co? – zapytał.
- Nic. Nic mi nie będzie, choć niewiele brakowało, żebym wachała kwiatki od spodu – zażartowała. – Zabrakło dwóch centymetrów. No i jeszcze czapka

trochę złagodziła uderzenie.

– Nie strasz mnie, dziewczyno. – Marek nachylił się i uściskał dłoń Ali. – A dziecko?

– Wszystko z nim w porządku.

– To wspaniale!

– Wcale nie.

Alicja posmutniała. Akurat w tym przypadku wolałaby, żeby los zdecydował inaczej.

– O czym ty mówisz? Co komu winne to dziecko?

– Ale ja go nie chcę – powiedziała przez łzy. – Oddam je do adopcji. Nie chcę wywalonego brzucha i cycków naciągniętych po pas. Ja nie chcę mieć dziecka, które nie pozna swojego ojca i którego nikt nie będzie kochał.

– Ja chcę – powiedział Marek z mocą. Wprawdzie nie tak wyobrażał sobie chwilę swoich wyznań, ale stało się. Wiedział, że to za wcześnie, ale instynkt pokonał logikę i podjął decyzję za niego. – Tak właśnie. Jeżeli tylko mi pozwolisz.

– Co ty za brednie opowiadasz? – Alicja zapomniała o płaczu. – Chcesz adoptować moje dziecko?

– Tak. W pakiecie z jego matką. Ją już kocham, więc pokochanie jej dziecka będzie formalnością. To jak?

Przesiadł się z krzesła na łóżko i wziął zdumioną Alę w ramiona.

– Ale jak...?

– Cśśś. – Położył jej palec na ustach. – Nic nie mów, proszę. Mam już swoje lata i nie jestem durniem. Wiem, że mnie nie kochasz, ale może z czasem się to zmieni. Pragnę tylko, żebyś dała nam szansę. Nie chcę do niczego cię zmuszać i wykorzystywać sytuacji, ale o jedno cię proszę.

– O co?

Alicja z wrażenia zapomniała, że cokolwiek ją boli.

– Bądź ze mną uczciwa i nigdy mnie nie okłamuj. Proszę cię wyłącznie o szansę. Nie obiecuję ci fajerwerków, bo tych ostatnio miałaś w nadmiarze.

– I porządnie poparzyłam sobie palce – przyznała.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że ani propozycja Marka, ani jego objęcia wcale nie są jej niemiłe. Jego wyznanie zaskoczyło ją bardzo, ale zawsze lubiła jasne stawianie spraw.

– Dostałam właśnie nowe życie – powiedziała. – Może tak właśnie miało być. – Wysunęła się z ramion Marka i głęboko spojrzała mu w oczy. – Rzyk-

fizyk. Kto nie ryzykuje, ten nigdy nic porządnego nie wygra. Raz kozie śmierć! Wchodzę w to.

– Mówisz poważnie?

Marek spodziewał się wszystkiego, ale reakcja dziewczyny zwała go z nóg. O ile to możliwe, poczuł, że kocha ją jeszcze bardziej niż dotąd. A gdy ponownie wtuliła się w jego pierś, poczuł, że spełniają się jego największe marzenia.

– Tak. Ale na moich warunkach.

– No jasne – westchnął, teatralnie wywracając oczami. – Wiedziałem, że z taką krnąbrną dziewczuchą nie pójdzie mi łatwo.

– Nie mam wielkich wymagań, ale chciałeś uczciwie, to masz. Po prostu dajmy sobie luz, niech to samo się toczy. Nie chcę, żebyś na mnie naciskał i do czegokolwiek mnie przymuszał. Jak będę gotowa, sama się zgłoszę. W porządku?

– Oczywiście.

– Poza tym pamiętaj, jestem w ciąży.

– Mam nadzieję, że to nie zaraźliwe – mruknął jej do ucha. – To od czego zaczynamy? – zapytał. – Może od pocałunku?

– Nie umyłam zębów – odparła przekornie.

– Ja też nie.

Magda przystanęła jak wryta. W pierwszej chwili myślała, że pomyliła sale, ale kurtka wisząca na krześle z całą pewnością należała do Marka. Wprawdzie kibicowała mu ze wszystkich sił, ale nie spodziewała się, że sprawy tak szybko przybiorą korzystny obrót – zamiast dochodzić do siebie po wypadku, Alicja siedziała na łóżku i oboje całowali się w najlepsze. Magdzie ze zdziwienia najpierw opadła szczęka, lecz za chwilę jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Ekhm – odchrząknęła znacząco i zastukała w futrynę. – Nie przeszkadzajcie sobie. Ja chciałam tylko powiedzieć, że transport czeka.

– O! Magda! Super, że jesteś! Bo wiesz, właśnie rozmawiałam z Markiem i...

– Wiem. Masz już wypis?

– O czym wiesz?

– Że świata nie widzi poza tobą i że nie mogłaś lepiej trafić – parsknęła śmiechem przyjaciółka.

– Wiedziałaś?! – Ala zmrużyła oczy i oskarżycielsko skierowała w jej stronę

wskazujący palec.

Gdyby nie jej rozpromieniona twarz, można by było wziąć ten gest na poważnie.

– No pewnie. – Magda nonszalancko wzruszyła ramionami. – Wszyscy wiedzieli. Przecież nawet ślepy by zauważył. Oczywiście z wyjątkiem ciebie.

– Małpa! – prychnęła Ala i serdecznie uściskała przyjaciółkę.

Zanim wyszli ze szpitala, pogoda spłatała figła i rozpadało się ponownie. Z rzadka prószący drobny śnieżek w kilka minut zmienił się w śnieżną zadymkę, a poza Tczewem rozszalała się prawdziwa zamieć. Wycieraczki włączone na najszybszy bieg nie nadążały z oczyszczaniem szyby, więc Magda zwolniła czym prędzej. Wbiła wzrok w drogę. Nie mamy daleko, ale w tym tempie będziemy jechać ponad godzinę, westchnęła w duchu.

Na szczęście Marek wpadł na pomysł późnego śniadania w przydrożnej gospodzie, a dziewczyny poparły go z entuzjazmem. Ala w szpitalu zaledwie skubnęła jedzenie, Magda również nie zdążyła zjeść nic porządnego, bo przed jej wyjazdem do stadniny zawitali goście – wicedyrektor miejscowej szkoły z córką. Mała aż przebierała nogami do spotkania z kucykiem. Jej ojciec nic tylko klepał się po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy nie zapomniał inhalatora.

– Trzeciego stycznia mamy u siebie pierwszą wycieczkę dzieciaków ze szkoły w Pieńkach. Dziś rano był u mnie dyrektor – oznajmiła Magda, przełykając kęs.

– To ten koleś od Szwarcenegera? – zainteresowała się Alicja.

– Ten sam. Dostał wytyczne z kuratorium i szuka opcji na jakąś taną jednodniową atrakcję dla uczniów.

– Rany, to super! – Ala aż podskoczyła na krześle, ale zaraz z jękiem złapała się za obolałą głowę i z niechęcią spojrzała na apetycznie podsmażone jajka na bekonie. Wstrząs mózgu standardowo powodował mdłości, a Alicja wcale nie była wyjątkiem. – Nie mogę. Może na razie zjem suchą bułkę.

– Na początek przyśle do nas zerówkę, dwadzieścia pięć sztuk. A potem, jak dzieciaki będą zadowolone, to pozostałe klasy. Od jeden do trzy. Tyle że my poza zwierzakami nie mamy wiele do zaoferowania. Latem jeszcze pół biedy, ale teraz? Co ja mogę załatwić im w zimie?

– Jak to co? – Marek wzruszył ramionami. – Choćby wizytę w kurniku i dojenie krowy. Ognisko z pieczeniem kiełbasek można zrobić o każdej porze roku.

– Kozy też mogą doić – dodała Alicja. – Wszystko zależy, czy dużo zapłaca.

– Jeszcze dokładnie nie wiem. W sumie mogą też karmić nasze konie marchewką i ubijać masło w maselnicy.

– O, i piec chleb! – W Alicję wstąpił nowy duch. – Naszej kuchni już nic nie zaszkodzi, więc możemy z dziećmiakami wyrabiać ciasto. Im bardziej się upaprzą, tym bardziej będą zadowolone. A jak będzie ładna pogoda, to i na kucu pojeżdżą.

– Tyle dzieci? Przecież się biedakowi w głowie zakręci.

Magda ze smakiem spałaszowała jajka i znacząco zerknęła w stronę nietkniętej porcji Alicji.

– Weź, ja nie mogę. Zjem jeszcze trochę chleba. A co do kuca, to nic mu nie będzie.

Ala czuła się fatalnie i tylko marzyła, żeby znaleźć się w domu i jak najszybciej położyć się do łóżka. Gdyby nie wcześniejsze emocje, które zafundował jej Marek, zapewne całkiem by oklapła. Teraz pragnęła jednak, żeby się umyć i zasnąć.

Dokończyli posiłek i ruszyli w dalszą drogę. Zanim dojechali do stadniny, mieli już gotowy plan działania na okoliczność przyjęcia szkolnej wycieczki. To zamieszanie z dzieciarnią sprawiło, że myśli Magdy powędrowały w całkiem innym kierunku. Na chwilę zapomniała o Adamie.

Po przyjeździe Alicja od razu poszła do łazienki. Wcześniej, nieco speszona, wspięła się na palce i pocałowała Marka na pożegnanie. Gdy tylko znikła za drzwiami, Magda uniosła kciuk.

– No, w końcu mogę go wyprostować, bo cały czas trzymałam – powiedziała i serdecznie uściskała zalotnika. – Kurczę, nawet nie wiesz, jak się cieszę.

– Ja też. Ale obawiam się, że przedwczesne puszczenie kciuka może skończyć się dla mnie nie najlepiej – stwierdził sceptycznie.

– To będę trzymać dalej. Wiem, że w tej sytuacji może być różnie.

– Otóż to. Nie jestem dzieckiem i rozumiem, że babka na dwoje wróżyła, ale i tak dostałem dziś więcej, niż zasłużyłem – westchnął ciężko Marek.

Obrzucił tęsknym wzrokiem drzwi od łazienki.

– Widzisz, ostatnio wszystko dzieje się za szybko – podzieliła się refleksją Magda. – Czasem mam wrażenie, że odkąd tu przyjechałam, moje życie nabrało podwójnego przyśpieszenia. Mam wrażenie, że przez lata na tym świecie nie przeżyłam tyle, ile przez ostatni rok. Czasem sama nie wiem, jakim cudem daję radę.

– Jesteś bardzo dzielna.



- E tam. Muszę. Nie mam wyjścia.
- Myślałaś już, gdzie pochowasz Zofię? – Marek niespodziewanie zmienił temat.
- Co...? – Magdę aż zatchnęło. – Że jak? Że niby ja miałabym ją pochować? Ty chyba żartujesz?
- Nie. Po prostu nie wiem, jak się postępuje w takich przypadkach.
- Normalnie. Zofia nie miała wykupionego miejsca na cmentarzu, więc teraz przejmie ją najbliższy ośrodek pomocy społecznej. Pewnie z Tczewa. I pochowa ją na tamtejszym cmentarzu komunalnym. Tyle w temacie.
- Nie wiedziałem.
- Wiem. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, ale jakoś w głowie mi się nie mieści, że moja babcia mogłaby leżeć w jednym grobie ze swoją morderczynią. Nie licząc faktu, że sama jeszcze nie ma porządnego grobu.
- To ja przepraszam, że tak głupio palnąłem. Choć w sumie to Zofia przez te wszystkie lata bardzo chorowała. Zdrowi ludzie nikogo nie mordują – sumitował się Marek
- Nie ma takiej opcji – ucięła Magda i pożegnała gościa.
- Była trochę zła, że poruszył ten temat. Właściwie to miał trochę racji, ale ona nie była jeszcze gotowa na tak daleko idące refleksje i przemyślenia. Ostatnimi czasy spadło trochę za dużo na jej biedną głowę, więc skołowana i nieco przybita rzeczywistością zrobiła sobie kakao i sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę. Czytała ją już kiedyś, ale nie pamiętała, gdzie skończyła, więc zaczęła od początku. Gdyby miała telewizor, włączyłaby go na pewno, ale dysponowała tylko laptopem, po który nie chciało się jej iść.
- Opatuliła się kocem i nawet nie zauważyła, kiedy usnęła w fotelu.

## Rozdział 20

Tych kilka dni, które pozostały do sylwestra, minęło nadzwyczaj spokojnie, ale chyba wyłącznie dlatego, że większość ludzi wzięła sobie w tym czasie wolne. Mimo chęci nie dało się niczego załatwić, bo wszyscy jak jeden mąż stosowali odnośnik do „po Nowym Roku” lub cedowali sprawy na podwładnych, którzy właśnie przebywali na świątecznych urloпах.

Magda tymczasem zdążyła już trochę ochłonąć i powziąć kilka noworocznych postanowień. Dwukrotnie nawet zobaczyła się z Adamem, który na szczęście odpuścił i nie powracał do ich ostatniego spotkania. Zdawała sobie sprawę, że w tak krótkim czasie z pewnością się nie odkochał, ale jego zachowanie jak gdyby nigdy nic napawało optymizmem na przyszłość.

Dzień przed sylwestrem Adam pojawił się w stadninie bez zapowiedzi. Przyniósł ze sobą teczki z rachunkami.

– Urządzacie jutro wielki jubel. Widziałam plakaty. Gratuluję – zagadnęła Magda neutralnie.

– No i ja właśnie między innymi w tej sprawie. Ze względu na twój zwierzyniec chciałbym uprzedzić, że o północy będą u nas sztuczne ognie.

– Trudno. Jakoś to przeżyjemy – odparła, siląc się na obojętność.

– Bardzo chciałem tego uniknąć, ale niestety nie da się. Ludzie przynajmniej raz w roku muszą sobie postrzelać.

– Wiem. Dlatego jutro przyjedzie Wanda i komu trzeba zaaplikuje środki uspokajające. Na wszelki wypadek zostawię w stajniach zapalone światła. Wiesz, że wystraszony struś potrafi w ciemnościach kilka tysięcy razy uderzać głową o ścianę? Nie umie wpaść na to, że może się cofnąć. Będzie atakować tę ścianę, dopóki nie padnie.

– Prawie wszyscy w ciemnościach głupieją.

– Tak, ale strusie? Już bardziej zgłupieć nie mogą, bo nie mają z czego.

– Sporo o nich wiesz. – Adam z uznaniem pokiwał głową.

– Bez przesady. Ale rzeczywiście, z dnia na dzień wiem coraz więcej.

Magda roześmiała się, rada, że oboje potrafią ze sobą normalnie rozmawiać. Choć była nieco zawiedziona, że Adam przyszedł wyłącznie w interesach i nie zaprosił jej na sylwestra.

A niby skąd miał wiedzieć, głupia, napomniała się w duchu. W końcu sama chciałaś. I złożyła sąsiadowi noworoczne życzenia.

– Może jednak wpadniecie? – nie wytrzymał Adam i na odchodnym niezobowiązująco zarzucił haczyk z przynętą.

– Dziękuję za zaproszenie, ale przy takiej menażerii wolę jednak pozostać na miejscu. Mam tu cudze konie, niektóre warte majątek, sam rozumiesz – wybrnęła.

– Już odnowiłem ule. Jeśli chcesz, pokażę ci je kiedyś.

– No pewnie, że chcę. Wpadnę zobaczyć, ale dopiero za jakiś tydzień. Jak ogarnę ten cały bałagan na miejscu.

– W porządku. Dostałem też propozycje projektów nowych domków letniskowych. Mnie się podobają, ale myślę, że i ty powinnaś rzucić na nie okiem.

– Chętnie. Wpadnę w pierwszych dniach stycznia.

Żałowała trochę, że sprawy przybrały taki obrót, bo z przyjemnością poszłaby poświętować koniec roku w Nestorze. Na miejscu Alicja z Markiem i Zdzichem świetnie daliby sobie radę bez niej. Nic to, muszę być konsekwentna, pomyślała. Jak się powiedziało a, to teraz trzeba powiedzieć b. Nie wolno mi ranić Adama, skoro nie odwzajemniam jego uczuć.

Miniony rok nie był łatwy, a można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że był najtrudniejszym rokiem w całym jej dotychczasowym życiu. W ostatecznym podsumowaniu Magda mogła sobie pogratulować, bo pomimo wielu pozornych i realnych klęsk sporo się nauczyła. W efekcie stała się zupełnie inną osobą i przy okazji przypadkiem sprawiła, że i inni stali się lepsi. Nie upatrywała w tym wprawdzie jakichś osobistych zasług, a tylko poukładała sobie w głowie najróżniejsze zbiegi okoliczności. Ogólna sytuacja nie napawała szalonym optymizmem, niemniej jednak nie było źle. Wszystko szło swoim tempem i niosło nadzieję, że nadchodzące dwanaście miesięcy będzie lepsze.

Choćby nawet i raczkujący związek Alicji i Marka, pomyślała. Wcale na nasuwał przejawy skojarzeń rodem jak z romansów dla podkuchennych, za to dawał nadzieję, że być może się uda. Oczywiście jeśli tylko oboje podejną do tematu w miarę racjonalnie. W przeciwieństwie do

Marka, Alicja podjęła decyzję pod wpływem chwili; Magda, znając szalony temperament przyjaciółki, obawiała się, że ta w każdej chwili może zmienić zdanie. Miała tylko nadzieję, że kontrolowany entuzjizm Ali nie jest spowodowany li tylko jej odmiennym stanem i chęcią zapewnienia dziecku stałej obecności przyzwoitego ojca. Z drugiej jednak strony Marek doskonale wiedział, w co się pakuje, stwierdziła. A przy tym jest mężczyzną więcej niż atrakcyjnym, zrównoważonym i ze wszech miar poukładanym pod każdym względem. Jak mało kto świetnie nadaje się na męża i ojca.

Magda ze wszystkich sił trzymała kciuki za oboje. Jak nikt inny marzyła o stabilnej sytuacji w stadninie i z opracowanym już planem szkolnej wycieczki z niecierpliwością czekała na pierwszych gości. W części przeznaczonej do zwiedzania wszystko zostało posprzątane tak, że aż lśniło; stajnia w takim stanie spokojnie mogła przyjąć oficjalną delegację co najmniej z Agencji Rynku Rolnego. Dzieciaki powinny być zachwycone.

Niemniej jednak dzień przed ich przyjazdem gospodyni z nerwów dostała biegunki.

– No i czego się boisz? To tylko małe dzieci – uspokajała ją Alicja.

Wieczór spędzały w kuchni, gdzie do woli raczyły się leniwymi pierogami z własnego twarogu. W przeddzień przyjazdu dzieciarni tak ostro zabrały się do pracy, że wyszło im dwa razy więcej sera, niż chciały.

– Wiem, że małe, ale ja zupełnie nie mam doświadczenia. Poza tym to ma być nasza pokazowa wycieczka, bo jak się uda, to będą następne. No i zarobimy na niej ładnych paręset złotych. To nie byle co.

– Ale spokojnie. Luzik. Wszystko dopięte. Wiaderka do dojenia w pogotowiu. Pozwolimy im wejść do kurnika? Po tej drabinie to trochę wysoko.

– Mowy nie ma, dopóki nie zrobimy schodków. Jeszcze jakiś dzieciak spadnie i zaczną się dżezy. Wystarczy, że na razie spuszczę im pełny koszyk na sznurku i niech się cieszą. Potem samodzielnie będą mogły zrobić jajecznicę. Składniki na chleb już są, kuc i Carmen w pogotowiu. Kozy i konie też.

Magda uznała, że będzie bezpieczniej, gdy dzieciarnia wydoi jednak kozę, a nie krowę, choć Carmen była ostoją spokoju i jak dotąd nikogo nie kopnęła. Spisała sobie po kolei wszystkie punkty programu i zdenerwowana jak przed ważnym egzaminem poszła spać.

Śniła dziwne sny. Gdzie się nie obróciła, na każdym kroku widziała Zofię cwałującą na kozie. Później wchodziła do pustej stajni. Jeszcze później akcja

przeniosła się do domu grabarza, który przedstawił atrakcyjny kosztorys za wymurowanie wieloosobowej kwatery grobowej; wyglądało na to, że obok babci Feli miałyby spocząć również szczątki Marcysi, Jacqueline i Zofii. Magda, mocno zbulwersowana tym faktem, cisnęła kosztorysem o stół. Na koniec Wojtek zamordował Adama i zazaądał pochówku brata w tym samym grobowcu.

Magdę obudził jej własny szloch. Spocona zerwała się z łóżka i w panice rozejrzała się po pokoju. Wszystko stało na swoim miejscu. Chwilę trwało, zanim uprzytomniła sobie, że był to tylko zły sen.

– Matko, przecież ja tutaj zwariuję do reszty – mruknęła pod nosem i odetchnąwszy z ulgą, że to tylko nawiedziły ją senne koszmary, z powrotem przyłożyła głowę do poduszki.

Była pewna, że nie zaśnie, ale nie dość, że sen przyszedł prawie natychmiast, to jeszcze zasnęła. Gdyby Alicja nie obudziła jej w porę, zapewne nie otworzyłaby oczu do południa.

– Ile mamy czasu? – zapytała Ala przy śniadaniu.

Z apetytem pałaszowała pajdę chleba własnego wypieku. Dziecko najwyraźniej zaczęło dopominać się o swoje prawa, bo przyszła matka od kilku dni jadła za dwoje.

– Spokojnie, mamy jeszcze chwilę. Mają być na jedenastą. – Magda sięgnęła do kamionki ze smalcem i rozsmarowała na chlebie apetycznie pachnące skwarki.

– Przyjadą autokarem?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że przyjdą pieszo. Dyrektor bardzo chciał oszczędzić na kosztach. W linii prostej przez las mają niecałe dwa kilometry, a widziałam, że droga jest odśnieżona.

– Zobaczymy – wymamrotała Ala z pełnymi ustami i dołożyła na talerz kolejną porcję.

– To już nie nasza bajka. My mamy zorganizować im czas do czternastej. A jak wyrobimy się przed czasem, to puścimy im film o strusiach.

– A na czym? Przecież nie mamy telewizora.

– Na laptopie.

– Dla tylu dzieciaków?! Przecież guzik zobaczą.

– No to co mam zrobić? Na razie nie stać mnie na duży telewizor.

– Zawsze możemy pożyczyć sprzęt od Adama. Organizuje w Nestorze różne konferencje, więc musi mieć ekran i rzutnik. Dzwon, może zdążymy –

zakomenderowała Alicja z niespotykanym ostatnio entuzjazmem.

– Obawiam się, że jednak nie zdążymy – skwitowała Magda, bo przed domem właśnie zameldowała się szkolna wycieczka w pełnym składzie. O zgrozo, godzinę przed czasem. – Niech to licho porwie! – powiedziała, przełknęła ostatni kęs i wybiegła przed dom.

Na zewnątrz zastała całkiem sporą grupkę podekscytowanych dzieciaków. Dwie nauczycielki tuptały w miejscu i rozcierały zmarznięte dłonie. W przeciwieństwie do podopiecznych przemarzły w drodze i teraz z zimna poszczykiwały zębami. Tym samym zmusiły gospodynie do zmiany planów.

Magda serdecznie powitała wszystkich i zaproponowała na początek gorącą herbatę i szarlotkę. Nauczycielki z wdzięcznością przystały na propozycję, natomiast dzieciaki nie wyraziły entuzjazmu. Nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą strusie, kozy i resztę, choć fakt, że jak dotąd jeszcze nigdy na własne oczy z bliska nie widziały zwykłej kozy, zakrawał na paranoję. Nie mając innego wyjścia, Magda puściła im film o strusiach, który jednak nie spotkał się z większym zainteresowaniem. Zwłaszcza jeden blondwłosy chłopiec głośno manifestował swoje niezadowolenie. Ostentacyjnie wstał i okazując jawny brak zainteresowania, opuścił kuchnię. Nauczycielki spojrzały po sobie.

– Ech, znowu koszmarny Karolek – mruknęła cicho jedna, niechętnie odstawiając kubek z herbatą.

Zanim wstała, krnąbrny dzieciak zdążył już wybiec na zewnątrz bez kurtki i biegiem rzucić się w stronę stajni.

– Nie łapiecie go? – zdziwiła się Magda na widok spokoju opiekunek. – Przecież on dostanie zapalenia płuc.

– To nie pierwszy taki wybryk. Ma zdiagnozowane ADHD i już zdążyliśmy przywyknąć. Im prędzej zaczniemy go gonić, tym on będzie szybciej uciekał. A tak dojdzie zaraz do wniosku, że skoro nie ma widowni, nie ma po co się wygłupiać. I wróci.

Rozumowanie było ze wszech miar logiczne, ale Magda i tak wolała skrzyknąć towarzystwo, by w końcu dać hasło do wyjścia. W myślach odnotowała skrzętnie, że na okoliczność niespodziewanej zmiany planów powinna dysponować jakąś alternatywą. Przyszła jej do głowy multimedialna prezentacja, krótkie omówienie wszystkich gatunków zwierząt, które można spotkać w stadninie. Najlepiej byłoby ją zrobić jeszcze przed pojawieniem się kolejnych wycieczek, pomyślała.

Na razie musiała improwizować.

– Uwaga! Nadeszła pora dojenia, więc bez względu na mróz musimy się zbierać.

Wstała i na chwilę wcieliła się w szatniarkę – w ciągu kilku minut rozdała wszystkie okrycia i wskazała drogę do zagrody dla kóz. Dzieciaki nie posiadały się z radości, zwłaszcza że mogły spróbować jeszcze ciepłego mleka. W międzyczasie odnalazł się Karolek, który mimo protestów i pokrzykiwań został odziany w czapkę i kurtkę. Całe towarzystwo przemaszerowało następnie do kurnika, ale zanim Magda zdążyła powiedzieć choć kilka słów, chłopiec wspiął się na drabinę i sprawnie jak mała umknął nauczycielce. Co gorsza, pozostałe dzieciaki postanowiły pójść w jego ślady i przystąpiły do zdobywania stryszku szturmem.

– Jezus Maria! Niechże pani coś zrobi z tymi dziećmi! – krzyknęła Magda do nauczycielki, ale młoda kobieta tylko rozglądała się bezradnie.

Nie pozostawało nic innego jak własnoręcznie zdjąć tłoczące się na drabinie dzieciaki. Pobieżny rachunek wskazywał, że nie licząc koszarowego Karolka, jeszcze tylko dwójka drobiazgu zdołała wspiąć się na górę.

– W szeregu zbiórka! – Druga opiekunka uznała, że najwyższy czas użyć pedagogicznego autorytetu. – Idziemy do strusi! Ustawiamy się w pary! Szybciutko!

Zerówkowicze na dole karnie wykonali polecenie. Na miejscu o porządek zadbała Alicja, która ku zainteresowaniu dzieciaków opowiedziała kilka anegdotek z życia ptaków.

Magda i jedna z nauczycielek próbowały tymczasem opanować sytuację w kurniku.

– No dobra, mili państwo! Złazimy! – zawołała Magda ku górze, ale odpowiedzią był wyłącznie chichot i gdakanie przerażonych kur. – To co robimy? – zwróciła się do przerażonej kobiety.

– Nie mam pojęcia – odparła tamta speszona. – Ja jestem tylko praktykantką. A tam nie wejść, bo mam lęk wysokości.

– W porządku.

Magda podciągnęła spodnie i rozpoczęła wspinaczkę. Mniej więcej w połowie drabiny niespodziewanie zaatakował ją grad kurzych jaj.

– Dość tego! – wrzasnęła, lecz zanim weszła na szczyt, jej włosy i kurtka z góry na dół spływały ciągnącym się białkiem.

Miała szczerą ochotę spuścić rozwydrzonym bachorom solidne lanie, ale

zaciśnęła zęby i w krótkich słowach wyekspediowała chłopców na dół. Dzieci chyba zorientowały się, że przesadziły i że dalsze kuszenie losu może skończyć się źle, bo potulnie zastosowały się do zaleceń. Chłopcy dali spokój przerażonym kurom i posłusznie zeszli po drabinie.

Wściekła Magda poprzysięgła sobie solennie, że to pierwsza i ostatnia szkolna wycieczka w stadninie. Chciało jej się płakać i gdyby nie wrodzone poczucie obowiązku i solidności, zapewne wyrzuciłaby wszystkie dzieciaki co do sztuki. Na razie wzięła się w garść i czas, gdy przerażona praktykantka dołączyła z urwisami do zagrody dla strusi, wykorzystała, aby doprowadzić się do porządku.

Zawartość jajek zastygła na zimnie, tworząc na ubraniu i włosach niemal pancerną powłokę. Na szczęście gorąca kąpiel poprawiła nieco samopoczucie gospodyni, która z czystymi włosami i w świeżym ubraniu sprawnie przystąpiła do wypieku chleba. Okoliczności sprawiły, że musiała zrezygnować z przyrządzania gigantycznej jajecznicy. Trudno, obejdą się smakiem, pomyślała, szykując smalec i twaróg.

Przez okno dostrzegła, że grupa opuściła już mniejszą stajnię, ale ku jej zdziwieniu nie skierowała się od razu do domu, a przeszła do głównej, gdzie stały wyłącznie hotelowe konie. Magda zdenerwowała się, bo tego nie było w planie. Wprawdzie pokazywanie dzieciom cudzych koni nie było niczym niestosownym, ale lepiej było nie ryzykować, zwłaszcza przy grupie tak rozbrykanych bachorów i tak wybitnie nieogarniętych opiekunek.

Wytarła dłonie w fartuch i uznała, że na przyszłość należy dokładnie omówić z Alicją plan wycieczek. Wiosną powinno pójść łatwiej, ale dziś marzyła tylko o tym, żeby wszyscy już sobie poszli. Nawet bez płacenia. Właśnie zaliczyła chrzest bojowy. W jaskrawym świetle wyraźnie ujrzała własne błędy, niedociągnięcia i kompletny brak przygotowania, a wiedziała, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dotarło do niej, że agroturystyka to nie bułka z masłem. W duchu pogratulowała sobie zapobiegliwości, że ubezpieczyła stadninę od odpowiedzialności cywilnej, ale w zderzeniu z rzeczywistością i dziecięcą pomysłowością trzeba chyba będzie rozszerzyć zakres polisy albo przynajmniej podwoić sumę ubezpieczenia, stwierdziła.

– Kurde mol! – warknęła na widok rozsypanej na podłodze mąki.

Chciała ją zetrzeć, ale w tej samej chwili rozdzwonił się telefon.

Klnąc pod nosem, niechętnie odebrała połączenie od Wojtka, który właśnie wrócił do Pieniek po dłuższej nieobecności i zapragnął ponownie zaprosić



Magdę na randkę, tym razem do kina. Właściwie ucieszyła się, że jest i że wszystko u niego dobrze, niemniej jednak, pomna ostatniego wyjazdu do Gdyni, jakoś nie miała ochoty na wyjście. Mimo że zapowiedź premierowego seansu najnowszych przygód Jamesa Bonda brzmiała ze wszech miar zachęcająco, nic się nie zmieniło. Wojtek już dawno temu odkupił swoje przewiny, ale zdaniem Magdy nadal pozostał marnym kompanem, a wieczór w jego towarzystwie zapowiadał się męcząco. Chociaż z drugiej strony w kinie się nie rozmawia i w sumie można to przeżyć, pomyślała. W końcu Wojtek jest tak atrakcyjny, że choćby i samo pojawienie się w jego towarzystwie sprzyja ciekawym obserwacjom.

Odpowiedź była odmowna. Magda wykręciła się nawałem pracy; nie miała głowy do randek, bo właśnie zauważyła, że Alicja prowadzi ponaddwudziestopięciosobową grupę i trzeba było zakasać rękawy. Grochówka od dawna pyrkała na staroświeckiej kuchni, a ciasto na chleb czekało w pogotowiu.

Po wizycie w stajni dzieciaki były tak pełne wrażeń, że od progu zasypały Magdę milionem pytań. Na część nie знаła jeszcze odpowiedzi, ale wybrnęła, zaganiając towarzystwo do mycia rąk. Pierwsze koty za płoty, stwierdziła. Po pierwszych doświadczeniach zorientowała się już, że grupki odwiedzających powinny być znacznie mniejsze, natomiast przydałoby się zwiększyć liczbę kompetentnych opiekunów. Z naciskiem na kompetencje, westchnęła. A ja sama powinnam lepiej przygotować się na okoliczność brzydkiej pogody i zdecydowanie przenieść pokazowy kurnik w inne miejsce.

Magda, nieprzyzwyczajona do hałasu, po godzinie spędzonej w kuchni poczuła, że zaraz pęknie jej głowa. Chlebki w piecu były już prawie gotowe, więc na chwilę przekazała dowodzenie Alicji, a sama wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zwróciła uwagę na klasyczną szklanę na podjeździe. Ślizgawka aż zapraszała do zabawy, więc na wszelki wypadek posypała lód wygarniętym z pieca popiołem. Jak na jeden dzień miała wystarczająco dużo wrażeń, by jeszcze dorzucać do ich listy kilka połamanych rąk czy nóg. Odstawiła wiaderko i z westchnieniem oparła się o kolumnę na ganku, marząc, by już było po wszystkim.

Ochłonięcie zajęło jej kilka minut; wróciła do domu. W kuchni panował totalny rozgardiasz, ale nieziemski zapach pieczonego chleba wynagradzał wcześniejszą nerwówkę. Dzieciaki pomału zbierały się do wyjścia, Alicja

pakowała do papierowych torebek chlebki prosto z pieca. Trajkotała na równi z dzieciarnią – wyglądała, jakby urodziła się do roli przedszkolanki. Magda pośpieszyła z pomocą, chcąc jak najszybciej pozbyć się gości. Wyekspediowanie sporej gromadki trwało dobrą chwilę.

– No to chrzest bojowy mamy za sobą. Całkiem nieźle nam poszło – ucieszyła się Alicja i od razu zabrała się do sprzątanania.

– Sama nie wiem – Magda miała obiekcje. – W końcu to nie ty oberwałaś jajkami po głowie.

– Słuchaj, w każdej grupie musi się znaleźć jakaś zakała. A w przypadku dzieci trzeba liczyć się ze wszystkim.

– Racja. Następnym razem włożę zbroję. – Magdzie powrócił dobry humor. – Matko, jaka cisza! Ja nie wiem, jak nauczyciele wytrzymują na co dzień ten szkolny harmider.

– Kwestia przyzwyczajenia. – Ala pokroiła świeży chleb i postawiła na stole garnuszek ze śliwkowym powidłem.

Wtem drzwi rozwarły się z hukiem i do kuchni wpadł zdyszany Zdzichu.

– Konie! Ratujta! Konie! – wykrzyczał i wybiegł.

– Co: konie? Rany boskie! – Magda w biegu chwyciła kurtkę.

– Cztery konie uciekły z hotelu!

– Jak to: uciekły? Same?

– Nie! Ktoś boksy pootwierał! – wrzasnął stajenny.

Magdzie od razu stanął przed oczami blondwłosy gagatek.

– Zamorduję gówniarza! – krzyknęła, złapała w biegu kilka marchewek na przynętę i pognała na zewnątrz.

Wiedziała, że prędzej czy później konie i tak same wrócą do stajni, choć dwa zdołały wybiec poza teren stadniny. Wołała jednak nie ryzykować.

Wybiegła za bramę i natychmiast poczuła, jak jej nogi rozjeżdżają się na śliskim asfalcie. Od razu zauważyła gniadą kobyłę. Galopowała przed siebie na oślep, za nic mając nawoływania, natomiast nigdzie nie było widać drugiego zbiega. Ba, Magda nawet nie wiedziała, który to koń. Nie знаła dobrze wszystkich lokatorów hotelu. Zdając sobie sprawę z beznadziejnej sytuacji, przystanęła przed zakrętem i uważnie rozejrzała się dokoła. Los jej sprzyjał – drugi wierzchowiec stał dosłownie kilka metrów dalej. Ogromny wałach o imieniu Hagen napawał lękiem, ale mimo to Magda wyjęła marchewkę i podeszła. Na szczęście miał założony kantar, więc było za co chwycić.

– No, chodź, malutki, chodź... – wabiła spokojnym głosem.

Koń zawahał się przez chwilę, aż w końcu zwyciężyło łakomstwo. Magda pokonała strach i poklepała zwierzę po szyi. W tej samej chwili nadbiegł zmachany Bronek.

– Mamy dwa! Dały się zagonić na pastwisko!

– Super! Bierz Hagenę, ja idę namierzyć ostatniego. Nie wiesz, który to?

– Wiem. To Benita, wyjątkowo złośliwe bydlę – odparł Bronek.

Przekazał konia drugiemu stajennemu i dołączył do chlebowawczyń.

– Jak to się stało, że pootwierano boksy? – zapytała. – Nie pilnowaliście tych bachorów?

– One były wszędzie, nie wiedzieliśmy, w co ręce włożyć. A już te chłopaki to normalnie jak jakaś stonka.

– To pierwszy i ostatni taki wypadek, że ktoś niepowołany wchodzi do końskiego hotelu. Zapamiętaj to sobie! Za to wam płacę, żebyście pilnowali koni – wysapała Magda. Maszerując, dostała zadyszki. – Nigdzie jej nie widzę... Cholera, a jak poszła w las albo gdzieś dalej? Bronek, kombinuj! Błagam, zrób coś!

– Musimy się rozdzielić. Szukanie konia pośrodku drogi jest bez sensu.

– Racja. Tylko gdzie iść?

Magda najbardziej na świecie nie znosiła uczucia bezsilności, a teraz była zdana wyłącznie na łut szczęścia i osławioną końską inteligencję. Przed chwilą oboje z Bronkiem obeszlili teren w okolicy stadniny i Nestora. Natrafili na masę śladów końskich kopyt, co jednak w pobliżu stadniny nie było niczym niezwykłym.

– Jest! – zawołała Magda.

– Gdzie?

– Nie gdzie, a co. No, nie wiem, ale patrz! – Wskazała na parujące na śniegu odchody. – Musiała tu być dosłownie przed momentem. Idziemy!

– Ale w którą stronę?

– Patrz na ślady kopyt. Musimy zawrócić.

Znienacka ich oczom ukazała się Benita, rączo galopująca w najlepsze wzdłuż linii drzew. Magda odetchnęła z ulgą i gwizdnęła na palcach, żeby zwrócić uwagę zwierzęcia. Koń nie zareagował.

– Niech ją licho! Dobrze, że przynajmniej nie odbiegła zbyt daleko. – Magda zagwizdała ponownie, tym razem głośniejsz.

To był błąd. Benita zatrzymała się, oceniła sytuację i z miejsca zagalopowała

w odwrotnym kierunku. Wprost pod koła jedyne go na drodze samochodu.

– Neeee!!!

Magda wstrzymała oddech.

Wszystko trwało najwyżej kilka sekund. Kobyła w ostatniej chwili zrobiła unik, kierowca nie zdążył. Auto straciło przyczepność na śliskim asfalcie i w jednej chwili wyleciało z drogi. Zaliczyło przydrożny rów i przekoziółkowało na dach.

– Rany boskie, to samochód Adama! – Magda struchlała z przerażenia. – Broniek, gazem!

Jednocześnie dopadli miejsca wypadku, a Magda przeżegnała się i zajrzała do środka. Na widok skulonego kierowcy prawie zemdląa.

– Adam, nic ci nie jest?! – zawołała, w panice szarpiąc za klamkę, ale drzwiczki nie chciały ustąpić. – Broniek, rusz się! Ciągnij!

– Magda! To ty? Żyję i nic mi nie jest. Chyba. – W oknie, tuż przy ziemi, ukazała się twarz Wojtka. – Wyciągnijcie mnie.

– Właśnie próbujemy, ale wszystkie drzwi są zablokowane. Dasz radę otworzyć szybę? – zapytała, ale na widok leżącego w śniegu akumulatora odpowiedziała sama sobie: – Nie dasz rady. Lecę po pomoc.

Zdenerwowana, jak burza wpadła do Nestora, a później – bez pukania – do biura.

Na jej widok całkowicie zaskoczony Adam wypuścił z objęć przepiękną kobietę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wykrztusiła skonsternowana Magda – ale twój brat właśnie zaliczył dachowanie na zakręcie. Nic mu nie jest, trzeba go tylko wyciągnąć. Potrzebujemy pomocy – dodała i z powrotem wybiegła na zewnątrz.

Tymczasem Benita, zupełnie jakby zdawała sobie sprawę z własnego wybryku, podeszła do rozbitego auta. Bez problemu pozwoliła założyć sobie kantar i uwiąz.

– Daj, odprowadzę ją. Ty zostań, bo bardziej się tu przydasz niż ja – powiedziała Magda do stajennego i przejęła konia.

Zanim odeszła, raz jeszcze upewniła się, że Wojtkowi faktycznie nic nie jest i że nie trzeba wzywać pogotowia.

– I co? – powitała ją w progu przejęta Alicja.

– Wszystkie są w stajni.

Wyczerpana Magda opadła na krzesło i w krótkich słowach streściła

przebieg wydarzeń. Pomięła jedynie obecność długonogiej piękności w biurze Adama.

Uznała, że potrzeba jej czegoś mocniejszego.

– Matko, co za sądny dzień – westchnęła. – Mamy jeszcze nalewkę?

– Nie. Jest tylko koniak. I widziałam jakieś piwo w spiżarni. Przynieść ci?

– Dziękuję ci, dobra kobieto, ale najpierw coś zjem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak głodna.

Po obiedzie emocje nieco opadły.

Pełen wrażeń dzień skłaniał do refleksji i podsumowań, więc dziewczyny przegadały czas aż do wieczora, ale za to wypracowały ostateczną koncepcję działalności stadniny. Na partyzantkę nie było już miejsca. Do prowadzenia poważnego biznesu trzeba było się solidnie przygotować.

Już niemal wstawały od stołu, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Dziewczyny wymieniły zdziwione spojrzenia.

– Otwarte! – zawołały chórem.

Na widok wysokiej i szczupłej kobiety Alicji opadła szczęka. Sądziła, że ma przywidzenia, ale uspokoił ją idący za pięknoscią sąsiad. Kogo jak kogo, ale modelki światowej sławy nikt w stadninie się nie spodziewał. Nie w Pieńkach.

Magdę zamurowało również, choć z nieco innego powodu. Bezcelność Adama sprawiła, że nie wiedziała, jak się zachować.

– Cześć, dziewczyny – powiedział. – Z Wojtkiem wszystko w porządku. No i przyprowadziłem wam klientkę. Monika od dziecka marzy o nauce jazdy, więc lepiej trafić nie mogła. Właśnie skończyła zdjęcia do sesji w Kanadzie, a dziś przyjechała do nas na kilka tygodni. Nie ma to jak mieć sławną siostrzyczkę, prawda?

– To ty masz siostrę? – wykrztusiła z trudem Magda.

I wreszcie wstała, żeby się przywitać.

– A nie mówiłem ci? – Adam uśmiechnął się przewrotnie.

– Nie.

– Po urodzeniu Wojtka i mnie mama nie mogła mieć więcej dzieci. A że oboje rodzice marzyli o córce, więc wiele lat później adoptowali Monikę.

– Cześć – odezwała się miękko eteryczna piękność z nogami do nieba.

Sprawiła bardzo sympatyczne wrażenie i wcale nie roztaczała wokół siebie aury wielkiego świata, więc rozmowa rozkręciła się niemal natychmiast. Magda czuła się trochę głupio, że aż do teraz nie miała pojęcia o chlubie

rodzimego modelingu, za to Alicja pobiegła do pokoju po kolorowe czasopismo z Moniką na okładce i poprosiła o autograf. Na stół wyjechały racuchy z jabłkami, specjalność gospodyni, która stwierdziła przy okazji, że jej gość wcale nie odżywia się wyłącznie sałatą i z apetytem pałaszuje aromatyczne placuszki.

Po godzinie do towarzystwa dołączył Wojtek. Trochę potłuczony, ale za to szczęśliwy, że żyje, brylował jak nigdy. Magda aż przecierała oczy ze zdumienia. Nie dość, że skutecznie zabawiał obecnych, sypiąc anegdotami jak z rękawa, to jeszcze zadzwonił do hotelowego barmana i zadysponował dostawę trunków. A gdy Alicja zadzwoniła po Marka, nieplanowana impreza rozkręciła się na całego. Zakończyła się dobrze po północy.

Stajennych porozwoził po domach recepcjonista z Nestora.

Magda padła do łóżka kompletnie wykończona wrażeniami mijającego dnia. Kto by pomyślał dziś rano, że taki będzie finał?, uśmiechnęła się pod nosem.

Mimo zmęczenia za żadne skarby nie mogła zasnąć. Wolałaby, oczywiście, pomyśleć nad wydarzeniami rano, niestety złośliwy umysł skutecznie zmusił ją do nocnych refleksji i pozwolił na odpoczynek, dopiero gdy dokonała podsumowań i wyciągnęła wnioski.

Usnęła o świcie, na niewiele ponad trzy godziny, gdy obudziła ją konieczność udania się do toalety. Dochodziła siódma, więc Magda podjęła próbę oszukania organizmu i pospania choć godzinę dłużej, ale pełnego pęcherza przechytrzyć się nie dało. Niechętnie wygrzebała się z wygrzanej pościeli. W drodze do łazienki nastawiła wodę w czajniku.

Nie chciała budzić śpiącej Alicji, więc naciągnęła byle jakie ubranie i poszła wydoić Carmen. Nie wiedząc, co zrobić z czasem, przy okazji wydoiła i kozy, a później pojechała do wsi po stajennych.

Czas do południa dłużył się okropnie. Magda na siłę szukała sobie zajęć, próbując nie analizować nocnych przemyśleń i nie mierzyć się z tym, co z nich wynikło, choć wiedziała, że musi. Z nerwów miała spocone dłonie. Aż wreszcie nadeszła pora, by ostatecznie rozprawić się z problemem, który nękał ją od jakiegoś czasu i skutecznie psuł jej humor.

– Gdzie idziesz? – zapytała Alicja znad projektu prezentacji w PowerPoincie.

– Z fakturami, do Nestora. Mam nadzieję, że tam wszyscy już na nogach, bo dochodzi południe. – Magda zamarkowała swobodny ton, choć żołądek miała w gardle.

– Tylko błagam, uważaj na siebie – roześmiała się Ala. – Może niech przynajmniej dzisiejszy dzień obejdzie się bez przygód.

– Akurat! – mruknęła Magda pod nosem.

Otakowała z uznaniem własne odbicie w lustrze, zgarnęła za stołu teczkę z papierami. Po drodze minęła doszczętnie rozbity samochód Adama.

– Uch!... – wypuściła głośno powietrze, żeby dodać sobie odwagi.

Pchnęła przeszkłone drzwi, ukłoniła się personelowi w hotelowej recepcji i pomaszerowała prosto do biura. Miała nadzieję, że tym razem Adam będzie sam. Zastukała do drzwi.

– Tak? Proszę. Mogę ci w czymś pomóc? – zainteresował się uprzejmie.

– Oczywiście, że możesz. – Magda nerwowo przełknęła ślinę i starannie zamknęła za sobą drzwi.

– A w czym?

– A dokładnie to we wszystkim – wyrzuciła z siebie. – Musiało minąć trochę czasu, zanim dotarło do mnie kilka oczywistych prawd.

– Nie rozumiem. Możesz jaśniej?

– Musiało sporo się wydarzyć, żebym uświadomiła sobie, co, a raczej kto jest dla mnie ważny. Twój brat musiał wylądować w rowie, żebym mogła sobie uzmysłować, że się o ciebie boję. Musiałam zobaczyć Monikę w twoich ramionach, żeby poczuć, jak straszliwie jestem zazdrosna. No i w ogóle musiało minąć sporo czasu, żeby do mnie dotarło, że cię kocham. Może moje uczucie nie jest jak wystrzelona z wyrzutni rakietą dalekiego zasięgu, może do tej pory przypominało raczej powoli rozpędzającą się lokomotywę, ale chcę ci powiedzieć tylko tyle, że lokomotywa właśnie się rozpędziła. I teraz zasuwa jak pendolino relacji Kraków–Warszawa.

– Nie sądziłem, że kiedyś to usłyszę... – Adam zamknął Magdę w objęciach.

– A ja nie myślałam, że kiedykolwiek jeszcze to powiem.

– A co zrobimy, jak nam nie wyjdzie?

– Wyjdzie – powiedziała z mocą Magda.

– A jeśli nie, to co? – przekomarzał się Adam

– To nic. Najwyżej sprzedam całą tę stadninę i wyprowadzę się na koniec świata.

# Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)